

ARKONA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY KULTURZE I SZTUCE

NR 6-7

BYDGOSZCZ — KWIECIEŃ - MAJ

ROK 1946

SZTUKA W SŁUŻBIE NARODU NA OTWARCIE POMORSKIEGO DOMU SZTUKI W BYDGOSZCZY

W dniu 7 maja zostanie otwarty w Bydgoszczy „Pomorski Dom Sztuki”, — siedziba pomorskich związków artystycznych, pomyślana jako warsztat pracy literatów, plastyków i muzyków — oraz — środowisko artystyczne, skupiające wszystkie jednostki twórcze z terenu całego Pomorza, szczególnie zaś z Bydgoszczy, Torunia, Grudziądza i Włocławka.

Stworzenie środowiska artystycznego, któreby zasięgiem swym obejmowało teren jak najszerzy, promieniując daleko poza obszar województwa bydgoskiego, a więc na tzw. „Wielkie Pomorze”, — to cel do osiągnięcia, drogą budzenia zainteresowań artystycznych, wyrabiania dobrego smaku estetycznego, wciągania w obręb przeżywań kulturalnych jak najszerzych warstw społeczeństwa, drogą opieki i nadania właściwego kierunku młodej twórczości artystycznej regionu.

W dążeniu do realizacji tych założeń konieczny będzie oczywiście stały, ściśły i bezpośredni kontakt z wszystkimi zawodowymi związkami artystycznymi, działającymi na terenie Pomorza, jak i z instytucjami i urzędami, stanowiącymi o polityce kulturalnej terenu, więc Wydziałem Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, — i wojewódzkimi wydziałami kultury i sztuki w Bydgoszczy, Gdańsku, Szczecinie i Olsztynie. Pomorski Dom Sztuki — nie ma być jednakże żadnym nowym urzędem, czy nawet związkową nadbudową organizacyjną. Organizatorzy jego i gospodarze nie zamierzają bynajmniej wkraczać w czyjekolwiek uprawnienia, — rolę swoją ograniczając do wytworzenia odpowiedniego „klimatu” środowiska, do omawiania i przedyskutowywania czołowych zagadnień kulturalnych Pomorza. Do Domu Sztuki zachodzący będą wszyscy, którym te sprawy nie są obce i obojętne, którzy mają coś na ten temat do powiedzenia i pragną to wyrazić publicznie.

Narzędziem Pomorskiego Domu Sztuki — to dziś „Arkona” — pismo poświęcone zagadnieniom kultury i sztuki i posiadająca już swoją tradycję instytucja „Śród Literackich”. Wraz z otwarciem dojdą do tego stałe wystawy plastyki, koncerty wszelkiego rodzaju; z biegiem czasu ilość ich niewątpliwie wzrośnie.

Takie są ogólne zamierzenia i formy pracy otwierającego swe podwoje Pomorskiego Domu Sztuki. Co stanowić ma jego treść, jakim celem ogólnym ma służyć, czyli inaczej mówiąc — jakie są jego ideologiczne założenia? Kamieniem węgielnym tej ideologii — to zastąpienie starej i całkowicie skompromitowanej dewizy „Sztuka dla Sztuki” — dewizą, odpowiadającą duchowi naszych czasów: „Sztuka w służbie Narodu”.

Nie ma i nie może być uznany za wartościowy żaden wytwór artystyczny, żadne dzieło plastyki, wiersz, utwór muzyczny, — któryby bezpośrednio lub pośrednio w bliższej lub dalszej przyszłości nie

wzmacniał siły Narodu i konstruktywnie na psychikę Narodu nie oddziaływał. Nie chcemy być źle zrozumiani. Jak najdalej jesteśmy od chęci uczynienia ze sztuki narzędzia hurra-patriotycznej propagandy, operującej nieraz bardzo tanimi chwytami i środkami w rodzaju metod goebbelsowskich. Dzieło sztuki w pełnym znaczeniu tego słowa, choćby nie zawierało ani jednego elementu z tematyki propagandowej, społecznej czy narodowej a było zupełnie odczuwanym od rzeczywistości wytworem ducha ludzkiego, — poruszając człowieka, budzi w nim uspięne struny, wywołuje niepokój twórczy i tęsknotę za pięknem i dobrem, — czyli jest w pełni narodowo konstruktywne a społecznie użyteczne.

Dzieło takie powoduje, że w człowieku rodzi się owa iskra twórcza, która budzi pragnienie wzrostu wewnętrznego. To co nazywamy powszechnie przeżyciem artystycznym jest niczym innym, jak tylko odkorkowaniem zamkniętych w duszy ludzkiej nieznanym nam jeszcze dziś bliżej emocji utajonych, które emanując powodują, że człowiek dostaje skrzydeł, co w konsekwencji wywołać musi przyrost mocy sprawczej i wolę czynu. Wystarczy przypomnieć sobie swe przeżycia w trakcie słuchania pięknej muzyki, lub oglądania wspaniałego obrazu — by znaleźć potwierdzenie. Polsce potrzebni są dziś ludzie obdarzeni iskrą tworzenia i wolą budowania. Naród polski jest narodem kulturalnie wciąż świeżym, w każdym z nas drzemią pokłady sił utajonych, nieznanym a dobroczynne skutki powodujących.

Artyści polscy mają w ręku klucz do tych zamkniętych skarbów, niech otwierają nimi sezamy. Pomorski Dom Sztuki chce być kuźnią tych kluczy. Chce, by ich było najwięcej — i w najlepszym gatunku.

Sztuka w służbie narodu — to jedno z centralnych zagadnień dzisiejszej Polski, które jednocześnie jest naszym czołowym założeniem ideowym, naszą racją istnienia.

Zygmunt Felczak
Prezes Klubu Lit.-Artyst.
w Bydgoszczy

M A L A R Z B Y D G O S K I X I X W I E K U



MAKSYMILIAN PIOTROWSKI
DZIECI BAWIĄCE SIĘ U STÓP ZAMKU BYDGOSKIEGO

OLEJ

NARODZINY ŚRODOWISKA

Od skupiska ludzkiego do — aktywnego kulturalnie środowiska prowadzi droga wielce skomplikowana, żmudna i — w niektórych wypadkach — niepomierne długa. Zdarzy się niekiedy, że wiekami całymi wypadnie długotrwałość tej drogi wymierzać. I tak — rzec by nieomal można, że aż sześćset lat trzeba było, aby dzisiaj — a stawała się samodzielną, kulturotwórczym ogniskiem. Proces jej kulturalnego dojrzewania zbiegł się z faktami, które w sposób zasadniczy wpłynęły na przeobrażenie się charakteru i układu polskich ośrodków kulturalnych. W wyniku ostatnich wydarzeń dziejowych nastąpiły poważne przesunięcia geokulturowe: „odcięcie ogniska tak dawne i poważne, jak Lwów i Wilno (nie licząc pomniejszych), odzyskano natomiast, zdawało się na wieki stracone, zachodnie. Polska przesunęła się kulturalnie ku Zachodowi”.

To geokulturowe przesunięcie zbiegło się z faktem drugim: z zupełną decentralizacją kulturalną. Zniweczenie Warszawy sprawiło, że stolica straciła swe przedwojenne przodujące stanowisko. Straciła na rzecz Krakowa, Łodzi i pozostałych większych ośrodków polskich. Jeśli przed wojną pojawiały się głosy domagające się, by w polskim życiu kulturalnym mniej było Warszawy a więcej — Polski, to obecnie dezyderat ten zrealizował się z tragiczną wręcz przesadą. Zgodny wysiłek całego kraju sprawi niewątpliwie, że Warszawa wróci do swej przodującej roli zanim zle strony tej nienaturalnej decentralizacji dadzą się kulturze polskiej poważnie we znaki. Tymczasem jednak — ocaleni z burzy dziejowej twórcy i działacze kulturalni stolicy w znacznej liczbie współdziałają nad renowacją kulturalną w głównych ośrodkach polskich, wpływając nader dodatnio na ich aktywizację. I oni — jak również repatrianci ze Lwowa czy Wilna — niosą poważny wkład doświadczenia wszędzie tam, gdzie warsztaty polskiej pracy twórczej ocalały, lub spełniają misję pionierską na terenach, które — jak Wrocław czy Szczecin — trzeba dopiero od podstaw kulturze polskiej przywracać.

Ten sukces — bez wątpienia cenny i pożądany, zaznaczył się już także w ośrodkach, które znajdowały się w obrębie dotychczasowego polskiego oddziaływania kulturalnego, ale — które w pełni do głosu jeszcze były przed wojną nie doszły. Przesunięcie się kulturalne Polski ku Zachodowi sprawiło obecnie daleko większe zainteresowanie się takimi ośrodkami jak np. Toruń czy Katowice, sprawiło dalej, iż wybitnie wzrosły uzasadnione zresztą wymagania od takich dużych skupisk ludzkich — jak Bydgoszcz.

Było by krzywdą w stosunku do żmudnych, upartych i długoletnich wysiłków dzisiejszej stolicy Pomorza, gdyby — w obliczu narodzin środowiska przemilczano został poprzedzający ten akt całej wkład pracy przygotowawczej, wstępnej, niewdzięcznej a — nieodzownej. Jeśli się rzekło na wstępie, że odradzające się życie kulturalne Polski napotkało w Bydgoszczy na teren przeorany, należyte uprawiony i do współpracy kulturalnej dojrzały, to stwierdzenie takie można by przekonywująco szeregiem licznych faktów uzasadnić. Trudno je tu wszystkie — w ramach krótkiego artykułu — wyliczyć i należyte według waloru i hierarchii ważności uszeregować. A przed tym jeszcze sprawa wymagała by ogólnego choćby podmalowania

tła historycznego, aby się należycie uplastyczyć mogły samodzielne poczynania regionu. Wymagała by nadto naświetlenia specjalnego charakteru środowiska, jego roli, która sprawiła, że obchodząca obecnie sześćsetlecie swego istnienia prastary gród, tak bardzo jest jednocześnie młody, jako — środowisko kulturalne.

Zmuszeni do skrótów — stwierdzmy po prostu: ciężka była dola tego osiedla, które nosi imię tak twarde i szorstkie jak jego los. A los się z nim zaiste nie pieścił. Już za Bolesława Chrobrego była Bydgoszcz — grodem granicznym. Rola to, owszem, wielce zaszczytna ale i diablo niewygodna. Rychło się też przypało miastu ścierać z zabobrością germańską. I przeżywać germańskie — okupacje. Cały świat dziś wie co to znaczy. I jak przy takich „okazjach” niszczyć dorobek kulturalny. Antenaty Hitlera już przed 600 z górą laty „aranżowały” w Bydgoszczy swe „krwawe niedziele”. Bydgoszcz broniła się jak mogła. Wytrzymywała najazdy: krzyżackie, szwedzkie i pruskie. Opartszy się w roku 1629 skutecznie Adolfowi-Custawowi, oparła się i w roku 1939 Adolfowi-Hitlerowi. Spełniając po bohatersku i ofiarnie obowiązki nieustannie napastowanej — strażnicy granicznej, czyż mogła w pełni i całym oddaniem służyć sprawie polskiej kultury? Inter arma silent musae. Milczały muzy i milczał człowiek polskiego Zachodu, bo albo zagłuszany byłby szcękami broni, albo jedynie upartym milczeniem przeciwstawiać się mógł potwornościom okupacji krzyżackiej, pruskiej, wreszcie — hitlerowskiej. Metody przeciwnika — zawsze śmiertelnie nam wrogie, nie zawsze były te same. Nie zawsze tak tępe i brutalne jak ostatnio w trakcie okupacji hitlerowskiej. Należy to zauważyć, zwłaszcza gdy idzie o Bydgoszcz. W erze wilhelmińskiej Bydgoszcz właśnie wybraną została do zadań specjalnych. Rozbudowano ją z rozmachem i nie małym nakładem kosztów. Tu miał być „mały Berlin”. Tu miał mieć swoje centrum nadszkieckie klin germanizacyjny wbity „przemysłnie” między Wielkopolską a Pomorze. Obsypana „laskami” Bydgoszcz miała być i architekturą swą i atmosferą przeciwstawiona upartej polskości Poznania. Nic jednak nie pomogło. Nie pomogły liczne, kosztowne a brzydkie na modłę berlińską skrojone pseudogotyki czy okropne i niestety tak gęsto reprezentowane okazy „Jugendstil” czy „Secesji”. Nie pomogły szkoły jak koszary i koszary jak więzienia. Ani nawet pracowite i banalne pomniczyśka z obfitej kolekcji niemieckich „edelkitschów” z największym z nich „Potopem” na czele, w którym to mounumencie dał prof. Lepke imponujący zlepek najbanalniejszych berlińskich wzorów. Aż dziw, że w tym potopie pruskiego brzydactwa nie potracili tu Polacy resztek swego dobrego smaku. Uraowały im ten smak chyba tylko nieliczne i nieduże ale za to przeszliczne zabytki polskiego budownictwa kościelnego z XV, XVI i XVII w., którymi to klejnotami legitymuje miasto swą odwieczną polskości. One to, te „żywe kamienie” i cisi, mało komu szerzej znani działacze bronili duszę miasta od zatraty. Z szeregu tych nieznanych zasłużonych niech wspomnę tu dziś choćby tylko nazwisko ks. Ignacego Polkowskiego, autora pierwszej w języku polskim monografii Bydgoszczy, wydanej przed siedemdziesięciu pięć laty. Ciekawa to książeczka i wzruszająca, bo nie tylko wprowadza w zapomniane dzieje miasta ale i w tę żaru pełną atmosferę, będącą jedyną bronią kultury polskiej w za-

mrażającym każdy rodzimy odruch twórczy klimacie prusactwa.

Acz duch prusactwa przegrał, to przecież złowrogi wiek cały z górą trwający klimat okupacji germańskiej dał się bardzo ciężko we znaki. Zwłaszcza na odcinku rodzimej kultury. Ani w Bydgoszczy, ani na całym Pomorzu, ani w całej Zachodniej Polsce, przez całe dziesiątki lat nie mogły dochodzić do głosu twórcze siły regionu. Nikt policzyć nie zdoła ile tu namarnowało się talentów. Pokolenia całe przeszły przez życie nie zetknąwszy się nieomal wcale z cudem polskiej sztuki. Nic przeto dziwnego, że po ustąpieniu Niemców po Pierwszej Wojnie Światowej — zabrakło na Pomorzu i twórców pomorskich i szerokiego rzesz pomorskich odbiorców sztuki. Do walki z tym groźnym stanem rzeczy staje nieliczna garść działaczy i artystów regionu. Walka o wytworzenie na Pomorzu atmosfery sprzyjającej normalnemu rozwojowi życia kulturalnego wypełnia cały nieomal okres „międzywojenny”. Rezultaty jej, mimo szeregu nieprzemijających sukcesów, nie dały jednak pełnego wyniku. Dać nie mogły, gdyż zabrakło po stronie walczących sukcesu najważniejszego, sukcesu państwa. Zabrakło, mimo bardzo niekorzystnych dla nas dysproporcji nasilenia kulturalnego w zestawieniu tak ze wschodnią jak i zachodnią granicą ówczesnego Pomorza. Licznym, bogato zaopatrzonym i wysoko postawionym instytucjom kulturalnym niemieckim w Prusach Wschodnich i na Pomorzu Zachodnim — przeciwstawialiśmy drobne zaledwie ośrodki polskiej pracy w większych miastach Pomorza. Najtrafniej zobrazujemy niedostateczny stan rzeczy z okresu międzywojennego, jeśli wyliczymy tu te instytucje pracy kulturalnej, które w normalnie funkcjonującym ognisku kulturotwórczym są niezbędne, a których na Pomorzu nie było:

Nie było więc:
ani jednej uczelni naukowej stopnia uniwersyteckiego,
ani jednej wyższej uczelni artystycznej,
ani jednego stałego salonu wystawowego,
ani jednej stałej sali koncertowej;
a jeśli idzie o szkolnictwo średnie, to nie mieliśmy:
ani jednej szkoły sztuk plastycznych,
ani jednej szkoły dramatycznej.

Przy tych brakach, przy tak karygodnych zaniedbaniach ze strony czynników najwyższych w stosunku do terenu znajdującego się na tak wyjątkowo eksponowanym odcinku można było raczej mówić o tragicznym wręcz procesie marnowania możliwości kulturalnych regionu i o niesłychanym marnotrawieniu jego zdolności i talentów, niż o przetwarzaniu największego choćby skupiska ludzkiego Pomorza w pełnowartościowe środowisko kulturalne.

A skupisko to z roku na rok rosło i rozwijało się coraz bujniej. Niestety rozrostowi gospodarczemu i „urbanistycznemu” Bydgoszczy nie towarzyszył równoznaczny rozkwit kulturalny. Strach pomyśleć, jak żałośnie wyglądałaby dusza tego dużego, liczbą mieszkańców niejedną z pomniejszych stolic Europy przewyższającego miasta, gdyby nie zaciekle, uparty, rozpaczliwy niemal wysiłek garstki entuzjastów. Osamotnieni, zdani przeważnie na własne, „prywatne” siły nie ustawali w pracy i w dążeniu do zdobycia Bydgoszczy dla kultury polskiej i do związania jej integralnego z ogólnopolskim ruchem artystycznym. Entuzjazmowi i ofiarnym wysiłkom zawdzięczają swe istnienie takie instytucje jak np.: Muzeum Miejskie, jak Konserwatorium Muzyczne, jak w części Biblioteka Miejska czy Teatr nad Brdą. „Teatr Bydgoski — znacznie więcej daje niż mu dają!” — tak lapidarnie a trafnie określił Adam Grzymała-Siedlecki, jeden z najwierniejszych przyjacieli Bydgoszczy,

zasługi takich pracowników sceny, jak Władysław Stoma, jak Kazimierz Korecki, jak Jerzy Szyndler. Inny z najznakomitszych „Bydgoszczan” — Leon Wyczółkowski — ofiarowując muzeum bydgoskiemu swe zbiory dzieł sztuki i tysiąc niemal prac własnych sprawił, że mała i skromna instytucja regionalna przeobraziła się w krótkim czasie w poważny bastion sztuki polskiej na Pomorzu. Wyliczając dobrze kulturze bydgoskiej zasłużonych, wspomniemy kilku tylko spośród tych, którzy padli ofiarą okupacji. Zginął w powstaniu warszawskim wspomniany już Jerzy Szyndler, młody, wielce utalentowany reżyser, który znacznie się przyczynił do wzmocnienia się atmosfery artystycznej na bydgoskiej scenie. Zginął na wygnaniu art. malarz Marian Faczyński, nieustraszonego organizatora Muzeum Szkolnego w Bydgoszczy i Wyższych Kursów Artystycznych. Zginął red. Henryk Kuminek — autor „Regionu twórczego” i jeden z najaktywniejszych członków bydgoskiej Rady Artystyczno-Kulturalnej. Niezmiernie wiele zawdzięcza tej „Radzie” bydgoskie życie kulturalne. Organizowane przez nią m. in. „Srody Literackie” pozwoliły na bezpośredni kontakt całego szeregu wybitnych pisarzy polskich z publicznością bydgoską. „Publiczność” ta w pierwszym okresie „Śród” nie obejmująca nieraz i dziesięciu choćby słuchaczy — z czasem rozrosła się do liczby pół tysiąca co najmniej osób na każdej nieomal „Srodzie”. Bywały i większe „rekordy”. Koncerty połączone z prelekcjami objaśniającymi organizowane przez mgr. Alfonsa Roesslera dla młodzieży czy świata pracy — nieważy wielokroć do tysiąca z górą słuchaczy. Alfons Roessler, muzykolog i muzyk w jednej drobnej ale nieustraszonej pracującej osobie był idealnym wręcz propagatorem dobrej muzyki w najszerszych kołach. Był — gdyż niestety — w pierwszych dniach wojny zginął śmiercią żołnierza.

Plastycy bydgoscy, bezdomni — bo nie dysponujący najmniejszym choćby własnym salonem wystawowym uciekli się do pomocy — muzeum miejskiego. I tu — w dwu niewielkich i kiepsko oświetlonych salkach doszło do — stu trzydziestu wystaw w ciągu sześciu lat przed okupacją. I to wystawy tak wartościowych jak np. pokazy dzieł: Matejki, Grottgera, Gersona, Ruszczyca, Piotrowskiego (ur. w r. 1813 w Bydgoszczy), Słowińskiego, Laszczki, Kędzierskiego, Filipkiewicza, Sichulskiego, Pankiewicza...

Najazd hitlerowski nie tylko przerwał dalszy ciąg tego pięknego cyklu, ale — zmiotł z oblicza ziemi i cały gmach Muzeum i cały w ogóle dorobek kulturalny Bydgoszczy. Wydawało się, że po potwornym intermezzo ostatniej okupacji germańskiej nie będą już mieli do czego wracać dziedziatki burzą dziejową bydgoscy działacze kulturalni. Okazało się jednak, że ofiarny trud włożony w przeoranie terenu nie był daremny. Że wróg mógł zniszczyć instytucję, rozebrać muzeum czy spalić teatr, ale nie zdołał stłumić rozbudzonego przed okupacją głodu sztuki, pragnienia pełnego korzystania ze skarbcza polskiej kultury. Głód ten odezwał się z niezmierną siłą. Tak intensywną, że organizatorom życia kulturalnego nie sposób wprost podobać rosnącym „zamówieniom społecznymi”. Na szczęście — od pierwszych niemal dni odrodzenia poczynaniom entuzjastów przyszło — państwo. Państwo w pełni dościeniając rolę kultury w życiu całego społeczeństwa. Idący „z góry” dobry przykład zrobił swoje. Wytworzył aurę niezmiernie dla poczynania kulturalnych życziwa. Rezultaty nie dały na siebie długo czekać. Jedną po drugiej odżywały dawne placówki i powstawały nowe. I tak: czynne są już dziś w Bydgoszczy dwie sceny: Teatr Pol-

TADEUSZ
MOKRZYCKI



SPICHRZE
NAD BRDĄ

ski i Teatr Powszechny. Czynne jest Muzeum Miejskie, któremu Zarząd miasta w zamian za spalony przez Niemców budynek przydzielił gmach daleko lepiej położony i znacznie odpowiedniejszy. Szkolnictwo artystyczne — po zreaktywowaniu dawnej Szkoły Muzycznej posiadał dwie placówki nowe, te właśnie, o które daremnie zabiegano przez okres międzywojenny: Szkołę Dramatyczną i Szkołę Sztuk Plastycznych. Klub Literacko-Artystyczny, powstały na tradycjach dawnej Rady Artystyczno-Kulturalnej zorganizował już w swych ramach m. in. 30 wartościowych „Śród Literackich”. Od pół roku już ukazuje się w Bydgoszczy miesięcznik poświęcony kulturze i sztuce — „Arkona”.

Dawne skromne bydgoskie „podstudio” radiowe urosło do imponujących rozmiarów „Rozgłośni Pomorskiej” nie mało przyczyniając się w akcji szerzenia i popularyzowania sztuki. Nad Brdą znalazł swą siedzibę „Instytut Bałtycki”, który w ramach swej działalności przystępuje do wydawania literacko-naukowego kwartalnika „Janitar”. Wreszcie — jak gdyby w darze dla miasta obchodzącego sześćsetlecie swego

istnienia — powstaje placówka o zasadniczym wręcz znaczeniu. Powstaje na miejscu dawnego niemieckiego „Zivilkasino”. Pod tą niewinną nazwą kryła się latami cała główna kwatera „Smętka”. Po ostatecznym przepędzeniu złego ducha ziem pomorskich i po odpowiednim przystosowaniu byłej jego siedziby do potrzeb polskiej kultury, staje oto — wspólnym wysiłkiem władz państwowych, czynników miejskich i całego społeczeństwa „Pomorski Dom Sztuki”. Dom otwarty dla wszystkich, którym sztuka polska jest drogą i — nieodzowną. W jego to murach znajdują muzycy znakomita wręcz salę koncertową, znajdują literaci — świetną salę odczytową, znajdują plastycy swój tak dawno upragniony stały, śliczny salon wystawowy. Stolica Pomorza zaś posiada wreszcie instytucję, która wamnie przyczyni się do tego, aby Bydgoszcz była nie tylko największym na Pomorzu skupiskiem ludzkim, ale — by była jednocześnie pełnowartościowym kulturalnie środowiskiem.

„Twórczość” R. II Nr 2 Diariusz Kultury Polskiej 1945.

Jerzy Remer

CEGLY NAD BRDĄ

Żyją one tutaj w wielowiecznych zabawkach, układane z największą finezją przez średniowiecznego muratora; inne krzyczą w pseudomonumentalnych gmachach pseudogotyckim „stylem” z ducha obcego poczety; jeszcze inne sterczą obnażone w ruinach i zgliszczach powojennych; a te ostatnie znów znosi tutejszy i

nietutejszy człowiek pod własną budowlę dzisiejszej rzeczywistości na polskim Pomorzu.

Jesteśmy bowiem w stolicy Województwa Pomorskiego, w ceglanej Bydgoszczy. W nowej stolicy a w 600-letnim grodzie. Do niedawna był nią również ceglany Toruń. Bogatszy od swej siostrzycy pomni-

kami swej architektury, inwentarzem za-
bytków przeszłości, ilością i jakością dzieł
sztuki o stużelnej wartości, sławniejszy
w dziejach, słynny Kopernikiem, związa-
ny ściślej wodą wiślaną z całą Polską.
Niegdyś była ta rzeka w pobliżu naszego
grodu, dziś jest jeno Prawisłą, jakby
wspomnieniem. Bardziej rodzinna stała się
tutaj Brda, wierna, najwierniejsza rzeka
bydgoskiego grodu, okalająca go wodnym
pierścieniem, który uderzał niegdyś kręga-
mi fal o jego wały i mury obronne a rów-
nocześnie otwierał swe wody dla pełnych
śpiczlerzy. Słowiańska rzeka, mówią od
dębza (niby wypłukanego wawozu) je-
szcze w XIII w. Dbrą zwana; horowiacka
rzeka w stosunku do klasycznie majesta-
tycznej Wisły fantastycznie romantyczna.
Ale właśnie opodal Bydgoszczy prądy i
kontrasty pierwszej i drugiej rzeki łączy
się w harmonijną syntezę. Jest w tym
związku odrębnych stylów dwóch rzek coś
twórczego, coś z odwiecznej walki dwóch
światów i dwóch światopoglądów: klasycz-
nego i romantycznego, które na tej ziemi
dochodzą już dziś do wspólnego wyrazu
— w twórczej odbudowie życia.

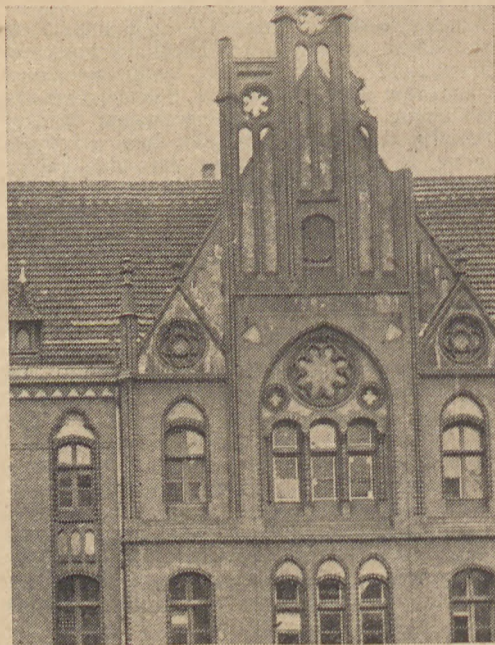
Wiek zatarły średniowieczną kompo-
zycję miasta. Analiza jego konstrukcji i
formy — a wszak te dwie dziedziiny skła-
dają się na plastyczny obraz miasta — nie
należy do łatwych zagadnień urbanistycz-
nych a dla powierzchownego obserwato-
ra, bez wkładu z jego strony pierwiastków
wyobraźni, może doprowadzić do fałszy-
wych wniosków. W obrazie dzisiejszego
miasta brak wielu najistotniejszych i na-
jstarszych części składowych powoduje, że
oblicze jego nie ma średniowiecznego wy-
razu, o którym dowiadujemy się dopiero
ze źródeł historycznych; chcąc bowiem
odszukać pierwszy dyspozycyjno-architek-
toniczny element najstarszego osiedla nad
Brdą sięgnąć musimy aż do 1239 r., w któ-
rym po raz pierwszy wspomniano źródło-
wo o zamku bydgoskim. Niewątpliwie bo-
wiem tenże zamek, może z kościółkiem św.
Idziego, uchodzić, jak gdzieś indziej, za
pierwszą komórkę przyszłego ośrodka,
komórkę pod której opieką mogła bytować
miejskowa ludność. Lecz i późniejsze ele-
menty już ściślej związane z lokacyjnym
dokumentem z 1346 r. Kazimierza Wielkiego,
mury miejskie, podobnie jak zamek,
wyeliminowane zostały niemal zupełnie z
wizerunku miasta; tym bardziej więc ni-
kle ich ślady (patrz rycina) wymagające
mozolnych poszukiwań i nie mniej mozol-
nych prac rekonstrukcyjno-urbanistycz-
nych, zasługują nie tylko na pobieżną
wzmiankę, ale na pełną uwagę tych
wszystkich czynników pozafachowych, któ-
rzy, jak się to już stało, rozumieją, że
conservatio est continua creatio. Tak! Za-
chowywanie jest ciągłym tworzeniem — w
tym wypadku przez włączanie elementów
dokumentarnie plastycznych do żywego
organizmu miasta.

Z panoramicznego oglądu miasta trud-
no zatem odczytać plan średniowiecznego
grodu, skupionego na dość wąskim tere-
nie na prawym brzegu Brdy u stóp dłu-
giego łańcucha spadzistych wzgórz, zwa-
szcza, że postać architektury starego mia-
sta uległa również dość zasadniczym
przeobrażeniom a bardzo rozległy obszar
nowego lewobrzeżnego miasta z chaoty-
cznie rozmieszczonymi sylwetkami wieżyc
kościelnych, kominów fabrycznych i zrze-
bów znacznych kompleksów budowlanych
kontrastowo przeciwstawia się praw-
obrzeżnej zabudowie. Nie zmienił się bo-
wiem plan ulic Kazimierzowskiego grodu,
w którym wąskie uliczki ze starymi do-
mami mieszczańskimi wprowadzają uwa-
żnego obserwatora w dawną kompozycję
ujawniając przed nim typ szachnicowego
miasta średniowiecznego z murami, stano-
wiącymi niejako podstawę architektonicz-

na dla piętrzących się nad nimi brył we-
wnątrz nich wzniesionych jak kościoły,
ratusz, śpiczlerze, sukienice, młyny itp.
Niedostatek tych elementów architekto-
niczno-urbanistycznych zubożył niewątpli-
wie kilka czynników kształtujących wize-
runek miasta, jak np. czynnik warowności,
pozostający w ścisłym związku z czynni-
kiem warunków przyrodzonych, wysuwa-
jąc natomiast czynniki nowoczesnego roz-
woju gospodarczo-przemysłowego górują-
ce w kreacjach architektury urbanistycz-
nej z jej upadku w minionym stuleciu.

To też patrząc na najstarszą świątynię
bydgoską — farę p. w. świętego ryce-
rza, Marcina, i św. Mikołaja, patrona że-
glarzy — na jej architekturę ceglana (na
dalszej stronie nin. numeru tak wnikliwie
opisaną i po raz pierwszy w chronologii i
genezie poddaną w zasadzie słusznej re-
wizji badawczej), zdajemy sobie sprawę
nie tylko z materialnego jestestwa tej ar-
chitektury, z istoty materiału ceglano-
go, lecz przede wszystkim dotykamy się nie-
jako bezpośrednio jednego z najbardziej
charakterystycznych elementów staro-
wiejszego organizmu, elementu, który winien
nam zastąpić realia, owe zatracone, zagi-
nione i zniszczone (przeważnie w wojnach
szwedzkich i w pokojowych czasach za-
boru niemieckiego i ostatniej okupacji), za-
bytki architektury, odgrywające w kom-
pozycji miasta pierwszorzędą rolę.

Świadomi jesteśmy, że właśnie wspom-
niany materiał ceglany rozstrzyga o arty-
stycznej wartości utworu kształtu. Ze ce-
gła była jakby myślą kształtującą bryłę
naszego kościoła farnego, w którym wy-
raziła się ówczesna idea budowlana w
sposób konkretny, dotykający, w każdym
razie wyraźnie oddziaływujący na naszą
wrażliwość optyczno-plastyczną. Zakłęta
w ceglana formę tej architektury myśl go-
tyckiego technika-konstruktora jako wyra-



PRZYKŁAD BRZYDOTY BUDOWNICTWA
PSEUDOGOTYCKIEGO, — URZĄD POCZTOWY
W BYDGOSZCZY (Fot. P. Wiszniewski)

ziciela „kolektywizmu architektonicznych
form“ i idei urbanistycznej przekonywa
nas o demokracji tej sztuki ceglanej.

Widzimy w niej odrębność i jej własny
świat rządzący się swoistymi prawami ar-
tystycznymi i osiągający poprzez długie
stadia rozwoju (co obserwować możemy
na innych dwu późnogotyckich kościołach
bydgoskich: pp. Klarysek i św. Jerzego,

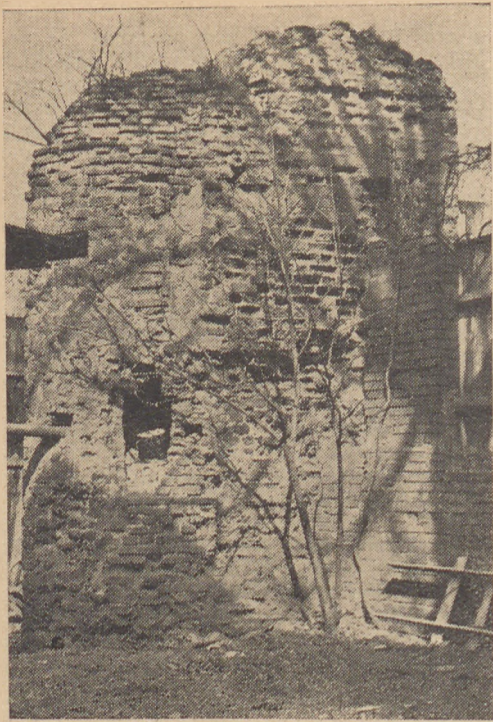
pobernardyńskim) różne wyrazy, zawsze
jednak zależne od materiału t. j. cegły.
Sprawdzamy zatem, że budowla ceglana
wymaga od początku jasnego, niemal lo-
gicznego myślenia i członkowania; jedna
zasadnicza miara, jeden ton, jedna idea,
ciągle w pewnej skali powtarzana a tylko
w szczegółach zróżnicowana. Słowem każ-
da forma architektoniczna i każda forma
zdobnicza jest pełnowartościowa a przy
całej monumentalności (nie zawsze iden-
tycznej z rozmiarami) widzimy w tej sztuce
ceglanej średniowiecza polskiego jakby
świadomą powściągliwość, wynikającą wła-
śnie z właściwości użytego materiału. Po-
za tym otwiera nam nasz zabytek per-
spektywy na zatartą tutaj epokę, na jej
program budowlany, na wytyczne w plano-
waniu, w których był on tylko jednym
z elementów, zresztą nie małoważnym w
kompozycji starego grodu, ukształtowane-
go na modłę ówczesnych miast przez har-
monijny zestrój czynników przyrodzo-
nych, gospodarczych, obronności, komuni-
kacji i obyczajowo-prawnych (o czym
poucza nas urbanistyka).

W obliczu tych trzech sakralnych za-
bytków, zastępujących nam wizję średnio-
wiecznego miasta, jakże „bezduszną“
(właśnie bezduszną) jest monumentalna
(tylko w wymiarach) architektura cegla-
na pseudogotyckich gmachów, wzniesio-
nych tutaj w XIX w. głównie przez nie-
mieckich zaborców.

Przyznajemy im „naukowe“, obiektyw-
ne zestawienie wszystkich składowych
części według najlepszych wzorów goty-
ku ceglano-ego. Odmawiamy im, nie od dzi-
sia, wszelkiej inwencji twórczej, wszel-
kiego odczucia istoty materiału (w rozu-
mieniu i. w. określono), owej tajemnicy
gotyckiego muratora, który w materiał
skryształizowany w gotycką formę umiał
tchnąć organizatorską ideę. Cóż z tego, że
jego naśladowca składa z tegoż samego al-
fabetu ceglano-ego te same zwrotki a w sy-
stemie kładzenia cegieł-liter nie wiele się
różni od pierwowzoru, że prześledziwszy
wzajemne stosunki w liniach i płaszczy-
nach, w otworach, lizenach, laskach, ma-
swerkach we wszystkich członach składa-
jących się na całość, podobnie jak w bar-
wie (od jasnej czerwieni aż do ciemnej
glazury), stara się nie odbiec tak pod
względem konstrukcyjnym jak i formal-
nym od sąsiadującego z jego dziełem
utworu — coś z tego, gdy dzieło najprze-
myślniej i najwierniej w szczegółach od-
tworzone pozostaje martwe, jest formą —
skorupą bez wewnętrznej treści, jest ra-
zem kościołem i zamkiem i jeszcze czymś
innym a miało być tylko np. budynkiem
pocztowym (patrz rycina).

Zdajemy sobie sprawę, że tego rodza-
ju architektura ceglana dość licznie, nie-
stety, reprezentowana w naszym mieście
nad Brdą (gdzie śpiczlerz jest naprawdę
śpiczlerzem) pozostawiła na obliczu mia-
sta wkomponowanym we właściwe oto-
czenie ze stanowiska urbanistycznego
„ślady“ obcości, rzucające się w oczy już
przez sam wybór miejsca, zajmowanego
rozmyślnie dla unaocznienia symbolu wła-
dzy. Sponiewierane stare miasto, rozwija-
jące się według naturalnych praw i czyn-
ników gospodarczo-społecznych i obcza-
iowo-prawnych, zatrafiło najważniejszy
czynnik — kompozycji urbanistycznej, śwla-
domiej i celowej twórczości, czynnik, który
jest, jak mówi znakomity urbanista, Ta-
deusz Tołwiński, „emanacją twórczego
ducha ludzkiego“.

To też lecząc, na szczęście, nieliczne
rany z wojennej pozoży usuwa miasto ze
swego oblicza wszelkiego rodzaju garby-
ruiny i na miejscu ich zakłada na razie
zieleńce zastępując tym elementem przy-
rodniczym utwory, które muszą w przy-
szłości wyrósć z przemysłowego planu ur-



FRAGMENT BASZTY DAWNYCH MURÓW MIEJSKICH (Fot. P. Wiszniewski)

banistycznego i związać znów przeszłość z jutrzejszą rozbudową wielkiej Bydgoszczy. Wielkiej pod względem gospodarczo-przemysłowym, rozbudowy rzemiosł i w niemiejszej skali kulturalnej. Zrozumienie tej roli miasta jako zespołu czynników zawsze kształtujących żywy orga-

nizm miejski wypływa tutaj z naturalnego podłoża, z warunków geograficznych, topograficznych, społecznych i historyczno-politycznych i nie może być zakwestionowane przez żadne uboczne zjawiska destrukcyjne lub opory hamujące naturalny rozrost. Chodzi jednak o powszechną świadomość dróg prowadzących do właściwego celu: włączenia naszego miasta do narodowej gospodarki, o realizację tej idei, która architekturę życia społecznego buduje na fundamentach trwałych, z gruntu danego środowiska wyrastających potrzeb i możliwości. Dobrze się więc stało, że np. pobliski Toruń, zamknięty w sobie, skupiony w swych murach, oddychający atmosferą wielkiej nauki kopernikańskiej i wielowiecznej sztuki został wybrany na siedzibę uniwersytecką, na domenę wiedzy i kultury. Bydgoszcz natomiast jako ośrodek dyspozycyjny o większej dynamice, przejawiającej się w ustroju wspomnianych czynników otwarte ma bramy na najszerze drogi nie tylko w znaczeniu przemożnym: drogi handlowe doprowadzające produkty i towar na otwarte dziś morze. A z tym wiążą się odmiennie zagadnienia dla „nowej” Bydgoszczy jako centrum zestrajającego i dysponującego a tym samym powstają nowe problemy urbanistyczne rzutujące w przyszłość miasta także pod względem architektonicznego kształtowania.

Oto są cegły, narazie tylko cegły-myśli dla przyszłych konstruktorów wielkiego miasta nad Brdą, któremu wyznaczono trudną i odpowiedzialną rolę kierowniczą, bazującą na odległej tradycji wielkiego budowniczego Polski, który pozostawił ją i na tym miejscu „murowaną”.

Cegły nad Brdą mają swą wymowę. A jubileusz „starego” miasta obowiązuje.

Gwido Chmarzyński

FARA BYDGOSKA

Ody przechadzamy się po Krakowie, Gdańsku, Pradze czeskiej — dzieje tych miast znajdują równo znaczny wyraz plastyczny i monumentalny w planie urbanistycznym, budowach zabytkowych, szczególnie obficie reprezentowanych i nieledwie swym konkretnym istnieniem, na który złożyły się wiekowe nawarstwienia, opowiadających o przeszłości dawnej i świeżej, a niekiedy sugerujących twórczość przyszłą. Zabytki te wytwarzają swoistą atmosferę sprzyjającą twórczości artystycznej i intelektualnej, zmuszając dzisiejszych twórców do refleksyj, zobowiązują.

Zastanawiałem się nad zabytkami bydgoskimi i stwierdziłem początkowo, że w trudzie wielkim odnajdę tam czynniki, któreby wyłoniły problematykę historyczno-artystyczną. Zdawało się, że zagadnień formalnych poszukiwać należy w sąsiednim Toruniu, którego budowle starcaży niemal za dzieje pisane, a którego wartości historyczno-artystyczne zdają się przytłaczać „biedę” zabytkową Bydgoszczy. Jednak rozważenie się wśród biejących śpichlerzy o powierzchni ciemno-pokratowanej, uroczysto-rostawianych w zespołach pięknego drzewostanu nad rozlewiskiem Brdy, na wyspie i brzegach, wyłoniło punkty bliżej interesujące. Kontrastują biele, szarości, brązy, zielenie głębokie oraz błękity nieba i wody niespokojnej — a wśród nich wznoszą się umiarkowanymi pionami płany cynobrow spatanowanych na szczytach, murach i dachach kościelnych: fara bydgoska, bernardyńska, klaryska. Mamy więc większe fragmenty historii miasta, które nigdy w prze-

szłości nie było wielkie, lecz które było gospodarczo ważne. Powstało przy pętli rzeki wśród olbrzymich lasów. Splaw drzewa i zboża był promotorem powstania i życia miasta. Pozostał nim nadal, rozwinął zasięg i organizację gospodarczą, poszukał nowych linii wodnych i sprzął jak kłamra spływy rzek od Krakowa do Gdańska i Szczecina. Ekonomiczne racje, realizowane już w początkach polskiego średniowiecza, pozostały aktualne w okresie nowożytnym, a przyszłości napawa optymizmem.

Na tej kłamrze wód, w samym ośrodku pętli Brdy, łączącej zespoły Wisły i Odry, siedziała fara bydgoska. Budowla ceglana, czerwona, ładna, harmonijna, w otoczeniu bieli, zieleni i błękitów, gotycka — a więc bryłą i organizacją konstrukcyjną wznosząca swój kształt ponad zespoły budowlane i drzewa średniowiecznego jądra obecnego miasta. Zbliżyliśmy się do świątyni od strony rynku, chociaż dzieje przeznaczyły jej strażnisko nad zlewiskiem wód; jakby kościół na wodzie. Najprzejmniej byłoby też podplwać do niej przez rzekę. Od dziecka kojarzyłem tę budowlę zawsze z szumem i bulgotem pracowitej rzeki, w odnodze swej spiętrzonej tu zaporami. Niewielki plac za drzewionym. Na nim mocno wryła się w ziemię fara, której patronuje św. Mikołaj, ten, co i nad morzem wziął w swą opiekę kościoły. Obchodzimy świątynię i spostrzegamy, że piękno jej polega na bezprzykładnej prostocie zespołu brył architektonicznych: dwa rzuty — jeden kwadratowy naw, na którym wznosi się prawie sześcian przykryty stromym dachem i prostokąt chóru,

trójbocznie zamknięty. Przy fasadzie chłodniej przysiadła później niż gotycka budowla kruchta maleńka o ukośnych przyporach — barokowa przydawka, malownicza, sarmacka, podobnie jak kapliczka z kopułką po stronie rzeki. Wierzę-dzwonnice wzniesli murarze średniowieczni od południowej strony „ładu”, byli ostrożni, gdyż grunt po tej stronie był pewniejszy. Niezależnie jednak od tych momentów natury praktycznej myśl wzniesienia wieży powstała niezawodnie już po rozpoczęciu realizacji planu kościoła bezwieżowego, na co wskazuje watek murów, nieregularny rzut, uzależniony od terenu niezbyt pewnego. Istotnymi więc czynnikami wyglądu architektonicznego jest część nawowa i chór.

Zostajemy jeszcze na zewnątrz i obchodzimy kościół: trzy nawy tworzą wspólna zwartą bryłę, rozczłonkowanie możliwe ograniczone, przypory rzadkie, cały ciężar i ciśnienie rozładowane na murach obwodowych i filarach wewnętrznych. Nad masywną naw umieszczono wysoki spadzisty dach, którego wysokość nieco przewyższa bok kwadratu trzech naw. Moment ten decyduje o harmonii i spokoju zespołu brył: trójkąta umiarowego, osadzonego na prostokacie przekroju naw o stosunku 5,2:3. Mamy przed sobą proporcje, charakterystyczne dla późniejszej fazy architektury gotyckiej typu prowincjonalnego z przełomu 14/15 wieku. Najważniejszy element dekoracyjny farwy objawia się w pięknych szczytach schodkowych elewacji zachodniej i wschodniej naw. Szczególnie szczyt zachodni (wejściowy) posiada układ ekspresyjny przez 4-krotne wydłużenie wysokości szeregu sześciu bielonych wnek o oślich grzebiętach w stosunku do wnek w górnych dalszych pięciu piętach. Nadano tym sposobem górnej części frontonu niebawala lekkość, a przede wszystkim odmienną wobec rozwiązań szczytów na ziemiach chełmińskiej i gdańskiej.

Chór fary (presbiterium) o zamknięciu trójkątnym jest wyjątkowo długi. To dążenie dogłębne stanowi kontrast do zbitości i centralistycznym tendencjom hołdującej bryły naw, jest przyczepkiem organicznie niezwiązanym z nawami i nosi znamiona poułarnego systemu addycyjnego, reprezentowanego w wielkich kościołach Torunia, Grudziądza, Tazewa, Gdańska. Cechę „do-czepienia” podkreślała jeszcze niskie proporcje chóru, które wykazują niedwuznacznie orientację tej architektury schyłkowej w kierunku centrum świątyni: nawa jest problemem istotnym architekta. Funkcje liturgiczne zdały się ustępować na rzecz funkcji kaznodziejskich.

Łatwo odczytujemy z bryły wewnętrznej system wnętrza: trzy nawy o układzie halowym (nawy równo wysokie); po trzy wyprucia okienne symetryczne wskazują na trzy równe przęsła, wpisane w idealny kwadrat rzutu (21×21 m); cztery filary organizują przestrzeń. I właśnie w tym punkcie fara bydgoska posiada swą problematykę architektoniczną, która pozwala budowlę tę włączyć w zespół większy, naświetlić jej formę i określić jej charakter. Próby tej dotąd w literaturze naukowej nie zrobiono, iak w ogóle jedyny naukowy przyczynek dla dawnej sztuki bydgoskiej pozostawił Tadeusz Dobrowolski, omawiając rzeźbę i malarstwo średniowieczne w Bydgoszczy („Rzeczy Piękne”, Kraków 1927, VI). A wydaje się, że fara bydgoska zasługuje na bliższe rozpatrzenie jej formy; zachowane przekazy historyczne są zwodnicze i przypadkowe — kształt sam niech ujawni daty. Niemiecki inwentarz Kohtego z r. 1897 (t. IV) dał jedynie materiał pomiarowy, nic poza tym.

Wchodzimy do kościoła: przestrzeń jednolita, jakby centralna, poszczególnie przeszła zarówno boczne jak i główne od zachodu i wschodu wirują i zwierają się ku środkowi; światło równomiernie rozproszone, nastroj trzeźwości i zwartości. Brak rytmu przesł, żadna nawa nie dominuje, wszystkie są ważne, tak jak ważne są wszystkie portale; szeroki rozstęp 4 filarów ułatwia spojrzenie ukośnie, poprzecznie; ściany między nawami urosły się ku górze i upadły. Filary ośmioboczne mimo dekoracyjnych wałków służkowych są samodzielnym elementem, nie powiązany ze sklepieniem odrzutem liniowym żeber ku dołowi: sklepienie spoczywa na bryle naw jak pokrywa (obręcze na filarach u nasady arkad podkreślają tę dwudzielność). Jesteśmy w budowli halowej o wyjątkowej tendencji do kształtu centralnego (należyte przeżycie przestrzeni ma obecnie barokowy chór organowy). Żaden z kościołów pomorskich — poza budowlą w Piasecznie k. Gniewu, lecz tam proporcje naw inne — nie ujawnia podobnej dążności; jedynie rzuty brodnickie i toruńskie św. Jakóba — z 1-szej połowy 14-go wieku — wykazują podobnie szerokie rozstawienie naw, następne okresy rzuty naw zwięzają.

Porównanie fary bydgoskiej z kościołem św. Krzyża w Pradze z 14-go w. (o identycznym planie) wydaje się wskazywać na źródła inspiracji architekta bydgoskiego, który wzory czeskie przejął za pośrednictwem Pomorza północnego. Na Pomorze chełmińskie zdaje się natomiast wskazywać zastosowanie chóru polygonalnego, używanego tam w większych kościołach wiejskich (pow. toruńskie, brodnickie i lubawskie). Hale kujawskie i kaliskie mają inne formy rozwiązania przestrzennego. Nie mogąc wdać się w analizę szczegółową i porównawczą budowli bydgoskiej, chcę zaryzykować twierdzenie, oparte zresztą na wymienionych przesłankach, że plan jej powstał na

starszych założeniach 14-wiecznych (jest wiadomość o erekcji fary w 1399 r. na dzisiejszym miejscu). Tym samym odrzucam powtarzane wciąż wersję o pierwotnym kościele drewnianym i zbudowaniem od fundamentów nowego ceglanego kościoła w końcu 15 w. Cofając w ten sposób metrykę dzisiejszej fary bydgoskiej, używamy w niej dokument architektoniczny ze stulecia założenia miasta.

Spalenie miasta w r. 1409 przez Krzyżaków i odbudowa jego ok. 1425 spowodowały pewne zmiany w wystrój architektonicznych, a znaczniejsze zmiany dotyczyły jedynie wspomnianych już szczytów i sklepień. Sklepienia bowiem, choć oparte w nawie głównej o schematy gwiaździste, znane w 14 wieku z kościołów i zamków pomorskich, mogły być powtórzone z modyfikacjami w nawach bocznych w 2 połowie 15 wieku. Znamy je zresztą w tej formie z pobliskiego Wągrówca, Łekna i Mogilna (i tam trzeba zrewidować daty). Natomiast sklepienie chóru jest wyraźnym tworem pocz. 16 wieku; ten system siatkowania łączony z przegwieżdżeniem widzimy w południowym transepcie katedry pelplińskiej (ok. 1557) i w Lignowach Szlacheckich (ok. 1550), wcześniej zaś przejął się w mogileńskich Gębicach (ok. 1520). Bydgoska droga leżałaby prawdopodobnie pośrodku.

Opuszczamy kościół, rzuciwszy jeszcze okiem na gotycki obraz „Madonny z różą“ w wielkim ołtarzu, fundacji starosty bydgoskiego Stanisława Kościeleckiego z ok. r. 1525. Schodzimy do rzeki i zastanawiamy się nad wyglądem innych 8 kościołów gotyckich (zachowały się z nich tylko świątynie bernardynów i klarysek), które zdobyła biedna dziś w zabytki Bydgoszcz, a z których kościół farny dostarcza nam zawsze przyjemnych przeżyć estetycznych i zniewala — jak widzimy — do interesujących refleksji.

Gwido* Chmarzyński

Aleksander Dziensiuik

W CIENIACH I BLASKACH HISTORII

Każde miasto, mogące się poszczycić dłuższym okresem istnienia, posiada swoją własną historię i tradycję, które uchodzą słusnie za zwierciadło jego żywota, obfitość w cienie i blaski, pełnego pogody i szczęścia, tudzież wstrząsów i niepokoju, tak jak życie przeciętnego człowieka.

Niczym Rzym starożytny, osiadły nad Tybrem na grecko-etruskim szlaku handlowym, wyrósł podobnie w zakolu Brdy i Wisły gród bydgoski z osady, powstałej jeszcze w zamierzchłych czasach i leżącej na drodze karawan kupieckich, ciągnących hen z dalekiego południa po złote skarby na bursztynowe wybrzeża Bałtyku. Dzięki swemu kluczowemu położeniu zamek bydgoski obok szczególnie pomyślnych warunków do rozwoju i przeobrażenia się w miasto (edykt Kazimierza Wielkiego z roku 1346. IV. 19) posiadał wiele powodów do tego, by stać się przedmiotem zaborczych krzyżacko-pruskich apetytów. To też nie można powiedzieć, by surowa lecz bezstronna nemezys dziejów, która zwykle towarzyszy nieodłącznie wszelkim procesom historycznym, mogła uskarżać się na brak sposobności do interwencji w burzliwym życiu grodu legendarnego Bydgostia. Jak sięgnąć w przeszłość, od pierwszych chwil narodzin życia zaniku bydgoskiego płynie wśród ciągłych walk i zmagañ, w których krzepnie hart ducha i męstwo jego załogi, dojrzewa stalowa odporność tej naturalnej bazy dostępu do Bałtyku, przeciwko władczyim za-

kusom Pomorzan, Krzyżaków o potem Prusaków. Od czasów niebaczego kroku Konrada Mazowieckiego drapieżna łapa krzyżacka, wyciągnięta chciwie ku Pomorzu, zawisła i nad twierdzą bydgoską. Jej bowiem posiadanie zapewniało zdobywcom swobodę ruchów na Pomorzu, odcinało kraj polski od morza i tym samym paraliżowało jej rozwój ekonomiczny i osłabiało prawdziwą niezależność. Nic więc dziwnego, że niebawem inny rabuś niemiecki sięga z zachodu po Pomorze — margrabiowie brandenburscy, gnębiąc zachodniej Słowiańszczyzny. W nieubłaganej walce z nawałą krzyżacko-pruską szeregbił miecze potężny ród Piastów i Jagiellonów na polach bitew pod Płowcami, Grunwaldem i Koronowem... Wspierali go ofiarnie dzielni starostowie bydgoscy z Janem z Brzozogłówn, Dobiesławem Puclalą i Mikołajem Sciborą na czele. Wszelkie jednak wysiłki i bohaterstwo okazały się daremne. Ziemiańskie interesy szlachty przesunęły z czasem zdecydowanie punkt ciężkości polskiej myśli politycznej na wschód. „Zadomowiony szlachcic o morzu ani słyszeć nie chciał“ — czytamy w „Rozmowach Kruszwickich“ z roku 1573. Niepopularność problemów morskich wśród ogółu szlachty i idąca w ślad za nią rezygnacja z polityki morskiej oto widoczny znak zacieśniania się horyzontów polskiej myśli narodowej oraz wyraźny objaw niemocy i gnuśności Rzeczypospolitej szlacheckiej, uwikłanej przez

interes klasowy rządzącej warstwy w niefortunne „siepaniny“ na stepach ukraińskich i białoruskich polach. Prywata i egoizm usunęły w cień najżywotniejsze sprawy narodu i pełniły ostatecznie Polskę w przepaść rozbiorów. Nad Pomorzem a jednocześnie i nad Bydgoszczą zawisła ciężka pięść germańska. Fryderyk II, „szakał pruski“, bezpośredni inicjator pierwszego rozbioru stał się wcieleniem tej nienawiści teutońskiej do Polski, a zwłaszcza do tego wszystkiego, co świadczyło o polskości Pomorza. „Wzniesła się w nim pasja główna — pisze Żeromski — stara do Polski nienawiść, straszna i nienasycona, wciąż od samego dna duszy wznosząca się aż do szalu. W nocnej ciszy marzył o przebicciu osinowym kołem tego upiora, o dobieciu tego wroga swego życia... Krew mu mózg zalewała. Czuł, że jest w stanie podnieść do góry i roztrącić z wysoka tę całą ziemię, rozwalić ją na drzazgi, zdruzgotać na miazgę, ażeby z tej gleby wrzuszanej, z nawozu czarnego, nową cywilizowaną według jego myśli formę ugnieść, uczynić, wylepić“.

Jeż to razy w czasie wieczorów, spędzonych w chatkach kaszubskich, podczas wizytowania nowych placówek, „niczem bastion teutoński wmurowanych w stare ziemie słowiańskich“, „zagłębiał się w mapy“ pruski władca i wodził „wzrokiem upiora“ „po tym klinie, którym już zabił Rzeczypospolitą Polskiej drogę do morza...“ A więc szczególnie nienasyconym i drapieżnym okiem germanizatora patrzył Fryderyk na ten kraj, w którego sercu leżała Bydgoszcz, owa klanra w pasie ziem, łączących Prusy Wschodnie z trzonem Rzeszy Niemieckiej. „Przeglądał stopy swych notat dawniejszych — pisze autor „Wiatru od morza“ — i spozstrzegł z pociechą, że osadził już w Bydgoszczy sto rodzin kolonistów niemieckich“. W tej bezwzględnej i intensywniej akcji germanizacyjnej, w której jedynie przewyższył pruskiego najeźdźcę hitlerowski zaborca, uczestniczył z niesłabnącą energią i szatańską niemal gorliwością namiestnik Fryderyka II, Franz Balthazar Szoenberg von Brenkenhoff, zarządca regencji bydgoskiej. Nastąpiły czasy uporczywego niemczenia miasta i okolicy, czasy wydzierania z serc polskich narodowych uczuć i dążeń oraz burzenia polskich zabytków i pamiątek, czasy, które, podobnie jak ostatni okres hitlerowskiej okupacji, nawiązującej do tradycji pruskich rządów, zasługiwałyby przede wszystkim w przyszłej monografii Bydgoszczy na gruntowniejsze studium.

Wśród klęsk i cierpień poznaje się zwykle prawdziwą wielkość i niezachwiana wierność. A był to przecież okres depresji i rozpacz po utracie wolności — okres kajania się narodu polskiego, którego pierś rozdarły niewczesne „Zale Sarmaty“, bolejące nad zapomnianym testamentem Chrobrych i Krzywoustych, nad minioną potęgą Ojczyzny, opartą o wiślaną arterię:

...Wisło! Nie Polak z ciebie wodę pije.

Jego się nawet zacierają ślady.

On dziś przed swoim imieniem się kryje, Które tak może sławiły pradziady“.

Pomimo tej atmosfery goryczy i zwątpienia, która niby dławiaczy i duszny opar unosiła się nad krajem, Bydgoszcz nie uległa zaborcy i nigdy całkowicie nie straciła swej polskości, zyskując tym samym słusze względy bacznej na wszystko nemezys dziejów. Dowodem tego — okres insurrekcji Kościuszkowskiej, a właściwie jeden jej fragment, pamiętny w życiu naszego miasta, który wśród ogólnego radosnego podniecenia, niby potężna błyskawica rozporządził mrok polskiej narodowej nocy nad Brdą. Mam na myśli zwycięską akcję zbrojną w czasie powstania wielkopolskiego pod wodzą generała Dąbrowskiego, przyszłego twórcy legionów, które pierwsze, owiane

duchem Wielkiej Rewolucji, pragnęły znieść z Lombardii do kraju wolność i idee demokratyczne. Zdobyć Bydgoszcz przez gen. Dąbrowskiego — oto krótki i stosunkowo mało znany moment w historii powstania Kościuszkowskiego, który w jubileuszowym roku (miasta i naczelnego wodza) wymaga szerszego omówienia. Był to właśnie ów jasny promień w dziejach Bydgoszczy, który, chociaż nie trwał długo, to jednak ze względu na nieoczekiwaną skalę swego napięcia, przeniknął do głębi serca każdego mieszkańca, napełniając go niewymownym uczuciem szczęścia.

Bohaterski ruch powstańczy w Wielkopolsce przypadł już na okres załamania się insurekcji Kościuszkowskiej. Pod naporem wojsk moskiewskich i pruskich, po nieszczęśliwej bitwie pod Szczekocinami twórcą Manifestu Połanieckiego, wycofując się, zamknął się w obleżonej Warszawie. „Był to już 13 dzień obleżenia — pisze w tej sprawie Leonard Chodźko (List z dnia 10. 8. 1839 r.) — gdy przed świtem dnia 9 sierpnia major Karol Kniaziewicz, objeżdżając najbardziej wysunięte szczyty, miał sobie przedstawionego co tylko przybyłego do fopoczt naszych młodego wojskowego w oficerskim pruskim mundurze. Był to pan starosta śremski rotmistrz Józef Niemojewski, przekradający się w przebraniu z Wielkopolski z raportem i po rozkazy do Kościuszki. Zdał on naczelnikowi dokładne i ważne relacje o nastrojach, stanie i widokach ruchu w Wielkopolsce, zapewniając o możliwości zbrojnego wystąpienia i poważnej akcji dywersyjnej na tyłach wojsk pruskich“... Jakoż niebawem rozpoczyna w Wielkopolsce skuteczną działalność ruchliwa partyzantka, skupiająca młodzież przeważnie pochodzącą z ludu oraz ze średniej szlachty. Duszą całego ruchu i jego wodzem jest Niemojewski, przyszedłszy współzodbywca Bydgoszczy. Działa on wespół z innymi generałami, spośród których wsławił się szczególnie gen. Mniewski swym śmiałym napadem na pruski transport broni we Włocławku, splawiany Wisłą dla wojsk oblegających Warszawę. Energiczna i sprawna dywersja wstępna gen. Niemojewskiego podważa autorytet niezwykłej armii pruskiej, utrudnia cywilną administrację, paraliżuje transport i w rezultacie budzi szczerą niepokój w głównej kwaterze pruskiej i postanowienie zaprzestania obleżenia brońiącej się mężnie stolicy. Dnia 29 sierpnia rusza spod Warszawy na stłumienie „buntu“ gen. Schwerin i groźny pułkownik Székely, mszcząc się okrutnie na mniejszych grupach partyzanckich. Wówczas to Kościuszkowski, pragnąc wesprzeć akcję Niemojewskiego, wysyła z wojskiem do Wielkopolski dzielnego obrońcę stolicy gen. Dąbrowskiego i gen. Madalińskiego z pułkownikami Rymkiewiczem i Sokolnickim. Razem z Dąbrowskim podaża również Józef Wybicki, znany autor hymnu narodowego i współtwórca legionów. Po połączeniu się korpusu Dąbrowskiego z oddziałami powstańców w Kole i Słupcy rozpoczynają wojska polskie marsz w głąb terenu, zagrabionego po pierwszym i drugim rozbiore.

Do decydującego starcia z grupą Székely'ego przychodzi w Łabiszynie, gdzie Dąbrowski, wspomagany skutecznie przez kosynierów Niemojewskiego, brawurowym atakiem piechoty rozbija przeciwnika. Srogi i okrutny Székely, niby ranny zwierzę, cofa się ze swych legowisk nad Notecią i chroni się w Bydgoszczy. W ślad za nim postępuje Dąbrowski. Pomimo porażki w Łabiszynie butny Székely nie chce słyszeć o oddaniu miasta i na propozycję Dąbrowskiego odpowiada arogancko i drwiąco, nie szczędząc epitetu „ein Dummkopf“ pod adresem wodza powstańców. Walka więc o Bydgoszcz staje się nieunikniona. Po pewnej zwłoce, w której waży się ostateczna

decyzja Dąbrowskiego, badającego uważnie obronność miasta, dnia 2 października 1794 roku rozpoczyna się generalny atak na miasto od strony wzgórz szwederowskich, które, jak ujawnił uprzednio wywiad Rymkiewicz, nie zostały przez wroga obsadzone. Z momentu tego znakomicie korzysta Dąbrowski. Zarządza odpowiednie przegrupowanie wojsk, które na Wilczaku i na Bartodziejach osiąga linię Brdy. Następuje gwałtowny szturm. Székely traci głowę, nie

może uchwycić inicjatywy w swoje ręce. Po dwugodzinnej walce wojska polskie przez bramę Łabiszyńską i Nakielską wdzierają się do miasta. Próżno Székely wzywa do bezwzględnej oporu, próżno ściga oddziały, trzymane niebacznie na trakcie gdańskim, żołnierze Dąbrowskiego opanowują sytuację. Nieliczna artyleria polska nie pozwala wojskom pruskim przekroczyć mostu. Wśród zacieklej walki Székely zostaje ciężko ranny i dostaje się do niewoli, w której potem umiera. Jednocześnie przeprowadzony z inicjatywy Niemojewskiego manewr okrążający, zagraża odcięciem wojsk pruskich od wschodu i zmusza je do bezładnego i pośpiesznego odwrotu. Huraganowe natarcie jazdy Madalińskiego przekształca się w pościg rozbitego wroga, trwający aż do Fordonu. Bydgoszcz jest wolna.

I wówczas to miasto nad Brdą przeżywa podniosłe i uroczyste chwile entuzjazmu i szczęścia.

Zdobyć Bydgoszcz było niestety ostatecznym znacznym sukcesem insurekcji Kościuszkowskiej. W osiem dni potem nastąpiła tragedia Maciejowicka i powszechny odwrot ku Warszawie. Jasny promień nad Bydgoszczą zgasł tak szybko jak szybko się ukazał. Po dwóch tygodniach pobytu Dąbrowski opuścił zdobyty gród, żegnany smutnym wzrokiem jego mieszkańców.

Dopiero po 12 latach los pozwolił miastu nad Brdą witać znowu w swych murach bohaterskiego obrońcę i wodza legionów, który odkryty pod znakami Napoleona świeża chwałą zwycięstwa pod Jeną, obejmował miasto, by werbować w nim nowe siły do pochodu na Gdańsk. Odtąd z postacią Dąbrowskiego łączy się najsławniejsze po rozbiorach chwile grodu bydgoskiego: czas Księstwa Warszawskiego, czasy kulturalnego odradzania się miasta, uwiecznione wydawnictwem „Orędownika Departamentu Bydgoskiego“.

Dziś zwłaszcza chwile te są nam bliskie i drogie. Po niedawnym koszmarnym okresie hitlerowskiej tyranii głębiej niż kiedy indziej potrafimy zrozumieć całą potęgę uczuć, doznanych w związku ze spełnieniem tęsknot i marzeń, snutych wśród mrocznych i ciężkich dni niewoli wówczas i niemal jeszcze przed rokiem. Nie tak dawno przecież wśród huku działał i zgrzytu stalowych kółców pojawił się na ulicach miasta szare płaszcze żołnierzy radzieckich i polskich, niosących nam wolność. Widziało się wtedy w oczach mieszkańców łzy wdzięczności i szczęścia, widziało się braterskie uściski i powitania bez różnicy narodowości i rasy, które zwiastowały nie tylko wyzolenie ale początek nowego życia w odrodzonej Ojczyźnie.

I tak jak represje i ucisk Fryderykgrabieżcy, kontynuowane ze zbrodniczym pietyzmem przez kanclerza Bismarcka, przywodzić będą zawsze na pamięć hitlerowski gwałt i terror, tak też blask historii, wniesiony żołnierską ręką Dąbrowskiego w mury Bydgoszczy, stale kojarzyć się będzie z niewysłowionym uczuciem radości wyzwoleńcy przed rokiem miasta.

Po srogich odwetach, po „krwawych niedzielach“, po niezliczonych setkach ofiar hitlerowskiej karni stała dziś Bydgoszcz do pracy nad odbudową mocną i nieugiętą, doświadczona w cierpieniu i bogata w tradycje walczacej z teutońską przemocą polskości. Rozwijały się więc germańskie sny o potędze i panowaniu nad światem, zgasł mit o mezycieżalności hitlerowskiej armii, a jednocześnie przysła legenda niemiecka o „małym Berlinie“ i „eine urdeutsche Stadt“ nad Brdą wróciło do swej Macierzy. I tylko od nas, — od kierunku naszej myśli politycznej zależy, by odwieczna nemezis dziejów, wiernie czuwająca u bram grodu bydgoskiego, tym razem naprawę interweniowała po raz ostatni!

Alfred Kowalkowski

KARTA Z PODRÓŻY

**Nad miastem gasnący płak
frzepoczę skrzydłami wspomnień,
w zachód przed nami się wzbil
i rankiem nie wróci do mnie —
kamiennych poszuka gniazd.
Noc cięży w promieniach kół,
do pół zaprzągłem swe konie,
widnokrąg nie zamknie dróg.
Podajcie odległe dłonie
w ucisk goręjszy niż czas.**

**Podajcie mi wieńce rąk,
obejmę płynące miasto,
posłucham szepczącej Brdy,
śpichrzów i tratw, zanim zasną
i wiatru, co wierzbą ściחי.
Farej strzelistą jak psalm
pieśń moja wierna przewyższy,
u Bernardynów niech trwam
klęczącym posągim ciszy —
wędrówny, płonący mnich.**

**Tej nocy zmniejszył się świat,
wirem się zrywa spod stopy,
oddycham tu i wśród was
pod jednym szumiącym stropem,
a piersi szersze są dziś.
Bo na całym, przelotnym dniem
w onyksie kwitnących oczu
wzeszło mi miasto mych miast
i wzrok po wzgórzach się loczył,
doliną spadała myśl.**

**Daleka, oczy twe — sen,
w jawę przelopia go słowa;
czujny, gorący ich dźwięk,
nim skrzepna w pieśni od nowa:
miasto i oddech i świat.
Jeszcze wciąż rośnie mój szlak,
lecz tchnienia słuchajcie nocy:
ponad przestrzenie i mrok
po brukach krok mój tococe —
wykuwam z kamienia rytm.**

1938.

WIERSZ GOTYCKI IX

**Nie uoń powiek, dopóki nie stworzysz
ze spojrzeń, z dali i skinienia dłoni
miasta, co w tobie jak zachód się pali,
bardziej płomienne niż ziemia i człowiek.**

**Spiętrz je w kościolach, wieżach, łukach mostów
i przefnij rzeką i nakryj wzgórzami,
jak głaz je rzeką otwartym sześciu wiekom,
niech się wynurzy z czasu i zawoła.**

**Niech nagle wstanie i w krew niech przemienia
śmierć pulsującą w żyjących kamieniach,
aż się rozedrze dzień po wichrów kraniec
słońcem zakrzepłym w gotyckiej katedrze.**

**I ruszą wtedy ulicami grozy
ci co zginęli i ci co przetrwali,
mury otworzy im miecz archaniołów
a nieba otów na groby się zwali.**

Bydgoszcz 1944.



LEON
WYCZÓŁKOWSKI

DĘBY
Litografia

Władysław Lam

Z PRACOWNI LEONA WYCZÓŁKOWSKIEGO

Z POWODU WYSTAWY W MUZEUM MIEJSKIM W BYDGOSZCZY

Z Leonem Wyczółkowskim zetknąłem się w Poznaniu w roku zdaje się 1933. — Pewnego wieczoru odwiedziłem go w jego mieszkaniu, które mieściło się w bloku magistrackim tuż za budynkiem gimnazjum Mickiewicza na Łazarzu.

Obok pokoju jadalnego, umebłowanego kilku antycznymi meblami i kilkunastu obrazami, znajdowała się pracownia artysty. Był to zwyczajny, nieduży pokój, zastawiony przyborami pracowniczymi. Pod ścianami stały teki z papierami, rysunkami i litografiami. Wyczółkowski, aczkolwiek wtedy był już u schyłku swego życia, był w doskonałej formie i pełen energii. O malarstwie i o zagadnieniach artystycznych mówił z wielkim ożywieniem i młodzieńczym entuzjazmem. Na moją prośbę, zaczął mi pokazywać swoje ostatnie prace.

Z tek wydobywał wprost setki notatek, rysunków oraz odbitych już litografii. Objąśniał w jaki sposób opracowywał je, jak wyzyskiwał właściwości papieru, kamienia i techniki litograficznej. Z każdego kamienia robił zaledwie kilka odbitek, a po wybraniu najlepszych kłiszę niszczył.

Pamiętam, przez kilka godzin oglądania tych prac nie mówił nic o swoim malarstwie, a jedynie i wyłącznie o grafice. Nie jest to bez znaczenia. Był w tym okresie już tylko grafikiem. Jego malarska działalność pozostała w odległej przeszłości za nim.

Czy zmusił go wzrok do ograniczenia się do twórczości czarnobiałej, czy też inne były tego powody, trudno orzec. W każdym razie wyczuwał i rozumiał najdelikatniejsze subtelności techniki litograficznej i wydobywał z niej z finezją barwę i lekkość płatków kwiecia lub grę promieni świetlnych drgających na koronce gałązek wyrastających z mroków leśnej kniei. Interesowały go piękne architektoniczne motywy, a więc wnętrza starych kościołów ze smukłymi kolumnami i wykwitnym zębrowaniem na stropach, uroczyste zabytkowe budowle, ciche zaułki i wesole dale miejskich dachów, a wszystko to wyrażał składnymi rytmami akcentów czarnobiałych, bogatych w odcienie niekończących się różnic. Wyczółkowski jakkolwiek w swej młodości uchodził za malarza

kolorystę, nawet za malarza impresjonistę i wraz z naszymi typowymi impresjonistami jak Podkowiński był przez ówczesną naiwną krytykę atakowany za „fioletowy lampion“, który świecił na głowie wieśniaczki kopiącej „coś w rodzaju buraków“, to jednak impresjonistą naprawdę nigdy nie był. Owszem, pod wpływem impresjonizmu zerwał z mroczną atmosferą pracownianą i szukał natłumień w blasku słońca pleneru, ale cały ówczesny ruch impresjonistyczny, przychodzący do nas z Francji interpretował po swojemu, bez zachodnio-europejskiej dyscypliny.

Jego „orki“ z ciężkimi cielskimi pracującymi wołów, jego charakterystyczni rybacy, odcinający się od jasnych tafli błyszczących wód, czy pejzaże tatrzańskie, budowane są mimo zastosowania barw z kontrastów graficznych, a nie kolorystycznych.

Osobną pozycję w twórczości Wyczółkowskiego stanowi seria obrazów związanych z tematyką „grochów królewskich“, w których da się wykazać nadto przerosł literackości nad formą malarską. Znacznie szczęśliwsze pod tym względem są portrety Wyczółkowskiego; wśród których wybijają się na plan pierwszy charakterystyczne autoportrety, pełne zdecydowanego wyrazu i zwartości rysunkowej.

Pamiętam na jednej z poznańskich zbiorowych wystaw Wyczółkowskiego całą salę olbrzymich litografii, z których każda była mocno postawionym akordem graficznym, a wśród nich jedno wnętrze lasu o silnych kontrastach czarno białych z nieoczekiwaną plamą czerwoną zachodzącego słońca. Otóż rysunek ten upewnił mnie w tym, że Wyczółkowski w swej późniejszej twórczości coraz mniej interesował się zagadnieniem koloru, znajdując pełnię wyrazu dla swych artystycznych przeżyć w grafice nie pozbawionej najwyższej czułości i wirtuozerii technicznej.

Jeżeli mowa o wpływach, a każdy artysta ulega jakimś, to u Wyczółkowskiego możnaby mówić o wpływach wschodniej kultury. Wypracował w swej grafice bogatą szkołę możliwości przy zastosowaniu finezyjnej i koronkowej linii graficznej, jaką znajdziemy u japońskich i chińskich mistrzów rysunku, ale ta dekoracyjność nie była u Wyczółkowskiego pozbawiona europejskiego realizmu spojrzenia na rzeczywistość. — Był grafikiem czułym i wrażliwym na charakter zjawisk w przyrodzie. Ubogimi środkami graficznymi umiał z mistrzostwem wyrażać dostrzegane w niej nastroje.

Był wielkim miłośnikiem przyrody i wnikliwym badaczem oraz mistrzem czarno białej sztuki.

W grupie naszych malarzy grawitujących ku szkole monachijskiej zajmuje jedno z pierwszych miejsc.

LEON WYCZÓŁKOWSKI

KWIATY (Akwarela)



O ISTOCIE POEZJI

Najpospolitszą, najogólniej przyjętą definicją poezji jest powiedzenie, że poezja jest sztuką słowa. Te dwa wyrazy składające się na orzeczenie przytoczonego sądu wyznaczają kierunek myślenia przy dalszym precyzowaniu istoty poezji. Poezja jest jakąś **sztuką**, więc mówiąc o poezji odwołujemy się do pewnego określonego pojęcia sztuki, a ponieważ jest sztuką **słowa**, więc właściwości odróżniające ją od innych rodzajów sztuki muszą być następstwem charakterystycznych i znamienych właściwości języka jako środka wyrazu.

Zacznijmy od kilku podstawowych cech sztuki w ogólności. Sztuka jest to zespół wytworów ludzkich, których celem ma być budzenie w ludziach przeżycia piękna, piękno zaś jest to doskonały wyraz pewnej treści duchowej, wartościowej ze stanowiska ideałów prawdy i dobra. Stąd też w każdej sztuce muszą istnieć dwie wzajemnie przenikające się i organicznie zespolone sfery: zmysły i duch. Podniety zmysłowe służą jako środki wyrazu, a więc przekazywania pewnego znaczenia duchowego, pewnej treści. Powszechnie znane i wciąż używane terminy z zakresu sztuki, a mianowicie forma i treść to po prostu znak zmysłowy i jego znaczenie. W sztuce doznania zmysłowe nie są celem same dla siebie, nie są przedmiotem delectacji czysto zmysłowej, jak to się dzieje np. przy jedzeniu, lecz służą jako niezbędne środki dla przekazywania pewnych znaczeń (nie tylko znaczeń pojęciowych, ale wszelkich możliwości przeżyciowych człowieka). Nikt nie powie np., że rozkosz, jakiej dostarcza muzyka, jest to zmysłowa delectacja powstająca skutkiem drażnienia zakończeń nerwu słuchowego przez drgające fale powietrza, albowiem istota przeżyć naszych pod wpływem muzyki ma charakter nawskroś duchowy, ale bez określonej podnieci słuchowej przeżycia te nie mogłyby być wywołane. — Jeśli więc ów pierwiastek zmysłowy służący jako niezbędny znak do przekazywania pewnego znaczenia jest idealnie przystosowany do swego właściwego celu, t. j. do oddania zamierzonej przez artystę treści duchowej, wówczas dzieło sztuki jest piękne z tym koniecznym zastrzeżeniem, że wyraża wartości duchowe dodatnie.

Istnieją dwa podstawowe zmysły estetyczne: wzrok i słuch, stąd też dzieła sztuki realizują się w przestrzeni (plastyka), albo w czasie (muzyka), albo jednocześnie w czasie i w przestrzeni (teatr, taniec). Dzieło sztuki plastycznej jest przedmiotem świata zewnętrznego, jak każdy inny wytwór o celach praktycznych, natomiast dzieło muzyczne istnieje tylko potencjalnie. Chcąc je aktualizować, musimy je zagrać na określonym instrumencie (czy wielu instrumentach), a tekst nutowy, który nam to umożliwia, nie jest samym dziełem, lecz sposobem jego utrwalenia drogą pośrednią za pomocą umownego systemu znaków graficznych.

Zwróćmy uwagę na jeszcze jedno ważne rozróżnienie w sferze sztuki. Mówimy, że istnieją sztuki przedstawieniowe i formalne. Pierwsze operują gotowymi przedstawieniami wziętymi z natury i służącymi jako coraz to bardziej skomplikowane znaki do przekazywania pewnej treści, drugie działają zespołem podnięt oderwanych od rzeczywistości, którą znamy z doświadczenia praktycznego. W ten sposób malarstwo czy rzeźbę zaliczamy do sztuk przedstawieniowych; one starają się wzbudzić w nas wizję przedmiotów znanych z otaczającego nas świata i przekazać zamierzoną treść duchową poprzez swego rodzaju fabułę. Natomiast ar-

chitektura, operująca wzajemnym stosunkiem pewnych brył, muzyka, abstrakcyjny ornament, taniec klasyczny (nie pantomimiczny) są przykładem sztuk formalnych. Są wprawdzie wypadki, że i muzyka może oddawać pewne głosy czy odgłosy rzeczywistości, np. naśladując śpiew ptaków lub wycie wichru, ale są to eksperymenty rzadkie i gdyby rozwój muzyki pchnięty został w tym kierunku, byłoby to wykołajeniem prawdziwej sztuki muzycznej.

Po tych ogólnych rozważaniach przejdźmy do ściślejszego określenia istoty poezji. Jest to także sztuka, a więc sfera wytwarzania rzeczy pięknych, wyrażających dodatnie wartości duchowe za pomocą słowa t. zn. języka. Ale jakiego języka? — Czy mowy żywej, a więc posługującej się nie tylko artykułowanymi dźwiękami obarczonymi znaczeniem, ale także mnóstwem dodatkowych środków wyrazu, jak modulacja głosu i gest we wszelkiej postaci (wyraz twarzy, oczu, ruchy całego ciała, a zwłaszcza rąk?) — Oczywiście nie! Poezja operuje językiem, dającym się utrwalić za pomocą pisanego tekstu. Podniętą zmysłową w poezji jest, podobnie jak w muzyce, dźwięk oderwany, działający jako czysta forma, lecz dźwięk artykułowany t. zn. wydawany przez organa ludzkiej mowy w celu przekazania pewnego znaczenia. Jednakże język nie jest środkiem wyrazu tylko w sztuce poetyckiej. Zasięg jego działania rozciąga się na całokształt życia ludzkiego: język jest środkiem porozumienia w życiu praktycznym, jak również w dziedzinie życia umysłowego. Tak więc nie każdy wytwór duchowy, wyrażony za pomocą języka, należy do sztuki słowa. Rodzi się stąd pytanie, kiedy język jest sztuką?

Aby na to odpowiedzieć, spróbujmy sobie uświadomić, na czym polega rozwój języka. Niewątpliwie na ciągłym następowaniu po sobie zjawisk ekspresji i automatyzacji. Jednostki twórcze językowe wciąż odkrywają nowe możliwości wyrazu za pomocą słowa, ogół przyswaja te odkrycia lub je odrzuca. Formy wyrazu przyswojone przez całe społeczeństwo mówiące danym językiem stają się szablonem, który znowu będzie musiał być przez kogoś przełamany na rzecz ekspresji nowej przystosowanej do nowej treści. Otóż sztuką w sferze języka jest wyraz nowy dla treści nowej, wartościowej i wychodzącej poza granice tylko sfery pojęciowej. Materiałem treściowym nauki jest ludzkie poznanie, dostępne dla umysłu każdego człowieka (oczywiście w teorii) i sprawdzalne. Natomiast materiałem treściowym poezji jest całokształt życia ludzkiego wyrażalny w słowie, a więc pojęcia, doznania, uczucia, pragnienia, akty woli i t. d. — Stąd też istnieje ogromna różnica w sposobach i w możliwościach wyrazu między językiem pojęciowym i językiem artystycznym. Język pojęciowy dąży do nazywania przedmiotów; jego naczelną cechą i cnotą musi być absolutna jednoznaczność używanych w nim słów. Tymczasem język artystyczny, skoro ma odtwarzać całe bogactwo naszego życia wewnętrznego, wychodzącego daleko poza ramy pojęciowe, musi się uciec do sugerowania rzeczy nie dających się pojęciowo nazwać. Osiąga to za pomocą środka wprost przeciwnego, niż język pojęciowy, a mianowicie przez wydobywanie coraz to nowych znaczeń ze słów od dawna w języku istniejących i używanych. Innymi słowy — język poetycki jest to język przenośny, operujący swoistą grą znaczeń, wciąż zmieniających się zależnie od kontekstu i sugerują-

cych w ten sposób treść nie dającą się inaczej przekazać. Jak się trafnie wyraził jeden ze współczesnych krytyków francuskich (Goupil-Vardon) — w poezji „słowa muszą umilknąć, aby przepuścić istotny sens, o który chodzi“. Umilknąć — to znaczy nie narzucać swego znaczenia prozaicznego, ogólnikowego, słownikowego, bo nie o nie w tym wypadku chodzi.

To jest pierwsza, naczelną cechą poezji, rozstrzygająca o jej istocie i odrębności. Idąc równoległe do wyżej przeprowadzonych ogólnych rozważań o sztuce, powiemy, że poezja jest — podobnie jak muzyka — sztuką czasową. Forma zewnętrzna, zmysłowa dzieła poetyckiego jest zespołem podnięt akustycznych, dźwięków artykułowanych, rozłożonych w czasie i wobec tego dających się utrwalić tylko potencjalnie. Tekst dzieła poetyckiego, jeśli przez to rozumieć zespół pewnych znaków graficznych utrwalonych na papierze, nie jest samym dziełem, tylko sposobem jego utrwalenia i reprodukcji.

A teraz czy poezja jest sztuką przedstawieniową czy formalną? — Formalną oczywiście nie, bo dźwięki języka są znakami obarczonymi znaczeniem, poezja budzi w nas szereg przedstawień i operuje fabułą. A więc jest sztuką przedstawieniową! Nie, nie jest sztuką przedstawieniową, bo jest od sztuk przedstawieniowych nierównie bogatsza: znaczenia słów nie ograniczają się tylko do nazw rzeczy konkretnych, lecz obejmują olbrzymią dziedzinę abstrakcji, są nazwami także pojęć, uczuć, pragnień, aktów woli, słowem wszystkiego, co język wyrazić może. Prócz tego poezja nie ukazuje nam rzeczy bezpośrednio, jak malarstwo czy rzeźba, lecz pobudza jedynie naszą wyobraźnię do odtworzenia ich w myśli pod wpływem znaczeń wyrazów. To sprawia, że musimy zaliczyć poezję do klasy odrębnej od wszystkich innych sztuk, do sztuk posługujących się językiem jako środkiem wyrazu. Albowiem poezja nie jest jedyną sztuką słowa: jest nią także wymowa, sztuka krasomówstwa, oraz teatr.

Przejdźmy do następnych cech poezji. Wszelka sztuka wymaga od odbiorcy pewnej dozy współtwórczości. Jak mówi Norwid: „i słuchacz i widz jest artystą!“ — Zależy to od zdolności estetycznego reagowania na daną kategorię podnięt zmysłowych. Inaczej słucha symfonii człowiek obdarzony słuchem muzycznym, a inaczej ktoś, co nie odróżnia wysokości poszczególnych tonów. Otóż ze wszystkich sztuk poezja wymaga największej dozy owego współtworzenia. Nawijając do słów Mickiewicza o aniele harmonii i czułym słuchaczem, którzy mają dośpiewać pieśń o Aldony losach, można powiedzieć, że każdy utwór poetycki wymaga w mniejszym czy większym stopniu swego „dośpiewania“. Język poetycki działając za pomocą sugestii wytwarza atmosferę pewnego niedomówienia, jakby półnroku, w którym ukazywany jest przedmiot. Jeśli autor przeciągnie strunę owego niedomówienia, wymagając zbyt wiele domyslności od czytelnika, wówczas powstaje t. zw. dzieło niezrozumiałe. Naodwrot jeśli dzieło nie posiada żadnych niedomowień, jeśli nie posługując się środkami sugestii ogranicza się do języka pojęciowego, wtedy mamy „rymowaną prozę“, dzieło ze stanowiska sztuki poetyckiej zbyt zbyteczne, bo język poetycki jest celowym środkiem wyrazu tylko tam, gdzie środki języka pojęciowego wystarczyć nie mogą.

Prowadzi to do wniosku, że poezja jest po prostu pewnym typem języka, odrębnym od języka pojęciowego i znajdującym swoje uzasadnienie w przekazywaniu całego bogactwa ludzkiej osobowości. Tu tkwi źródło lirycznego podłoża, konfesyjności wszel-

kiej poezji. Nie chodzi wcale o to, że poeci czynią niekiedy (bo zgoła nie zawsze) swoje osobiste przeżycia tematem własnych dzieł literackich. Artysta obnaża się w swej duchowej istocie każdym słowem, które od niego pochodzi, nawet wówczas, gdy nie mówi o żadnych swoich przeżyciach i intymnych doznaniach. Obnaża się po prostu przez swój sposób widzenia świata przejawiający się w stylu, w porównaniach, a zwłaszcza w przenośniach, które są wiernym zwierciadłem skojarzeń właściwych dla wyobraźni danego poety, a przez to wiernym zwierciadłem jego duszy. Poprzez środki artystycznego wyrazu, a więc przez język najślimiej dochodzi do głosu indywidualność autora.

Ale źle by było z poezją, gdyby dzieła tej sztuki były tylko odbiciem niepowtarzalnych indywidualności bez związku duchowego z życiem pozostałych ludzi. Podobnie jak nowe formy wyrazu językowego, tak samo i całe dzieła literackie bywają przez ogół przyswojone lub odrzucone zależnie od tego, czy i w jakim stopniu są

odbiciem prawdy wewnętrznej nie tylko ich autora, lecz całego zastępu czytelników. Jak się pięknie wyraził Asnyk o dziełach wielkich poetów: „Każdy znalazł tam ubrane w ciało, co w jego duszy niewyraźnie tlało”. Tu stykamy się z odkrywczą rolą poezji w sferze życia duchowego: poeta znajduje formułę słowną dla rzeczy, które fermentują już w duszach współczesnej mu zbiorowości i mówiąc o sobie mówi za wszystkich. W ten sposób dokonywa się synteza osobowości autora i pierwiastków uniwersalnych decydująca o wartości danego dzieła literackiego. Arcydziełem poezji jest utwór, gdzie taka synteza osiągnęła swój szczyt.

Z tym faktem wiąże się podwójna rola poezji w społeczeństwie, podwójny sposób jej oddziaływania. Po pierwsze daje ona duchowe opanowanie świata, uporządkowanie rzeczywistości według pewnego ładu i sensu, będącego wyrazem duchowych tęsknot danego pokolenia. Poezja zaspakaja pragnienia, które nie mogą być zrealizowane w rzeczywistości. Stąd obowiązko-

wy **happy end** tylu powieści, nie mówiąc już o filmach, których powodzenie od pomyselnego zakończenia całkowicie zawisło.

Po drugie poezja przynosi wyzwolenie nagromadzonych w nas afektów, co się zresztą ściśle wiąże z wyzwalającą funkcją wyrazu językowego. Ludzie muszą się gdzieś przed kimś wyplakać z tego, co ich boli lub ich kusi. Jedynym wystarczającym wyplakaniem się przed przyjacielem lub pierwszym lepszym znajomym, a drudzy osiągają to samo pośrednio przeżywając wyobraźnią fikcyjne dzieje literackich postaci. Wyraz poetycki był wyzwoleniem afektów naprzód dla samego autora, a potem staje się tym samym dla czytelników. Tak dochodzi do skutku wewnętrzne „oczyszczenie” poprzez poezję, o czym pisał już Arystoteles. W tym punkcie schodzą się ze sobą literatura i socjologia. Wyzwalające znaczenie poezji decyduje o jej roli w życiu jednostek twórczych i społeczeństw, stanowiąc najgłębsze uzasadnienie dla istnienia sztuki słowa.

Konrad Górski

Wojciech Bąk

Z „PRZELOTU MUZYKI”

Chciałem zerwać gałęzie. Świerki pachną świeżo,
A woń ta wifa płuca zmarłychwstała wiosną
Ale jest tyle śmierci — trupy wkoło leżą...
Niechaj zostaną świerki! Niech pogodnie rosną!

Jeszcze jest tyle śmierci — jeszcze tyle będzie...
O, Boże, Ty mnie pozwól, jej żniwa nie mnożyć —
I świerki rosną — wiatr je rozkołysał w pędzie
I woń ich — jak uśmiech Boży!

* * *

Jęk bił wielki z obozów — i drżały stolice
I kraje rozkrzyczały się groźnym pożarem —
I był śpiew — ulotniejszy niżli błyskawice
I słabszy niżli powiew, co przewiał nad jarem.

Wiolszy niż lot gołębi, kruchszy niżli trzcina
I chwiejniejszy niż świeca na wieńcu niesiona —
Ten śpiew — pod tchnieniem dziecka słabo się uginał
I głuszył go wiewiórki skok w świerku koronach.

Ale w śpiewie — jak trawa bezbronnym i kwiaty —
O, przemienienia w słowo mądre tajemnice! —
Huczą wichrem żelaza drapieżne armaty —
Jęczą obozy trwogi — i płoną stolice!

* * *

Mądrzy będą mnie uczyć: Winienem być inny —
Jedni: żem nazbyt smutny — drudzy: zbyt wesoly —
Nadzieja bez powodu, jęk mój bezprzyczynny —
Zły uczeń nigdy mądrych nie ukończy szkoły.

Głupiec o ciasnym mózgu — złe zbieram cenzury —
Bo skąd mnie ich nauka i wiedza wysoka.
Jedne mnie tylko codzien pocieszają chmury
I bezprzyczynna mądrość w frawie i obłokach.

Bo one ze mną mówią. Ja ich głosu słucham —
Nie chcecie wierzyć! Patrzenie w wierszach pełno lotu —
To obłoki, pokrewne prawdzie mojej duszy —
Wpływają w moje wiersze — i drżą mą tęsknotą.

One — nic mnie nie uczą — uczą mnie najwięcej,
Porywając za sobą moją lotną duszę —
I nie chcą, bym się zmienił, kochając goręcej,
Że jestem — jako one, takim — jak być muszę!

w Niemczech, 1945 r.

Ten kot, co z ruin nagle rudym kłębkim skoczył,
Miał nierozumiejące, ślepe grozą oczy.
Chciano go zwabić mlekiem — lecz on uciekł z trwogą,
On, który przestał wierzyć ludziom, ziemi, Bogu...

Złamały się wiązania świata pod nim wszystkie,
-A przecież on tak zwinnie, tak ostrożnie kroczył...
I oszalał — i biegnie z lękiem rumowiskiem,
Zmieniony w nierozumne, ślepe grozą oczy.

Nie będzie już polował... ścigał szczurów, myszy...
Biegnie jak obłąkany przez głęb dni i nocy —
I nic w nim nie zostało... nie widzi, nie słyszy —
Tylko te nierozumne, ślepe grozą oczy!

* * *

Wiem: z doświadczenia mądrość rośnie jak kłos z ziarna,
A mnie dano doświadczeń ponad zwykłą miarę.
Ducha mego wrzucono w wiek jak między żarna,
A ciało me pod kłeski łamie się ciężarem...

Tak mnie obdarowano... Winienem być wdzięczny,
Bo tyle doświadczenia — jakież wróży żniwa! —
I pierś moja — wdzięcznością nabrzmiewając — jęczy
I wybucha pochwałą — jak skarga straszliwą!

* * *

To chyba ze zmęczenia myśl zbyt rozigrana...
Bo kiedy biło dzisiaj, krwawiąc pięścią twarz —
Ja — w bitym — zobaczyłem krwawą twarz Adama
I zastygł wizją groźną w moich oczach czas.

To Adam stał. Co było dalej — nie widziałem —
Tylko pięść Adamową, zrenic jego gniew —
Podobno bójka była — i padł zbitym ciałem...
Jeszcze teraz na ziemi trwa ślad walki — krew...

Jak nie ulec przemocy! W pięciu się rzucili...
Wywieźli go — wiadomo: zniknie po nim ślad —
Zmieciono krew z podłogi... piaskiem przyprószyli...
I nowy okrzyk: „Tempo!” wśród milczenia padł.

Matko w dalekim kraju — i żono splakana —
Nie czekajcie — nie wróci w jawę z waszych snów —
I tylko twarz została, groźna twarz Adama,
Wyrwała jak w marmurze — w śpiewie moich słów!

O PRZYSZŁOŚĆ ŁUŻYCZAN

Kiedy druga armia Wojska Polskiego, wśród krwawych ofiar, wdzierając się, jako awangarda armii radzieckiej, na ziemie Dolnych i Górnych Łużyc, gorąco były serca tego najniemiejszego z narodów słowiańskich. Wierzone, że jednak nie zardzewiał „miecz Chrobrego”, którego pamięć przetrwała poprzez dziesięć stuleci w tradycji tego ludu. I przypominali sobie starzy i młodzi pradawną pieśń rycerską, jeżącą się od starosłowiańskich imperfektów i aorystów, jak to

„Serbio so do Niemców hotowachu,
Swoje sej koniki sedowachu,
Swoje sej wotrohi pszipinachu,
Do runoh pola so zjeżdżowachu...”

a Bolesław, ów wielki „kral a werch”, w trzykrotnych wyprawach na ostrzu swego miecza miósł im wyzwolenie.

A kiedy przeszła w kurzawie potwornych zmaganiach polska gwardia, witana ze łzami przez lud, wynurzający się z nor i „blot” łużyckiej ziemi, oczekiwano, że nadejdzie za nią ta wielka polska armia, o której legendy krążyły po serbskich ługach, na długo przed ucieczką Niemców z Polski.

I runął Berlin, a za nim przetoczyła się poprzez ziemie łużyckie lawina zwycięskich wojsk radzieckich i nastąpiła okupacja. Nieszcześnie Łużyce znalazły się znowu w pierścieniu germańskim, — nie zwycięskim, nie triumfującym, nie wdzierającym się każdym zębem swej drapieżnej swastyki w ciało i duszę słowiańskiego narodu, — ale nie mniej brutalnym, nie mniej mściwym i zabórczym. Nie mogąc walczyć z mocniejszymi od siebie, zaczęli Niemcy pastwić się nad słabszymi. Na Łużyczanach mścić się poczuli, w niewoli jeszcze kontynuując dzieło zniszczenia i tępienia, jakiemu służyli przez wieki całe. A biedny naród, bezsilny, sponiewierany, zdziesiątkowany, opuszczony przez wszystkich i nie rozumiany przez własnych braci, nie wiedząc w którą stronę się obrócić, pytał naszych żołnierzy: „kiedy wreszcie przyjdzie polskie wojsko, aby nas ostatecznie wyzwolić?”

Nie nadeszła ta armia. Zachwiała się wiara Łużyczan w wyzwolenie. Nie pojmowali, jak mogli bracia Słowianie, co spisali tyle ksiąg w różnych językach na temat niedoli i klęski łużyckiego plemienia, zapomnieć o nim w chwili, kiedy podnosić się zaczęły sztandary wyzwolenia jednego po drugim narodów słowiańskich.

„Czyż mamy my jedni pójść na ofiarę pruskiej brutalności? — Paść mamy do ostatniego u samych wrót Wolności? — My jedni nie zasłużyliśmy na wiarę i zaufanie, mimo tysiącletniej, bohaterkiej walki, jaką toczyliśmy na cofającej się nieustannie placówce Zachodniej Słowiańszczyzny? — Czyż takim jesteście już strzępem krwawym, że nie warciliśmy ich pomocy, podania bratniej dłoni i wydobycia z cuchnącej jamy, w jaką nas wtrącono?”

Takie były pytania bez odpowiedzi najlepszy synów tonącej Lusitanii, — bez odpowiedzi, bo jej mowy nie rozumiano. Wiedzano, że zdobyto prowincję pruską i saską, — dwa najzacieklejsze i najbardziej zbrodnicze gniazda niemieczyny. Wiedzano, że mieszkalców ich należy karać. Jakieś niedobitki Serbów łużyckich żyły jeszcze w tych prowincjach, a więc zniemczone, zhitleryzowane, z kartami rozpoznawczymi ze swastyką i hitlerowskim orłem. To wystarczyło, aby je karać i gnębić, traktować, jak wrógów i gorzej, niż wrógów, bo na pastwę pokonanym wrogom ich wydano.

Czy takie było rozumowanie — nie wiadomo. Ale taka była i jest jeszcze do dnia dzisiejszego praktyka dnia codziennego. Rok się zbliża do ostatecznej katastrofy Niemców, a bohaterki narodek Łużycki, co tyle wieków przetrwał na przyczółku mostowym Słowiańszczyzny, znosić musi nadal brutalną przemoc niemiecką, uznawać musi formalnie ich władzę i administrację, słuchać ich landratów i wójtów, burmistrzów i szefów, — bo nie masz władzy, która by ich język zrozumiała, ich krzywdy się ujęła, ich odwieczne prawa do życia powołała.

Czyż co dziwnego więc, że „Polska Zachodnia” rzuca rozpaczliwe pytania „Dlaczego (w obronie Łużyc) nie odezwie się żaden głos autorytatywny? Dlaczego żaden z potężnych tego świata nie wydobyci żywego narodu z trumny niemieckiej?” — Zaiście, święte słowa. Żywy jeszcze naród łużycki grzebie się dzisiaj żywcem w ziemi, i to — w trumnie niemieckiej, — a dodajmy jeszcze — ku hańbie całej Słowiańszczyzny — dobijany zbrodniczą ręką niemiecką.

Prasie polskiej zarzutów czynić nie można. Pisała ona pierwsza o Łużyczach, jeszcze przed wejściem zwycięskich wojsk radziecko-polskich na teren ich ziemi. Potem coraz głośniej upominała się o nich na łamach organów wszystkich stronictw. Biła na alarm konieczności spieszenia im z pomocą, jeżeli nie mają paść ofiarą bestialskiej brutalności Niemców, już po ich pokonaniu. I na wszystkie te nawoływania i alarmy, poza kurtuazyjną wymianą depesz noworocznych pomiędzy zębrzącą pomocą Łużycko-Serbską Radą Narodową, a Prezydentem naszej K. R. N., — ze strony czynników państwowych nie uczyniono niczego, o czym by wiedziało społeczeństwo polskie i uciemiony Naród Łużycki.

Dłatego poruszamy raz jeszcze to zagadnienie, w poczuciu naszego obowiązku moralnego wobec bratniego, a najniešťliwszego z narodów słowiańskich. Wszak przecierpiał on już dwa wielkie rozczarowania w ciągu ostatniego stulecia w chwilach, kiedy zdawało się, że staje już u wrót Wolności i Wyzwolenia.

Raz — temu lat sto blisko, w głośnym a tragicznym roku Wiosny Ludów (1848 r.), kiedy powszechny pęd narodów ku wolności porwał je do rewolucyjnych poczynań w imię obalenia absolutyzmu w Europie i rozpoczęcia konstytucyjnej ery wolności i praw ludzkich. Zwycięstwie najczarniejszej reakcji Bachów i Hohenzollernów w najbrutalniejszy sposób rozwało nadzieje Serbów Łużyckich, jakkolwiek przyczyniło się znacznie do ich narodowego uświadomienia i zjednoczenia.

Drugi raz zadrwił okrutny los z niepodległościowych marzeń łużyckich po pierwszej wojnie światowej, 1918 r., kiedy budziński „Narodny Wubjerk” wysłał swą delegację do Paryża, a ówczesny delegat czeski, min. Benesz, za kulisami konferencji paryskiej, upominał się nieśmiało o prawa tego narodu. Wobec silnie obsadzonej podówczas loży adwokackiej zwyciężonych Niemiec nie pomogło i ograniczenie pierwotnych żądań Łużyczan do koncepcji **autonomii narodowej** w łonie nowego Reichu. Łużycanie, opuszczeni przez wszystkich, wielkich i małych, dalekich i bliskich, skazani zostali na dalsze powolne konanie w kleszczach regime'u prusko-saskiego, aż do zupełnego wyczerpania, do kompletnego starcia z powierzchni ziemi tego prastarego plemienia słowiańskiego, przezwanego odtąd „die wendisch sprechende Deutsche”.

I czyżby dzisiaj Łużyczanom nie po raz trzeci stanąć przed bramą Wyzwolenia na to, aby ją im zatrzasnęła Europa w ostatniej chwili i to splamionymi krwią słowiańską rękami samych Niemców? — Była by to zbrodnia o pomstę do nieba wołająca. Było by to świadectwo najwyższej indolencji słowiańskiej, wydane w obliczu zbierającej się konferencji Narodów Zjednoczonych. Był by to niezbity dowód niedojrzałości politycznej Słowian, niezdolności ich do solidarnej, twórczej pracy na terenie międzynarodowym, mającej na oku nie partykularne, egoistyczne cele, ale **wolność, dobro i zwycięstwo całej Słowiańszczyzny, bez wyjątku**. Był by to wreszcie dowód braku poczucia sprawiedliwości i kultury serca u tych, co mocni i triumfujący, jeżeli by zapomnieli, w chwilach ogólnego wymiaru sprawiedliwości, o najsłabszych i najniešťliwszych, a najdłużej trwających na straconym, zdawało się, posterunku.

Czyż możemy sobie wyobrazić, by do tego doszło? — W żadnym razie. Najbardziej pesymistycznie usposobionym nie wolno takiej myśli dopuszczać. **Sprawiedliwość i pełne zadośćuczynienie w postaci wolności musza być Łużyczanom dane!**

Trudności są niewątpliwie nie małe: terytorialne, graniczne, ludnościowe, organizacyjne. Wśród olbrzymiego spłotu zagadnień międzynarodowych o zasięgu ogólno-swiatowym maleją one niewątpliwie do rozmiarów niemal mikroskopijnych. **Musza być jednak widziane i musza być usunięte** jeżeli Europa i świat cały mają istotnie wejść na tory nowego porządku, nowej sprawiedliwości i równouprawnienia.

Przy bliższym zaś rozpatrzeniu zagadnienia łużyckiego, trudności jego rozwiązania nie przedstawiają się wcale tak wielkie. Wszak żywioł łużycki, jakkolwiek rozrzucony niegdyś na dość wielkiej przestrzeni od Berlina po Drezno i od Wrocławia po Lipsk, pod naciskiem eksterminacyjnej polityki germańskiej, skurczył się ogromnie, zacieśniając do kilku niewielkich wysp serbo-łużyckich wśród otoczenia niemieckiego. Dzisiaj, niewątpliwie, dzięki szybkiej i masowej rewalizacji elementów przytłoczonych, wyspy te i ośrodki życia narodowego Łużyczan rozrosną się i rozszerzą. Niemniej stanowić one będą zawsze niezmierną przestrzeń terytorialną i znikomą cyfrę ludności — dobrze, jeżeli sięgającą do ćwierci miliona jednostek, — a więc na przestrzeni większej wprawdzie od miniaturowej republiki San Marino lub Księstwa Luksemburskiego, ale mniejszej od wielowiekowego Księstwa i Królestwa serbskiej Czarnogóry. (L. 12,000 km², Cz. 14,627 km²).

A co najważniejsze, że ziemie zamieszkałe przez Łużyczan, stanowią ten niesłychanie ważny od wieków **trójkąt — klin geograficzny**, pomiędzy Sudetami a nadodrzańską granicą dawnej Polski, którym, poprzez żywy, wiecznie deptany organizm Łużyc, wdzierali się Niemcy na Śląsk Dolny, a potem Górny, oraz w Sudety, zapewniając sobie w ten sposób równocześnie rozwiązanie trzech pierwszorzędnych znaczenia problemów polityczno-gospodarczych: 1) **wytopienia** tych resztek nadłabskich Słowian, zwanych Wendami (albo Lausitz-Serben); 2) **rozdzielenia** klinem niemieckim dwu sąsiadujących ze sobą żywotnych i twórczych organizmów narodowo - państwowych, Czech i Polski; i 3) **opanowania** najbogatszych ziem zachodniej Słowiańszczyzny, obfitujących w wielkie pokłady węgla, Śląska Doln. i Górnego.

Trójkąt Łużycki, oparty dwoma swymi bokami o silne, naturalne granice zaprzyjaźnionych ze sobą państw słowiańskich, Polski i Czechosłowacji, a trzecim tylko

wysunięty na front niemiecki, z dotychczasowego terenu wypadowego Niemiec do Czech i Polski zmienił by się od razu w doskonały ochronny bastion słowiański obu bratnich państw przeciwko Niemcom. Byłby to pierwszorzędną „przyczółek mostowy”, zamykający niebezpieczny kąt pomiędzy Sudetami a Nysą Łużycką, powierzony na dalszą bohaterką obronę wypróbowanym strażnikom granic zachodnich Słowiańszczyzny — **Serbom Łużyckim**. A ponieważ przez dziesięć wieków pełnili chwalenie swe zadanie, nie zeszedłszy z tej „Westerplatte” do ostatniego dnia walki ani na chwilę, choć zdziesiątkowani, zmiażdżeni, sponiewierani, — wierzyć należy, że spełnią z równym bohaterstwem i godnością swa ciężką, ale zaszczytną rolę, — wobec już Niemiec pokonanych. Tym niewątpliwie szybko będą odrastać pazury, lecz już — da Bóg — nigdy nie dojdą do tej drapieżności, jaką groziły nie dawno całemu światu.

Wolne Łużycy, Górne i Dolne (może cokolwiek skomasowane), złączone z Czechami, czy też jako najmniejsza słowiańska Republika demokratyczna, pod bratnią opieką i gwarancją dwu wielkich jej siostrzy: Czechosłowacji i Polski, miała by wszelkie widoki rozwoju i powodzenia. W ciężkiej szkole niemieckiej przez wieki zaprawieni, będą mieli Łużycanie możność wykazania nie tylko swego hartu ducha i miłości ojczyzny, których tysięczne dawały przykłady w ciągu stuleci, — ale i zmysłu organizacji, umiłowania pracy i zdolności kulturalnych, których takie wymowne

dawali dowody w ciągu krótkich a tak płodnych okresów swego odrodzenia narodowego, swej rozbudowy społecznej i swego dorobku kulturalnego.

Niechże więc ani nasz Rząd Zjednoczenia Narodowego, ani Rząd drugiej Republiki Czechosłowackiej, ani Łużycko-Serbski Komitet Narodowy nie zasypiają sprawy, póki czas jeszcze, póki gorące żelazo na kowadło międzynarodowej polityki Europy dzisiejszej; póki cztery okupacje na terenie Rzeszy, a międzynarodowa konferencja pokojowa nie ustaliła jeszcze ostatecznie granic poszczególnych państw. Niechże zdobędą się wspólnie na dobrze przemyślaną i przygotowaną, a energiczną akcję przede wszystkim na odcinku polityki między-słowiańskiej, przypominając wielkiej Republice Radzieckiej o tym najmniejszym z narodów słowiańskich i jego nie przedawionych prawach do samodzielnego państwowego bytu. Niechże następnie rozwiną i najusilniejszą akcję na terenie zachodniej Europy i Ameryki, jak i nainowziej Organizacji Zjednoczonych Narodów.

Spełnią się wtedy marzenia „ostatnich Mohikanów” Słowiańszczyzny Południowej, nie pójdą na marne milionowe ofiary jej synów w ciągu dziesięciu i więcej stuleci. Wykonany zostanie wreszcie i nieśmiertelny testament Bolesława Chrobrego i Przemysławów, a ostatni naród słowiański odetchnie powietrzem wolności, oparty o silne zaplecze dwu sąsiednich bratnich Republiki.

Tadeusz Stanisław Grabowski

Zygmunt Felczak

ZA ZACHODNIĄ GRANICĄ*)

Pochłonięci codziennymi sprawami i kłopotami natury politycznej i gospodarczej niewiele zwracamy uwagi na to, co się dzieje na zachód od naszej granicy zachodniej, poza Odrą i Nysą. Tymczasem zachodzą tam przeobrażenia i przemiany niesłychanie groźne i niebezpieczne dla naszej przyszłości. W kotle niemieckim zaczyna gromadzić się para, która ni mniej ni więcej, tylko grozi eksplozją w postaci trzeciej wojny światowej.

Wskazują na to: odradzające się w błyskawicznym tempie gospodarstwo narodowe Niemiec, nastroje mas — zwłaszcza młodzieży niemieckiej, coraz większa aktywność polityczna narodu, oraz sympatie, jakie zdobywają sobie Niemcy w świecie.

Cytujemy fakty:

Berliński przemysł odzieżowy wytwarza już 120 tysięcy ubrań i 30 tysięcy płaszczy tygodniowo. Fabryki włókiennicze w Saksonii osiągnęły już 95% przedwojennej produkcji. W połowie stycznia została uruchomiona największa w strefie sowieckiej fabryka tytoniu, której produkcja całkowicie pokryje zapotrzebowanie sowieckiego obszaru okupacyjnego. Fabryki maszyn Augsburg-Nürnberg są w pełnym biegu i zatrudniają 12 tysięcy robotników, fabrykując obok różnych maszyn: lokomotywy, samochody ciężarowe, motory Diesla. Pułkownik amerykański Bernstein, który objechał ostatnio Niemcy, wygłosił przemówienie przed komisją dla spraw likwidacji niemieckiego przemysłu, w którym stwierdził, że dotychczas zniszczono zaledwie 2 niewielkie fabryki oślawionej I. G. Farbenindustrie spośród 13, między którymi pozostały fabryki materiałów wybuchowych i

łatwo palnych. Pułkownik ten stwierdza, że mimo działań wojennych b. niewielka część zakładów I. G. Farbenindustrie została zniszczona, że „niektóre czynniki” dążą do uwolnienia aresztowanych pracowników koncernu, aby mogli podjąć pracę.

Fabryka samochodów w Fallersleben rozpoczęła produkcję tzw. samochodów ludowych (Volkswagen), których koszt wyniesie około 4.000 marek za samochód.

Rzemiosło berlińskie szybko również odbudowuje się. Obecnie czynnych jest znowu 42 tysięcy zakładów, zatrudniających około 80 tysięcy pracowników (przed wojną miał Berlin około 70 tysięcy zakładów rzemieślniczych). Kanadyjska strefa okupacyjna nie ma bezrobotnych. Domy zostały doprowadzone do stanu używalności. Drogi i mosty naprawiono. Wszystkie firmy zmuszone są do przyjmowania, jako połowę swego personelu niemieckich weteranów. Przy oczyszczaniu z gruzów Berlina zatrudnionych jest 28 tysięcy robotników. W Bawarii będzie wybudowanych w tym roku 20 tysięcy mieszkań. Żywo rusza się także niemiecki film, radio itp.

A cóż na to zwycięzcy? Przed niedawnym czasem Ministerstwo Spraw Zagranicznych USA wyjaśniło w oficjalnym komunikacie, że Stany Zjednoczone nie mają zamiaru obniżyć stopy życiowej Niemiec.

Nie dziwnego, że w tych warunkach prof. Wagemann, dyr. niemieckiego instytutu badania koniunktury obliczył i oświadczył publicznie, że o ile wykorzysta się pełną siłę produkcyjną narodu niemieckiego, za 5 lat zostaną usunięte wszelkie szkody wojenne na terenie Niemiec.

Spółceństwo polskie słabo na ogół jest poinformowane o nastrojach wśród mas niemieckich. Rzućmy więc trochę światła i na to zagadnienie. W Düsseldorfie doszło do walk ulicznych pomiędzy młodzieżą hitlerowską, a wojskami okupacyjnymi. W

wyniku walki było kilku zabitych i rannych.

Tajna organizacja niemiecka („Wehrwolf”) rozrzuciła w Czechosłowacji i na naszych przygranicznych terenach ulotkę, w której czytamy:

„Dzięki wysiłkom naszej znakomitej taktyki już otworzyły się oczy angielskich i amerykańskich wielkodusznych narodów, które nie dopuszczą, by polskie świnię żarły nasz chleb, zebrany na prastarej ziemi niemieckiej”.

W czasie kazania pastora Niemöllera (głośnego wroga hitlerizmu) w Erlangen, wygłaszanego dla studentów uniwersytetu, doszło do tumultów w kościele, które skończyły się demonstracyjnym opuszczeniem kościoła przez kilkuset studentów w czasie kazania.

Na terenie Pomorza Zachodniego Niemcy rozsiewają fałszywe wieści, słuchają potajemnie niemieckiego radia, mają broń, odgrająają się i uprawiają stuprocentowy sabotaż.

Berliński dziennik „Tagesspiegel” przed niedawnym czasem w liście czytelnika domaga się swobody głosu i myśli również dla narodowych socjalistów, tj. dla SS-manów i gestapowców. Autor artykułu oburzony, że prześladowane są narodowych socjalistów: „Bo i cóż to za demokracja, skoro nie wszyscy mogą się otwarcie wypowiedzieć?”

Na marginesie tych wypowiedzi trzeba stwierdzić, że w niemałym stopniu do tego rozuchwalenia Niemców przyczyniły się ostatnie wybory samorządowe w Niemczech i swoboda, w jakiej mogli się byli w tych wyborach wypowiedzieć. Antypolskie i dobre nam znane ostrze propagandy niemieckiej ujawnia się również coraz wyraźniej. W Berlinie istnieje już: Reichsbahndirektion Stettin i Landessender Stettin, listy do Wrocławia są adresowane po niemiecku, z niemieckim adresem; jakby nic na świecie nie zmieniło się od czasu Adolfa Hitlera...

Korespondent szwajcarskiego pisma Gazette de Lausanne stwierdza, że Niemcy w angielskiej, amerykańskiej i francuskiej strefie okupacyjnej są odżywiani, ubrani, mają opiekę społeczną, lekarską i pod niektórymi względami są bardziej uprzywilejowani od Francuzów, Włochów lub Belgów.

Odbudowa Niemiec postępuje w tempie 10-krotnie szybszym niż odbudowa Francji. Niemcy są wprawdzie pokonane i zniszczone, nie straciły jednak nadziei, ponieważ liczą na niezgodę tych państw, które je zwyciężyły.

Specjalny korespondent dziennika „Daily Mail” donosi z Berlina, że duch Niemców zaczyna znowu krzepnąć. Samopoczucie Niemców nigdy całkowicie nie przytępione nawet w chwili ostatecznej klęski, obecnie znowu wykazuje cechy zwiastujące odrodzenie. Wojska brytyjskie muszą być stale czujne i uważać, czy nie ma na nie zasadzki. Kobiety służące w armii brytyjskiej nie mogą znajdować się na ulicy po godz. 9-tej bez uzbrojonej eskorty. Na pomniku wzniesionym przez Rosjan na szosie poczdamskiej w Berlinie, przez noc pojawia się wymalowana swastyka. Młodzież niemiecka, ongiś należąca do Hitlerjugend, maluje na ścianach domów w Berlinie czarne dłońce. Oficjalny raport amerykański w ostrożnych słowach stwierdza, że kompletna pokora, która charakteryzowała mentalność Niemców pod koniec wojny, obecnie „ustąpiła warunkom bardziej normalnym dla kraju okupowanego”. Przepiękstwa i incydenty, jak dotąd nie są bardzo liczne, nawet jeżeli zsumować je wszystkie, ale są to wskaźniki na przyszłość. Musimy patrzeć w przyszłość i przygotować się na stopniowe odrodzenie ducha niemieckiego! Pierwszej próby należy spodziewać się na

*) Fragment z rozdziału zatytułowanego „Widmo trzeciej wojny światowej” z książki autora p. t. „Droga Wielkiej Odrodzenia”.

wiosnę, kiedy Niemcy będą mieli więcej jedzenia w swych żołądkach, a mniej poczucia winy wywołania wojny na swych sumieniach. Powracający jeńcy wojenni odpowiedzialni są za obecny szybki powrót ducha niemieckiego. Ludzie ci są koniec końców właściwym kregosłupem kraju. Wielu z nich niedługo po powrocie przychodzi dostatecznie do sił, aby oburzać się widokiem bratania i zdawać sobie sprawę z zawstydzającego stanu, w który popadł ich kraj. Korespondent dziennika „Daily Mail” stwierdza, że w ciągu kilku tygodni spędzonych w Niemczech miał on możliwość w Berlinie i na południu Niemiec zdać sobie sprawę z tego, jak każde państwo sojusznicze potrafi orientować się w stanie umysłów niemieckich. Brytyjczycy dają sobie z tym radę nie gorzej, jak Amerykanie i Rosjanie. Niemcy wciąż jeszcze bardzo obawiają się Rosjan. Nie pozwalają oni sobie wobec nich na żadne wykroczenie. To świadczy, że najskuteczniejszą metodę postępowania w stosunku do Niemców przyjęli Rosjanie. Jednakże budzi zastanowienie, jak długo uczucie strachu będzie jeszcze hamowało Niemców. Niemcy nie są tchórzami, a nie zawsze będą zmarnięci i gładni. Duch niemiecki najstabiliej od-

radza się w strefie rosyjskiej, hamowany strachem.

Dziennik francuski Aube twierdzi, że wszyscy Niemcy chcą oszukać sojuszników. Ruiny Niemiec i upadek hitleryzmu stanowią już dekorację teatralną, za którą organizuje się Reich, odbudowując swą istotę i do pewnego stopnia swój potencjał napastniczy. Inny obserwator życia politycznego w Niemczech dochodzi do wniosku, że wszystkie partie polityczne są maską, pod którą kryje się nienawiść, nadzieja rewanzu i zacięta wola odbudowy potęgi Niemiec. Demokracja niemiecka przemawia słabym nieprzekonywującym głosem przestarzałego pacyfizmu, przestarzałych pojęć. Nie zareagowała ona należycie na zbrodnie hitlerowskie i nie zdobyła rządu dusz niemieckich. Oskarżyciel Francji w Norymberdze Francois de Meuthon stwierdził, że „hitleryzm jest płodem narodowej filozofii niemieckiej paru generacji. Niemcy na swój sposób interpretowali Hegla, od którego przejęli historyzoficzne uzasadnienie kultu dla państwa. Z nauki Fichtego, Nietschego a nawet Kanta wydobyl i przyswoili sobie jedynie to, co uzupełniło i cementowało ich ideologię ekspansji za każdą cenę”.

podków. Zgon jej stanowi datę końcową w procesie germanizacji szlachty rugijskiej, nie zaś ogółu słowiańskich mieszkańców wyspy.

Na przyległym do wyspy lądzie trwanie słowiańszczyzny w okresie późniejszym jest zaświadczone dokumentami. W Strzałowie słowiańscy rzeźnicy występują w w. XVI, w Barcie, położonym w najbardziej na północny-zachód wysuniętej części Pomorza, — do połowy XVIII w. (Bogusławski, t. IV, 596). Nie sposób przypuszczać, żeby przedstawiciele jakiegos zawodu mogli tak długo zachować swoją odrębność narodową bez oparcia, posiadanego w szerszych kołach współplemieńców. Ostateczna więc germanizacja Pomorza zaodrzańskiego nie mogła nastąpić wcześniej niż po r. 1750.

W odniesieniu do Pomorza przedodrzańskiego rozporządzamy obfitymi danymi co do upadku słowiańszczyzny na jego obszarze. Jeszcze w r. 1605 w ziemi słupskiej, podczas składania przysięgi ostatniemu księciu pomorskiemu, Bogusławowi XIV, okazało się, że część szlachty zupełnie nie umie po niemiecku. A skoro część warstwy panującej nie odczuwała potrzeby uczyć się po niemiecku, lud musiał w nieporównanie większym stopniu być obcy niemieczyźnie. Stąd we wschodniej części Pomorza przedodrzańskiego język słowiański (narzecze kaszubskie) panował podówczas niemal wszechwładnie. Proces jego zaniku na obszarach Pomorza przedodrzańskiego rozpoczyna się w XIX w., jak świadczą dokumenty, mówiące o zaprzestaniu używania języka słowiańskiego podczas nabożeństw. W 1890 r. Ramułt (Statystyka ludności kaszubskiej) znalazł w trzech najbardziej na wschód położonych powiatach Pomorza Zachodniego znaczne skupienia Kaszubów. W powiecie Łęborskim mieszkało 4.238 Kaszubów (9,74% ogółu mieszkańców powiatu), w pow. bytowskim 4.797 (20,23%), w pow. słupskim — 4.860 (4,92%), ogółem w trzech powiatach 13.895, czyli 8,4%. W całej rejencji koszalińskiej (do której wymienione powiaty należały) było 15.784 Kaszubów, w rej. szczecińskiej 5.928, w rej. strzałowskiej 1.558, razem na Pomorzu 23.270, co stanowiło 1,53%.

Proces germanizacji w powiatach bytowskim i łęborskim nie został zakończony do chwili wybuchu ostatniej wojny. „Ludność kaszubska, która jeszcze teraz posługuje się obok języka niemieckiego swą słowiańską mową domową, żyje tylko w dwóch wsiach powiatu łęborskiego i w około 15 wsiach powiatu bytowskiego, z których większość ma ludność przeważnie niemiecką. Ogólna liczba Kaszubów na terytorium niemieckim może wynosić w przybliżeniu 2 — 3.000 osób”. Tak pisze Dr. B. Heinemann w swej pracy „Grenzland Ostpommern” (1938), str. 20. Wymieniony twierdzi, że ci Kaszubi czują się Niemcami; jednakże wśród nich znalazł schronienie i przetrwał szczęśliwie wojnę jeden z głównych polskich działaczy politycznych z województwa pomorskiego, gorliwie poszukiwany przez policję hitlerowską. W r. 1937 piszącemu te słowa oświadczył tłómacz rejencji w Koszalinie, że spotyka się na obszarze rejencji starych ludzi, nie umiających zupełnie po niemiecku; porozumiewał się on z nimi po polsku.

Obliczyliśmy wyżej, że w wyniku kolonizacji niemieckiej w średniowieczu ludność pochodzenia niemieckiego osiągnęła najwyższą 20% ogółu mieszkańców. Koncentrowała się ona głównie w miastach, które za dawnych czasów w jeszcze większym stopniu niż obecnie były skazane na wymieranie. Przyływ świeżej krwi z Niemiec nie przybierał większych rozmiarów i wystarczał w najlepszym wypadku na uzupełnienie ubytku naturalnego. A ilu

Władysław Dziewulski

GERMANIZACJA POMORZA ZACHODNIEGO*

Z końcem XV w. Pomorze Zachodnie z wyjątkiem miast było jeszcze słowiańskie. Świadcstwo Długosza potwierdza kronikarz pomorski z pierwszej połowy XVI w., Tomasz Kantzow, według którego Pomorze przedodrzańskie za jego czasów było jeszcze słowiańskim. Nowoczesny historyk niemiecki, Wehrmann, mówiąc o Pomorzu przedodrzańskim w II połowie XVI w., nazywa je „napół-słowiańskim”.

Widzimy, że germanizacja Pomorza nie nastąpiła jednocześnie z przeprowadzoną w średniowieczu (w w. XIII i XIV) kolonizacją niemiecką, jak sugerują historycy niemieccy. Obydwa pojęcia nie były bynajmniej równoznaczne. Germanizacja przypada w rzeczywistości na czasy późniejsze, triumf niemieczyzny w każdym bądź razie nastąpił nie wcześniej niż po upadku państwa pomorskiego.

Kiedy dokonał się upadek słowiańszczyzny?

Zagadnienie to, o ile wiemy, nie doczekało się opracowania wyczerpującego ani ze strony polskiej, ani niemieckiej. Materiały, zebrane przez Wilhelma Bogusławskiego do V tomu jego „Dziejów słowiańszczyzny północno-zachodniej”, nie zostały ogłoszone drukiem. Strona niemiecka ze zrozumiałych powodów wolała nie zgłębiać tej sprawy. I dopóki nauka polska nie przeprowadzi w tej materii gruntownych dociekań — w pierwszym rzędzie poszukiwań w ocalałych archiwach, co jest zresztą rzeczą pilną i ważną — zmuszeni będziemy operować danymi fragmentarycznymi.

Trzeba przeprowadzić ściśle rozróżnienie pomiędzy Pomorzem zaodrzańskim a częścią kraju, położoną na wschód od Odry. Postępy germanizacji na Pomorzu zaodrzańskim były niewątpliwie szybsze. Nacisk niemieczyzny był tu silniejszy choćby ze względów geograficznych, opór zaś ze strony żywiołu słowiańskiego słabszy. Wynikało to stąd, że ziemie zaodrzańskie,

położone poza obrębem właściwego Pomorza, włączone do jego granic politycznych częściowo w pierwszej połowie XII w., częściowo zaś (księstwo rugijskie) dopiero w r. 1325, a zamieszkałe przez ludność nie pomorską, lecz welecką, uległy w wysokim stopniu spustoszeniu i wyludnieniu na skutek wojen, jakie tu się toczyły przez cały w. XII (walki wewnętrzne na tle rozkładu związku weleckiego, dokonany przez Pomorzan podbój, najazdy Niemców i Duńczyków, wielka krucjata z r. 1147). Tam też skierowała się większa część kolonistów niemieckich.

Mimo to żywioł słowiański na Pomorzu przedodrzańskim zachowywał swoją odrębność etniczną bardzo długo. Zwykle się podaje, że już w r. 1404 na wyspie Rugii zmarła ostatnia niewiasta, mówiąca językiem słowiańskim, niejaka Gulcyna. Tak przynajmniej opiewa wiadomość, która się dochowała u piszącego z górą w sto lat później Tomasza Kantzowa. Już W. Bogusławski uważał tę wiadomość za niepewną i twierdził, że język słowiański utrzymał się w zakątkach wyspy do w. XVI. Jeszcze w połowie XIX w. Wincenty Pol znalazł na półwyspie Radowickim na Rugii ludność, która zwała się ze słowiańska „Reboken” (Rybacy), zachowała w mowie swej szereg wyrazów słowiańskich i z układu fizycznego i obyczajów przypominała Słowian; germanizacja tych ludzi musiała zatem dokonać się stosunkowo niedawno przed pobytem Pola, w każdym bądź razie nie w początku XV w., jak by wynikało z notatki Kantzowa. Nie ulega wątpliwości, że Kantzow wiadomość o Gulcynie musiał zaczerpnąć z jakiegoś obecnie zaginionej kroniki miejscowej, współczesnej opisanemu zdarzeniu. Zdarzenie to zwróciło na siebie uwagę kronikarza średniowiecznego, jedynie dlatego, że Gulcyna musiała zajmować pewną pozycję społeczną, wyróżniającą ją z tłumu; była to zapewne szlachcianka (czego dowodzi zresztą wymienienie jej z nazwiska), rzeczywiste ostatnia przedstawicielka zniemczonej do reszty miejscowej szlachty słowiańskiej, która wytrwała do śmierci przy mowie

*) Fragment większej pracy na ten temat.

wśród tych przybyszów z Zachodu było Słowian już zgermanizowanych wzgl. podających się za Niemców dla uzyskania awansu społecznego, którego możliwości byli pozbawieni w Mecklemburgii czy Brandenburgii. Niemczyzna mogła się rozkrzewiać w tych warunkach nie biologicznie, lecz jedynie i wyłącznie drogą germanizowania otoczenia. Przeprowadzona przez Fryderyka Wielkiego akcja kolonizacyjna dała 26.000 osadników niemieckich, co w stosunku do ówczesnej ludności wynosiło ok. 5% i nie mogło w poważniejszym stopniu zmienić układu czynników biologicznych słowiańskich i niemieckich.

Biorąc pod uwagę to wszystko, nie sądzimy, by odsetek krwi niemieckiej przynajmniej na Pomorzu przedodrzańskim za naszych czasów mógł być większy niż w chwili zakończenia średniowiecznej kolonizacji; nie przekracza on tedy cyfry 20 — 25%. Podobną opinię wyraża dr. Kaczmarczyk (kolonizacja niemiecka na wschód od Odry, 1945), zdaniem którego jeszcze dziś co najmniej 80% mieszkańców Pomorza szczyńskiego, zwłaszcza na wschód od Odry, to dawni Słowianie mówiący językiem niemieckim.

Na czynnik krwi zwrócili zresztą uwagę sami Niemcy. Już Fryderyk Wielki, ściągając zewsząd kandydatów na osadników pomorskich, wyraźnie wyłączył rdzennych Polaków („Stockpolen“); wyczuwał on intuicyjnie, że pozycja Niemczyzny na Pomorzu nie była zbyt silna pod względem biologicznym i na wszelki wypadek wołał uniknąć wzmocnienia miejscowego żywiołu słowiańskiego. Cytowany przez nas wielokrotnie Mass pisze „Charakter ludu pomorskiego jest mieszaniną składników niemieckich i słowiańskich”. W r. 1927 uczony niemiecki, W. Kruse, ogłosił dzieło, w którym na podstawie analizy składu krwi wykazywał, że 43% Niemców zamieszkałych na wschód od Łaby — to ziemczeni Słowianie lub Bałtowie (cytuje za prof. M. Rudnickim, który cyfrę Krusego uważa za zbyt niską i proponuje podnieść ją do 50 — 75%).

Jak się dokonała germanizacja żywiołu słowiańskiego na Pomorzu Zachodnim? Metody, jakimi posługiwali się Niemcy dla osiągnięcia tego skutku w stosunku do swych sąsiadów wschodnich — Słowian były te same bez względu na czas i miejsce. Sprowadzały się one do tępienia fizycznego ujarzmionych, oddawania ich na łup różnego rodzaju szumowin pochodzenia niemieckiego, wysiedlania z ojcowizny, celowego zubożania i upośledzania na każdym kroku za pomocą wszelkich środków prawnych i bezprawnych. Bezpośredni cel był taki sam jak podczas działań wojennych — złamanie woli przeciwnika, zgębienie go pod względem psychicznym i przeistoczenie w bezwolną i niewolniczo posłuszną masę. Taktyka powyższa jest wytworem zbiorowej duszy niemieckiej, reagującej jednakowo bez względu na taki czy inny etap rozwoju historycznego; żeby dojść do tego wniosku wystarczy porównać źródła średniowieczne z praktyką niemieckich rządów na ziemiach słowiańskich podczas ostatniej wojny.

Do stosowania metod nacisku i wynaradawiania Niemcom wcale nie było potrzeba ani pełni władzy politycznej na danym obszarze, ani też istnienia środka dyspozycyjnego, któryby kierował akcją z góry według ustalonego planu. Każdy Niemiec instynktownie czuł, jak należy postępować wobec Słowianina i do czego ma zmierzać jego postępowanie. Dzieje Pomorza Zachodniego świadczą o tym w sposób dostatecznie przekonujący.

Kraj ten ani nie został przez Niemców podbity, ani też nie udało się im przez cały czas istnienia księstwa pomorskiego zro-

bić z niego państwa całkowicie niemieckiego; przeciwnie książęta pomorscy prowadzili politykę słowiańską, pomorski żywioł niemiecki zaś, jak chciała ironia historii, im w tym pomagał. Dzięki tej pomocy Pomorze utrzymało się jako państwo niepodległe i realizacja podstawowego celu polityki ogólnoniemieckiej na Wschodzie — wzięcie Polski przez Brandenburgię w kleszcze — musiała ulec opóźnieniu.

Tym nie mniej jednak, działając wbrew ogólnemu interesowi Niemczyzny na jednym odcinku, Niemcy pomorscy realizowali sumiennie jej program, wszędzie, gdzie nie było to sprzeczne z ich egoizmem klasowym — w pierwszym rzędzie na polu gnębienia i wynaradawiania miejscowej ludności lechickiej.

Autorom słowiańskim z w. XIX i początku XX, opisującym przebieg germanizacji słowiańszczyzny północno-zachodniej, trudno było zrozumieć psychikę niemiecką; własne doświadczenie w danym wypadku zawodziło ze względu na funkcjonowanie w tym okresie hamulców cywilizacji mieszczańskiej, powstrzymujących bardziej brutalnie przejawy odwiecznego instynktu „narodu panów”. Dopiero, gdy nastąpił renesans średniowiecznego barbarzyństwa i Niemczyzna okazała swoje prawdziwe, nie ucharakteryzowane szminką cywilizacji oblicze, gdy szereg lat trzeba było przetrwać pod okupacją w warunkach analogicznych do tych, w jakich znaleźli się ongiś nasi pobratymcy zachodni, łatwiej nam zrozumieć ich sytuację i odczuć atmosferę, jaką zmuszeni oni byli oddychać na swej własnej ziemi.

Dla skutecznego przeprowadzenia germanizacji potrzebny był odpowiedni klimat psychiczny, podobny do tego, jaki stworzono dla Polaków na t. zw. terenach przyłączonych do Rzeszy w latach 1939 — 1945; klimat ten wytwarzały pozbawienie Słowian wszystkich praw ludzkich, wypieranie ich ze wszelkich pozycji dających pewną niezależność, słowem osaczenie ich zewsząd. Metody i środki działania były inne, ale cel był ten sam, jaki wytknięto sobie w Polsce w w. XX.

Oczywiście stan, o jakim mowa, nie wytworzył się na Pomorzu Zachodnim odrazu. Dopiero z chwili, gdy w wyniku przeprowadzonej kolonizacji niemieckiej odniosły triumf ustrój lenny, niemieckie prawo miejskie i kościół, zaistniały warunki zezwalające na wprowadzenie w ruch mechanizmu germanizacji. Ludność słowiańską zepchnięto na najniższe szczeble hierarchii społecznej, dynastie zaś odizolowano od ludu przez warstwy panujące — rdzenie niemieckie lub wcześniej ziemczone. Ludność wieśniacza stała się całkowicie zależna od panów feudalnych, tym samym oddana na pastwę samowoli, bo ustroju feudalnego nigdy nie cechowało zbytne poszanowanie prawa. W miastach Słowianie znaleźli się na poziomie pariasów, którym pozostawiono zajęcie najcięższe, najbrudniejsze lub uważane za hańbiące: robotników dńówkowych, rybaków, ogrodników, rzeźników, karczmarzy, przepelników, balwierzy, czyścicieli śledzi. Niemcy „w 60 do 70 lat, odkąd się sprowadzili, panowali we wszystkich miastach Pomorza Dolnego i księstwa Rugii. A Słowian za nic mieli i ich uciskali” — tak pisze kronikarz pomorski, Kantzow. Życie duchowe ludności tubylczej zostało zdławione przez kościół. „Zdzierstwo i dążenie do wynaradawienia Słowian głównie cechowały czynność duchowieństwa niemieckiego na Zaodrzańskim Pomorzu” (Bogusławski, Dzieje Słowiańszczyzny, t. IV, 479).

Dziełem wieków średnich było upośledzenie Słowian pod względem materialnym i prawnym. Czasy nowożytne przy-

niosły ze sobą wzmógłony nacisk niemieczyzny na wszystkich odcinkach życia społecznego. Na wsi chłop został wywłaszczony i pozbawiony resztek wolności osobistej. W miastach na tle zastój gospodarczego, od połowy XVI w., mającego charakter chroniczny i powodującego zaostrzenia walki o byt, zamknięto przed biedotą słowiańską ostatnie furtki, które jeszcze pozwalały jej przesunąć się cokolwiek wyżej w hierarchii społecznej. Wreszcie, o ile duchowieństwo katolickie przy całym swym nastawieniu antysłowiańskim poprzestawało w praktyce na utwierdzaniu ludzi w posłuszeństwie władzy kościelnej i zbieraniu dziesięciny i innych dochodów, reformacja przez wprowadzenie obowiązku konfirmacji w języku niemieckim i zaostrzenie kontroli duchowieństwa nad życiem jednostki przystąpiła do definitywnego tępienia języka i obyczaju słowiańskiego w myśl poglądów Lutera, który nauczał, że Słowianie są „najgorszym narodem na świecie”.

Wreszcie po przejściu Pomorza pod panowanie Hohenzollernów nieskoordynowane dotychczas wysiłki różnych grup Niemczyzny objął pod swe kierownictwo pruski aparat policyjno-administracyjny, któremu przypadło w udziale dokończenie dzieła germanizacji po dwóch wiekach systematycznej i solidnej pracy.

Nie sposób nie wyrazić w tym miejscu podziwu dla heroicznej wprost zaciętości, z jaką skazana na zagładę Słowiańszczyzna broniła się przed zalewem germańskim. Najbardziej na zachód wysunięty szczyt Drzewian na zachodnim brzegu Łaby stracił niepodległość już w VIII w.; mimo to, po upływie blisko 1000 lat — w początku XVIII w. Słowianin, który okazywał chęć uczenia się po niemiecku, narażał się na pogardę i obelgi ze strony sąsiadów; to też na tej oddawna skazanej na stracenie placówce słowiańszczyzny można było jeszcze w połowie ubiegłego stulecia znaleźć starców, którzy umieli po słowiańsku (Bogusławski IV, 115). Nie inaczej było i na innych obszarach zachodnio-słowiańskich, również i na Pomorzu. Pastor słupski Haken, pisze w swoim raporcie: „Wybitna dumą narodową Kaszubów jest główną przyczyną dla której tak długo stawili opór zupełnemu wygaśnięciu języka sarmackiego. Ta dumą stoi na przeszkodzie, aby w jakikolwiek sposób łączyli się z krwią niemiecką. Ta dumą przyczynia się także do tego, że uważają sobie za hańbę mówić po niemiecku”.

Potężnemu aparatowi wojującej Niemczyzny mogli oni, stabi, niezorganizowani i opuszczeni przez wszystkich, przeciwstawić tylko swoją solidarność i wytrwałość w biernym oporze, przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Rosyjski uczony, Jegorow, badając zagadnienie zaniku słowiańskości w Mecklemburgii, wysunął tezę, że ziemcznienie tego kraju nastąpiło dopiero na skutek wojny 30-letniej i tuż po niej. Nie wchodząc w kwestię słuszności czy niesłuszności tezy Jegorowa, musimy przestrzec przed łączeniem upadku żywiołu słowiańskiego z wojną 30-letnią. Wprawdzie wojna ta straszliwie spustoszyła i wyludniła Pomorze (w r. 1688 gęstość zaludnienia na przypadłym Brandenburgii Pomorzu Przedodrzańskim wynosiła zaledwie 8 mieszkańców na 1 km kw.), to jednak dotknęła ona niemieckie miasta w równym, jeżeli nie większym stopniu, jak i słowiańską wieś: dlatego nie można przypuszczać, że dziełem jej było ostateczne złamanie żywiołu słowiańskiego. Przeciwnie, mamy dowody na to, że trzymał się on jeszcze przez bardzo długi czas.

Władysław Dzieuulski

RUGEWIT

Wzniesiony nad starymi dąbrowami
On ostrów nasz od wrażeń bronił trwóg.
Czy w bój, czy w mir, sławiony modlitwami,
Szeroko wkrąg siedmioma wiódł głowami
Rugewit nasz — ten niezwalczony bóg.

Z przed głazu dym ułatał pelen woni,
A ołtarz był spowity w ziela płaszcz
I tylekroć na stosach zdartej broni
Do skalnych stóp Duńczyków w pęczach klonił
Surowy bóg — Rugewit sławny nasz.

W godziny burz uchodząc od rozbicia
Korabie szły pod jego miecza cień.
Dla swoich był orędownikiem życia,
Jaskółek rój uścielał swe poszycia
Wśród bożych bród, szczebiocząc cały dzień.

Ufaliśmy: Kapłani nie bez wiary
Mawiali, iż, gdy obcy wlargnie w próg,
Ożyje On i z zrenic tchnie pożary
I mieczów pęk uniesie w gniewie jarym
Rugewit nasz — ten znieważony bóg.

Ufaliśmy... lecz już odwieczna siła
Strącała nas do całkiem innych ról.
Korabie w mgłę zaczernią się na tyłach
— To mocen wróg szedł z mieczem sprawić ból.

Potężnych to szedł prawnuk Monomachów,
Włodzimierz szedł a za nim drużyn wian.
Na Ranów on jedyny szedł bez strachu,
Włodzimierz-król a prawnuk Monomachów
Waregów knieź i pysznej Danii pan.

Pamiętny dzień kiedyśmy nie dotrwali,
Włodzimierz-król nam Jaromira gnał.
Pamiętny dzień... bogowie wkrąg padali...
Aż nagle drgnął pod ciosem wrażeń stali
Rugewit nasz i zwałił się ze skał.

I ledwieże czternaście pluźnych wołów
Zdołało ten dębowy staszczyć stołb.
Zniżywszy łby a dymiąc od mozołu,
Pod biczków świst włóczyły go po społu
A twardy Dun nad nimi głośno kłął.

I wstąpił nań i dzierzył krzyż w prawicy
I wbiwszy miecz w pierś boga dumnie stał
Sam biskup Swen, jak wódz na rydwannicy,
I kazał wlec z strzaskanej bram świątynicy
Ten boży stołb, gdzie srożył się fal wał.

Po brzegach'smy strwożeni przebiegali:
Niewiasta, mąż, dziad, dziecko — z cichą łzą.
Naokół jęk i pełni strasznych żali —
„Bożycu, wstań” — w ślad za nimiśmy wołali —
I mocen wstań i niecnych Dunów grom!”

Lecz nie wstał on... A tam, gdzie skały zrywa,
Rozpryska, wre i fal się tłucze kłęb,
Ze szczytu dłoń obala go zelżywa
I plusł i wnel żarłoczna porwie grzywa,
Okręci i uniesie w morską głąb.

Popłynął precz... nie bawił już w tych stronach,
Ani się sam na wrogach pomścić mógł.
Pyłamy się zdumieni pośród grona:
„Gdzież jego mocł gdzie władza niewzruszona!
Czyż nie był nasz Rugewit prawy bóg!”

Lecz kiedyśmy pierwszego zbyli strachu,
Padłego już nie było nam tak żal,
Mówiliśmy w zadumie schodząc z piachu:
„Nie zbawiasz nas od władzy Monomachów,
Bożyszczce z drwa, więc płynże, płyn, heł w dall!”

BORZYWÓJ POEMAT POMORSKI (WYIĄTKI)

...Kiedy doszedł głos do Danii,
Biskup Eryk powstał pierwszy,
Na brzeg mnisi z nim wstępują,
Ciężkie zbroje przyodziewszy.

Przybył w szłomie z skrzydłem ptaka
Sven, syn Nilsa, rychło potem,
Ramię w ramię z nim wystąpił
Wiking Knut, kapiący złotem.

Oba rodu królewskiego,
O tronowe krzesło sporzą...
Lecz dziś zwada się uśmieza,
Bo o sprawę idzie bożą.

Jako rzesze morskich płaków
Wiele pancernego luda
Z wielkim brzękiem i jasnością
Zewsząd się tu ku nim uda.

Uszeregowane łodzie
Opuszczają zwolna brzegi
I ku szykom lica zwróci
I zapowie biskup Eryk:

„Z nami Bóg i dziś nam sprzyja
Przewielebny święty Jerzy,
Więc z zasadzki rozgromimy
Złe Słowiaństwo z tych wybrzeży.”

Rzekne Knut: „W bitewnym sporze
Każdej sile ja dostoję,
Jeno mi się w sinym morzu
Nie potykać z Borzywojem.”

Z rufy Swen się śmiejąc rzecze:
„O nie będzie tam obrony,
Gdyż Borzywój dziś się siecze
Z Saksonami u Arkony.”

I weseli wszyscy troje,
Zaś rycerska ich drużyna,
W niezwalczonym szyku stojąc,
Mknie w kierunku baszt Wołynia.

Wtem rzekł, wzniosłszy się nad burłę
Swen, syn Nilsa: „Mnie się zdało,
Że na brzegu, tam za skałą
Coś, jak las zaszeleściato.”

Rzeknie Knut, oczyma tocząc:
„To nie las tak tam szeleści,
Szczygłów chmara się trzepoce
I o kosę kosa chrześci.”

Powstał biskup zadziwiony
I z mieszaniami pewnym orzekł:
„Co za dziwy mi się roją!
Konie rżą przez sine morze.”

Zmieszanemu biskupowi
Rzekł mnich także z niepokojem:
„To nie rżenie, to buczenie,
To są kobzy Borzywoja.”

Nagle śład, skąd codzieln białe
W płaschach się przyplływy roją,
Z za skał czarnych wybiegają
Wzdarłe łodzie Borzywoja.

I żaglami barwistymi
Całe sine morze skryte
A na wielrże górą furszy
Święty sztandar Świętowita.

Pluszczą wiosła, świecą bronie,
Siekierzyska dzwonią stalne
I jakoby wściekłe konie
Kwiczą kobzy bezustannie.

I z dębczakiem wodza w ręce
I w koszuli całkiem zgrzebnej
Kiwa głową im Borzywój:
„Dobry dzień wam, o wielebne!”

„Właśnie wracam z pod Arkony,
Poła tam od krwi rdzewieją,
Ale Niemców złych znamiona
Więcej z lynów nie powieją.

I na pełnych wiatru żaglach
Cudnie bierze się do dzieła:
Oto łódź się z łodzią zewrze,
Oto wojna się zaczęła.

To wzbijają się nad fale,
To przez leje wodne płyną —
Bosakami burty zepną —
Górą rzeżą się drużyny.

Złe Duńczykom poszło, złe tam!
W potykaniu owym sławnym!
Gdy to wszelkie morskie dziwa
Wiele trupa się nażarły.

Przewróconych wśród fal wodnych
Łodzi włóczy się niemało
I po całym krwawym morzu
Wiele płozów chybotąło.

Henryk Lew, idący śmiało
Z wojskiem przeciw Wołyniowi,
Usłyszawszy, co się stało,
Konie zwrócił na Brzązowik.

I od Retry do Bodryczów
Z Dębowiku, heł, po Ośnę,
O zastracie najezdźników
Niosą wieści wiatry głośne.

A w Wołyniu gwar wesoly.
Przed Peruna gonlynnice
Suną białym korowodem
Nadodrzańskich ziem dziewice.

A zaś biskup z wszystką księżą
W cerkwi na kolanach woła:
„Boże, zmituj się nad nami,
Chrońże nas od Borzywoja.”



„STARA CEGIELNIA“ JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA (PRAPREMIERA) — W REŻYSERII STANISŁAWA MASLINSKIEGO, OPRAWIE SCENICZNEJ ART. MAL. LEONARDA TORWIRTA

Jarosław Iwaszkiewicz

„STARA CEGIELNIA“ NA SCENIE

Dziwno mi widzieć „Stara cegielnię“ na scenie. Osoby, które w niej występują, to przecież dawni moi znajomi, z którymi żyłem się przez długie miesiące. A teraz nabrali swojego własnego życia, istnieją jakoby poza mną — oderwali się ode mnie i poszli w świat na własną rękę.

Na początku byli to prawdziwi znajomi. Wielokrotnie przejeżdżając kolejką elektryczną z Podkowy Leśnej do Warszawy widziałem ten pejzaż starej cegielni, który mnie fascynował przez całe lata. Widziałem glinianki i ładny budynek szkoły ze świerkami przed frontem i zapadnięte baraki cegielni i komin jeszcze przed wojną na pół rozwalony. Od tego pejzażu wszystko się zaczęło. Chciałem aby go utrwalić, chciałem aby pozostał w jednym z moich utworów taki sam, jaki się skonponował w rzeczywistości, żywcem przeniesiony z życia do literatury. Raz tylko jeden zwiedziłem go z bliska. Było to w taki sam letni, ale wietrzny dzień, w jaki rozpoczyna się moja sztuka. Wiatr i chłód wyгнаły wszystkich i okolica była zupełnie pusta. Tym łatwiej było mi ją zaludnić osobami poznanymi gdzieindziej.

A więc stary Antoni, stróż cegielni — to rzeczywiście znany mi dozorca z innej okolicy podwarszawskiej. Tak samo był w młodości kozakiem w jednym z magnackich dworów na Ukrainie, tak samo niefornnie się ożenił i miał kłopoty ze swoją małżonką. A Wacek, jednooki Wacek, bohater tej sztuki, czy także jest wzięty z życia? Tu już trzeba się przyznać, że fantazja moja działała bardziej samodzielnie. Na postać tę złożyły się trzy osoby, dwie znane mi osobiście a trzecia tylko z opowiadania. Z tej trzeciej wziąłem właśnie to, co u Wacka jest najważniejsze, a mianowicie jego bohaterstwo.

Ale mieszkając pod Warszawą w czasie całej okupacji i mając bardzo dużo do czynienia z tą właśnie ludnością podmiejską, jaką pokazałem w „Starej cegielni“, niejednokrotnie spotykałem się z objawami bo-

haterstwa i z dzielnymi czynami u ludzi, którzy bynajmniej na codzień nie byli bohaterami, przeciwnie, zwyczajni ludzie — czasami dobrze podszyci lotrzykiem, w stanowczych chwilach potrafili wykrzesać z siebie tyle bezinteresownej dzielności, że nieraz mogliby nauczyć najbardziej świadomego działacza.

Jeżeli chodzi o kobiety występujące w mojej sztuce, to niejednokrotnie różne znajome panie zarzucały mi, że potraktowałem je bardzo nieżyczliwie. Jeżeli jest to prawda, o ile chodzi o żonę starego Antoniego, drapieżną a chciwą Elwirę, wzorowaną zresztą na złośliwej kobiecie, która w swoim czasie naprowadziła żandarmów niemieckich na mój dom, o tyle zarzut ten jest niesprawiedliwy, jeżeli chodzi o główną bohaterkę sztuki, szwaczkę pannę Klarę. Oczywiście, jest to głupie stworzenie zmanierowane pod wpływem czytanych romansów i kieszonkowych „filmów salonowych“ — jednakże mam do niej wiele sympatii i chciałbym, aby tą sympatię podzielił ze mną i widz teatralny i słuchacz radiowy. Biedna dziewczyna, nie jest ona winna, że nie odczuwa instynktem wszystkich wartości, jakie reprezentuje charakter Wacka, i nie jest win-

na, że od pierwszego momentu sztuki dostaje się w tryby takiej maszyny, która musi ją zmiążdżyć.

Sztuka moja powstała z noweli pod tym samym tytułem. Ale i jedna i druga są pewnego rodzaju konstrukcją, która od samego początku zmierza nieuchronnie ku katastrofie. Francuski pisarz Cocteau nazwał swoją sztukę o Edypie „Maszyną piekielną“, gdyż uważał, że mechanizm tej sztuki nieuchronnie zmierza do końcowego wybuchu. Tak samo i u mnie. Sztuka ta jest rodzajem maszyny piekielnej, od samego początku nastawionej na wybuch. Od pierwszej chwili, kiedy Wacek zjawia się na podwórku w starej cegielni i spotyka tam Antoniego, maszyna się rozpętuje i nic nie może wstrzymać biegu zdarzeń zmierzających do końcowej katastrofy. Pod tym względem może ma rację Wilam Horzycza porównując sztukę moją do starożytnych tragedii. Ale osoby w niej występujące nie mają masek ni kurtynów. Są to moi — nasi, wasi bardzo dobrzy znajomi, najprostsi w świecie ludzie, pospolici i kochani, wplątani w zagadnienia i zadania przelotne siłą ich rozumienia. Tak jak zresztą było z nami wszystkimi podczas barbarzyńskiej okupacji niemieckiej. I dlatego myślę, że sztuka moja będzie zrozumiana przez najszersze warstwy naszego społeczeństwa i że pokaże im sprawy znane, tragiczne, codzienne — i na szczęście już przebrzmiałe.

Jan Piechocki

ZAMIAST HISTORII TEATRU BYDGOSKIEGO

Z okazji 600-nej rocznicy Bydgoszczy ukazało się i ukaże się jeszcze zapewne sporo rozpraw, szkiców i notatek historycznych. Dzieje rozwoju miasta, jego pamiątek, jego osobliwości i instytucji zostaną przypomniane i spopularyzowane w sposób mniej lub więcej umiejętny. Należałoby pomyśleć również o napisaniu historii sceny bydgoskiej i życia teatralnego nad Brdą. Zarys tego rodzaju powinien powstać choćby z racji ułatwienia pracy

przyszłemu autorowi projektowanej wielkiej monografii miasta. Scena bydgoska jest niemowlęciem w porównaniu z 600 „wiosen“ liczącym miastem — staruszką, a iakież znużoną i znojną pracą stanowią — jak się sam przekonałem — ustalenie już teraz dat i nazwisk z życia teatru nad Brdą w latach 1919 — 1939! O ileż trudniej będzie fakty ustalić za jakieś lat dwadzieścia, gdy pracy kronikarza dziejów teatralnych nie poprą pamięć i żywe



„ŚLUBY PANIENSKIE“ AL. FREDRY
W REŻYS. ZOFII MODRZEWSKIEJ



„LUDZIE SĄ LUDZMI“ — ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO
(PRAPREMIERA) W REŻYSERII CZESŁAWA STRZELECKIEGO



„MAZEPA“ JULJ. SŁOWACKIEGO
W INSCENIZ. AL. RODZIEWICZA

wspomnienia! Wskutek okupacji zaginęło archiwum teatralne, jesteśmy więc zdani na wertowanie artykułów dziennikarskich, recenzji, bilansów posezonowych itp. po zachowanych szczęśliwie rocznikach gazet bydgoskich. Pewną pomoc może wyświadczyć „Almanach Teatru Bydgoskiego“, wydany w r. 1924, który niestety nie znalazł w latach następnych kontynuacji w dalszych tego rodzaju wydawnictwach. Zresztą konkretnego materiału historycznego lub bodaj kronikarskiego jest i w tym, liczącym 112 stron tomie, poza artykułem wstępnym ś. p. red. Konrada Fiedlera, bardzo mało. Miał podać spisy repertuarów i zespołów, wykazy frekwencji itp., woleł wydawcy — kierując się fałszywą ambicją — „Almanachi“ zapelnąć artykułami na najbardziej oderwane tematy teatrolologiczne i dziesiątkami fotografii (niekiedy ten sam aktor w kilku pozach!)

Początków życia sceny polskiej w Bydgoszczy nie znam z autopsji, ale — jak dowodzi przewertowany przeze mnie materiał kronikarsko - dziennikarski — nie mieli pierwsi polscy dyrektorzy łatwego życia. Im wszystkim, a więc Siemaszkowej, Karbowskiemu, Bendzie i Dybizańskiemu przyszło walczyć z trudnością natury finansowej i personalnej, często z gorszącym rozprężeniem w zespołach, z niemożliwością utrzymania się na wytyczonej linii repertuarowej, z trudnością uchwycenia gustu publiczności. Bydgoszcz po pierwszej wojnie światowej była miastem bez polskich tradycji teatralnych, w przeciwieństwie np. do Poznania. Polskość w mieście za czasów pruskich reprezentowały tylko warstwa robotnicza i kilkanaście rodzin inteligentnych. Z Gniezna do Bydgoszczy jest za ledwie dwie godziny podróży koleją, a jednak gdy wiosną roku 1918-go z grodu Lecha przybyłem po raz pierwszy do miasta, uważanego podówczas przez Niemców za „mały Berlin“, miałem wrażenie, że odbyłem bardzo daleką podróż. Małe Gniezno liczyło przecież tyleż samo Polaków co Bydgoszcz. W Gnieźnie można było na upartego wszędzie, oczywiście poza urzędami, rozmówić się po polsku. W zgermanizowanej Bydgoszczy kryła się polskość na przedmieściach. Przyszła wolność, Bydgoszcz znalazła się z początkiem roku 1920 w granicach Państwa Polskiego. Poloniza-

cja dużego miasta postępowała stale, ale powoli. Przez długie lata, już po odpływie pruskiej urzędniczej i niemieckiego mieszczaństwa, sporo było jeszcze w Bydgoszczy ludzi, którzy uważając się za Polaków, kultura, sposobem bycia, ba nawet językiem tkwili w niemczyźnie. Polskość umacniała się wraz z dojrzewaniem młodego pokolenia, które przeszło przez polską szkołę. Syn lub córka celowali np. w języku polskim w gimnazjum, a rodzice na t. zw. wywiadówkach ledwo umieli się wysłowić i często gęsto się z tego tłumaczyli przed profesorami.

Wspominam o tych faktach, bo charakteryzują one klimat, w którym działał wypadło pierwszym pionierom polskiego teatru w Bydgoszczy. Jeżeli dla otrząsającej się z trudem z niemieckiego nalotu ludności byłby odpowiedni repertuar popularny, ułożony z myślą o dydaktyce językowej i patriotycznej, to liczny zastęp inteligencji przybyłej z terenu b. Królestwa, Małopolski, Kresów czy Wielkopolski domagał się od teatru czegoś wręcz przeciwnego: repertuaru jak w Krakowie, Warszawie czy choćby w Poznaniu.

W praktyce oscyłowano między obu krańcami — obok arcydzieł literatury dramatycznej dawano ramoty lub mocno pornografią zalatujące farsydy. W roku 1923 wprowadzono nawet spektakle operetkowe, które aż do r. 1939-go cieszyły się bardzo wielkim powodzeniem.

Ciągle przesilenia na stolcu dyrektorskim nie były pożądanym zjawiskiem i kompromitowały teatr. Można je jednak w części wytłumaczyć scharakteryzowanym powyżej specyficznym różniczkowaniem świata bydgoskich konsumentów kultury w latach 1920 — 1928. Z czasem nastąpiło skryształizowanie i wyrównanie. Wyrównanie wzywał! Bydgoski widz teatralny przestał być widzem, któremu brak zrozumienia odcieni mowy polskiej utrudniał rozkoszowanie się Fredrą i Wyspiańskim. Były na kilka lat przed wojną sezony, w których sztuki klasyczne, np. „Balladyna“, były frekwencją tak popularną na gruncie bydgoskim operetkę. O ile jeszcze w jakimś roku 1923 czy 1924 niemiecki „Bühnenverein“ robił konkurencję scenie polskiej, to już kilka lat później zaczął świecić pustkami. Przeciwnie, na premierach polskich zjawiali się wcale licznie Niem-

cy (zwłaszcza na spektaklach operetkowych).

Za dyrekcji Stony (1928 — 38) stał się teatr polski potrzebą szerokich, najszerzych mas. Było to następstwem dokonanej już polonizacji oraz sprężystej, świadomej swych celów organizacji pracy teatralnej. Obok systemu żniżek, przedstawień popularnych, popołudniówek itp. na atrakcyjność naszej sceny wpłynęła polityka repertuarowa. W miarę lat zdołano precyzyjnie obliczyć, co może przemówić do bydgoskiej publiczności i na jakie jej odłamy może liczyć dana sztuka. Na ten temat możnaby — ze statystykami frekwencji w rękę — napisać całą rozprawę. Tu powiem tyle: szersza publiczność bydgoska lubiła sztuki o zdecydowanym charakterze. Uderzało np. wtajemniczonych, że sztuki obfitujące w skomplikowane charaktery, sztuki z problematyką półcieni psychologicznych „przepadały“ stale i nieodmiennie. Albo wielki repertuar narodowy (spopularyzowany przez liczne szkoły średnie), albo pogodna komedia Bałuckiego czy Bliźnińskiego, albo „Obrona Częstochowy“ i „Golgota“, albo wreszcie operetka — słowem rzeczy, które mają określony i ustalony ciężar gatunkowy, to szło po kilkanaście, nawet po kilkadziesiąt ra-

Powyższy stan rzeczy zarysował się wyraziście w ostatnich latach dyrekcji Wład. Stony i jego następcy Aleksandra Rodziewicza (od r. 1938). Teatr bydgoski nie wyspecjalizował się w jakimś kierunku, lecz był teatrem pożytecznym, finansowo dobrze ugruntowanym (przy małych subwencjach miasta dyrekcja płaciła regularnie gaże niby w urzędzie!), a co najważniejsze, otoczonym sympatią widzów spośród wszystkich warstw społecznych. Okupacja na przeszło 5 lat położyła kres polskiemu życiu teatralnemu Bydgoszczy. Obecnie to życie się odradza i w nowych warunkach rośnie z każdym miesiącem krąg konsumentów teatralnych.

Kwestia osiągnięć sceny bydgoskiej w wyzwolonej od hitlerowskich najeźdźców Bydgoszczy stanowi osobny temat, który poruszę przy najbliższej okazji. Na razie ograniczam się do stwierdzenia, że pod dyrekcją Al. Rodziewicza, mimo trudności lokalnych (dawny gmach zniszczony), teatr bydgoski doskonale spełnia swe zadania dobrej prowincjonalnej sceny.

SZTUKA UPOWSZECHNIONA

Sprawa upowszechnienia kultury i sztuki przez długie wieki niewiele tylko ludzi pasjonowała i jeśli ją kto podnosił, to był niewątpliwie stroną zainteresowaną bezpośrednio — artystą lub ostatecznie filozofem. U artystów motyw dominujący stanowiła najczęściej chęć sławy i ambicja, chociaż u Horacego oprócz tych pobudek spotykamy w słynnej końcowej odzie III księgi jaśkrawy przejaw rzymskiej myśli imperialistycznej, zmierzającej do podbicia najdalszych terenów tak orężem jak i ekspansją kulturalną. Dzisiejszemu jednak czytelnikowi, mimo że marzenia Horacego spełniły się całkowicie, wydają się te strofy zbyt napuszone. W czasach — jak ostatnie, — gdy próbowano dokonywać podbojów równie dobrze najnowocześniejszymi, zbrodniczo użytymi zdobyczami techniki, jak i wypaczonymi i sfalszowanymi hasłami kulturalnymi, popularyzacja kultury i sztuki musi się oprzeć na innych zasadach.

Racjonalnie pojętej idei upowszechnienia sztuki, zwłaszcza literatury, dał najlepszy wyraz Mickiewicz w tak często dziś cytowanym epilogu „Pana Tadeusza“, mówiąc o swym marzeniu dostarczenia treści i podniety duchowej nawet najprostszym ludziom spod strzechy. Popularność słów Mickiewicza ilustruje najlepiej w obecnych czasach rosnąca aktualność tego problemu. Chociaż więc późniejszy profesor literatury nie wdaje się nigdzie w analizę zagadnienia, które napewno szczerze go pasjonowało, dostarczył nam jednakże odpowie-

dzi na pytanie kojarzące się bezpośrednio z tą kwestią. Na pytanie powyższe, brzmiące: jaką musi być sztuka nadająca się do upowszechnienia, daje nam odpowiedź cała twórczość Mickiewicza.

Niestety Mickiewicza mieliśmy tylko jednego. Społeczeństwo o rozległej kulturze musi zaś posiadać setki i tysiące autorów i dzieł, godnych czytania, słuchania i oglądania, musi wydawać każdego czasu artystów nadażających z nurtem przemian społecznych i kulturalnych i utrwalających swoją epokę. Sztuka w najogólniejszych swoich zarysach mieści się zawsze w ramach danej epoki i obrazu tego nie zmaczą żadni epigonowie ani twórcy awangardowi. Tak więc się dzieje, że na ogół artyści odpowiadają przede wszystkim potrzebom kulturalnym współczesności. Jeśli więc dzisiaj głośniejsze stają się wołania o sztukę zaspokajającą wymagania człowieka, to przyczyną jest nie tylko fakt, że wojna i jej doświadczenia przekreśliły zbyt gwałtownie szereg dawnych ideałów i tendencji, ale i sprawa najważniejsza, że przemiany w społeczeństwach odbywają się prędzej, a ponadto sięgają głębiej w stosunki ludzkie i psychikę człowieka.

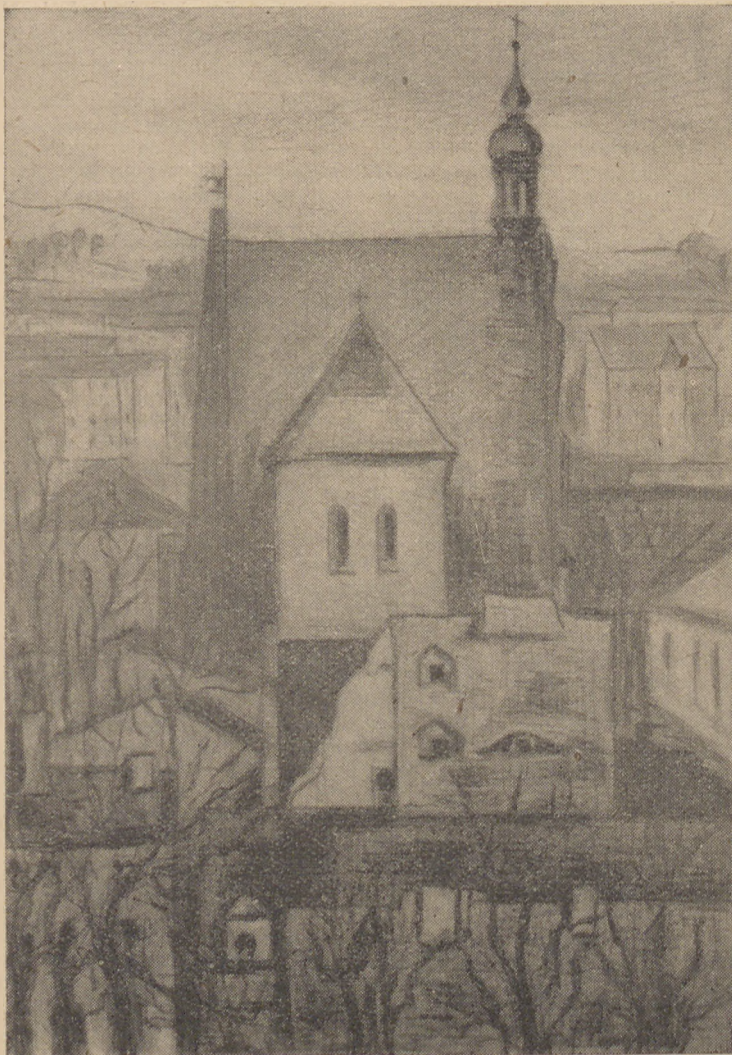
Twór wszelki staje się dziełem sztuki jedynie przez możliwość jego estetycznego oddziaływania. Artyzm jego jest tym większy, im gęstszy jest spłot nici wiążących przedmiot z przedmiotem — człowieka z utworem artystycznym. W tym przyczyna subiektywnego odczuwania sztuki i subiek-

tywnych o niej sądów oraz mniejsza lub większa popularność obrazu, utworu muzycznego, powieści czy poematu. Obiektywną wartością w dziele jest tylko materiał, z którego jest stworzony i przedmiot, który przedstawia lub opisuje. Te więc elementy trzeba wyodrębnić i omówić ich znaczenie, aby wysunąć ostateczny wniosek, co z nich może się w największej mierze przyczynić do uzyskania popularności dzieła sztuki. Stwierdzić trzeba, jak winny się one kształtować i jaki ma być ich charakter, aby dzieło było piękne nie tylko dla melichnych, ale budziło uczucia estetyczne u każdego.

Niewątpliwie najpoważniejszym zadaniem artysty jest budzenie wyobraźni i uczucia. Duch ludzki odczuwa potrzebę wyzycia się nie tylko w codziennej pracy i jego dążność, czy to objawiając się jako ciekawość, czy też pragnienie wiedzy, wrażeń i piękna, powoduje stałe powroty człowieka do sztuki. Ale niekiedy treść wzbudza równe zainteresowanie. Przeważnie szuka się piękna przedstawiającego dodatnie strony życia. Jest to specjalnie zrozumiałe w obecnej chwili. Ale że życie nie składa się z samych tylko momentów jasnych, więc i brzydota i dalej przede wszystkim tragizm dochodzą do głosu. Niekiedy taką treścią będzie się jednakże zachwycał. Takie dylematy często zdarzać się będą przy rozważaniu spraw związanych z sztuką i jej popularnością. Toteż sprawą artysty jest uzyskanie równowagi treściowej w swych utworach. Musi się on starać tam, gdzie nie może liczyć na treść, którąby mu sama przez się zjednywała odbiorcę, o zrozumienie charakteru swego konsumenta, jego typu psychicznego, aby przez stworzenie dzieła sztuki odpowiadającego wymaganiom uczuciowym rozmaitego charakteru ludzi zwiększyć zasięg jego oddziaływania. Nie chodzi więc o schlebienie gustom konsumenta, ale o stworzenie możliwości porozumienia się artysty z człowiekiem, dzieła sztuki powstają bowiem mimo wszystko pod aspektem ich powszechności i twórcy szczerze się wypowiadający nie pragną, aby były one dzwonami zawieszonymi w próżni, lecz umieszczają je w normalnej ziemskiej atmosferze.

Dzieło sztuki rozumie się i odczuwa. Już w tych słowach tkwi zapowiedź ogromnych przeciwstawień. Po jednej stronie stają wszelkie operacje myślowe, wyobrażenia i wrażenia, po drugiej afekty, popędy i nastroje. Dochodzi do tego jeszcze różnorodność odbioru w niektórych dziedzinach sztuki. Tak więc powstają liczne odmienne typy konsumenta sztuki: wzrokowe, słuchowe lub inne, u których działa przede wszystkim wyobraźnia, albo wreszcie refleksja, spotykana u ludzi skłonnych do teoretyzowania. Treść wyrażoną w dziele można sobie albo wyobrazić, albo odczuć. Dla jednych najważniejszy jest przedmiot, akcja, barwa czy dźwięk, dla innych największą rzekoszą jest nieokreślone poddanie się nastrojom, przeżycie piękna, radości, tęsknoty, żalu czy smutku.

Toteż istnieją wśród odbiorców sztuki ludzie, którzy stany wyrażone przez artystę odczuwają jak własne przeżycia. Są oni jakby aktorami na wielkiej scenie sztuki. Lini wolą być raczej widzami. Ci pierwsi zachwycają się wespół z autorem lub jego bohaterem, z nim się radują i smucą i oczywiście są raczej zwolennikami pogodnych wydzźwięków. Lini poddają się tylko nurto wi dzieła sztuki jako pewnej koncepcji artystycznej, lecz zachowują stałe dystans estetyczny względem przedmiotu i bohaterów. A są to właściwie tylko zarysy — i to najbardziej powierzchowne — typów psychicznych konsumenta, w rzeczywistości bowiem mamy jeszcze rozmaite odmiany i odcienie tych zasadniczych charakterów, przeróżne skrzyżowania i typy pośrednie.



JADWIGA
SZYSZKO

FARA
BYDGOSKA

Nie ma węc dwojga ludzi, którzyby to samo odczuli, to samo przeżyli czy przemyśleli, te same wreszcie mieli wyobrażenia i skojarzenia przy odbiorze tego samego dzieła. Przeciwno nim jest zaś jeszcze cały świat formalny, jest naróżnniejszy materiał z którego dzieło powstało, słowo na przykład, w różnych zestawieniach budzące zawsze inne obrazy i uczucia, bo gdy jedno nawet słowo nie zawsze identycznie określa pojęcia, pozostawiając otwarte pole dla wszelkich związanych z tym pojęciem wspomnień i asocjacji, cóż dopiero cały mechanizm pojęć wzajemnie się zależających i w sobie się odzwierciedlających. To samo jest z każdym innym materiałem artystycznym, do którego dochodzi jeszcze forma, konstrukcja, rytm wewnętrzny dzieła sztuki — wszystko to, co zawsze różniła wodze fantazji ludzkiej.

Na ten sam utwór będą ponadto rozmaici ludzie w rozmaitych środowiskach spoglądać z innego stanowiska. Tak samo jak inżynier, patrząc na obraz zainteresuje się budową domów lub mostu, przyrodnik zwróci uwagę na roślinność, tak i odmienne warstwy społeczne inaczej podchodzą do dzieł sztuki, mierząc je często skalą niezaspokojonych swych pragnień i tęsknot. Wielkie dzieło musi tać w sobie możliwości szeroki przeżyć dla reprezentantów rozmaitych środowisk i rozmaitych typów ludzkich. Wszechstronność i głębia przedstawianych spraw decydują więc o trwałości i wielkości utworu artystycznego. W dramacie Szekspira jednego pociągną tragiczne zmagania się z sobą Hamleta, inny głęboko przeżyje dramat Ofelii, ostatni wreszcie najsilniejszych wrażeń dozna urzawszy widmo zamordowanego króla. Ale i tu jeszcze mogą powstać różne doznania w najciaśniejszym nawet zakresie zainteresowań poszczególnych odbiorców zależnie od ich nastawienia psychicznego. Dla jednych upiór w dramacie Szekspira będzie smutną i godną współczucia postacią, dla innych będzie źródłem dreszczu i sensacji.

Zakres oceny i wartościowania dzieła sztuki komplikuje się więc coraz więcej z chwilą konfrontacji utworu z wszystkimi możliwymi odbiorcami sztuki. A przecież najszersze masy domagają się przede wszystkim wartościowej sztuki. Na przykładzie największych i najpopularniejszych twórców widzimy, że sztuka dostarczając wartości pozytywne nie potrzebuje się odgrodzić od mas. Tymczasem w pogmatwaniach psychologicznych i uczuciowych, w perypetiach i nastrojach bohaterów wielu dzieł literackich, w ekstrawagancjach czy wyrafinowaniu form wszelkich rodzajów sztuki zbyt dużo nieraz sztuczności, pozy i fałszu dla przeciętnego odbiorcy sztuki, zbyt wiele nieżywcowości i nieaktualności.

Stąd częsta ucieczka do namiastek, do przelotnego humoru, przebojowej piosenki, łatwego wodewilu, sentymentalnego liryzmu — do wszelkiego kiczu, lub do prostych pozaestetycznych przeżyć. Najgorsze, że fakt ten jednocześnie wyzyskiwany bywa przez sprytnych paskarzy żerujących na wartościach sztuki. W gruncie rzeczy jest to zaś oszukiwanie zdrowego skądinąd estetycznego zmysłu u konsumenta, żądającego wartości pozytywnych dla swego głodu sztuki. Prosty odbiorca nie znosi dzieł artystycznych, wykraczających poza normy życia społecznego, pływających się w chorobliwym zindywidualizowaniu lub nieżywcowej pustce, nie chce rzeczy nieaktualnych. Wzaman za to otrzymuje nieraz produkt sfałszowany, t.zw. przebój, który tylko dzięki przyjemnej powłoce sprawia wrażenie czegoś wartościowego, w rzeczywistości zaś jest tylko wydętym cukierkiem bez treści wewnętrznej.

MARIAN
TURWID



ALEJE 1 MAJA
W BYDGOSZCZY

Miara dzieła sztuki jest jego trwałość w czasie, a więc kryterium obiektywne i na przestrzeni lat sprawdzalne, chociaż niektóre gwiazdy pierwszej wielkości przycasają dopiero po wielu wiekach. W zasadzie jednak jest ona miarą najprzydatniejszą i najlepszą dla dzieł dawniejszych. Dla twórców nowych pozostaje autorytet znawców, którzy nie dając również stuprocentowej pewności, stwarzają przecież największą możliwą pewność co do wartości i trwałości dzieła. Wreszcie poważną miarą we wszelkiej ocenie jest oryginalność utworu artystycznego. Dobrym naśladownictwem lub kopią można się wprawdzie niekiedy równie dobrze zachwycać jak oryginałem, lecz w następstwie naśladownictwo nie wytrzyma jednakże próby czasu. Zwodnicze za to są czyśto rozumowe sądy i spekulacje, które tylko styl czy przedmiot biorą za podstawę oceny. Znawca musi nie tylko wyrozumować, ale i odczuć, że dzieło posiada cechy dodatnie i trwałe. Inaczej bowiem przeoczy się arcydzieło, a cenić się będzie dzieło zrzeczniejsze, od którego odwróci się zdrowy instynkt mas.

W zachodniej Polsce instynkt odbiorcy jest specjalnie czuły na tę — że tak powiemy — solidność sztuki. Człowiek odnosi się tutaj z pewnym sceptycyzmem do wszelkich rzeczy nieznanych lub trudniej dostępnych. Obcy egzotycznym dla niego indywidualnym wybujałościom, konserwatywny w podejściu do dzieł sztuki, nie daje wiary modnym wezwaniom i hasłom. Opiera się przede wszystkim na doświadczeniu i nauce i pragnie być gruntownie wychowywany. Dlatego też wytworzenie się tutaj środowisk prężnych kulturalnie trwa długo i wymaga trwałej, sumiennej pracy artystów i działaczy kulturalnych. Wiele w tej dziedzinie popełniono tutaj błędów, wiele było ponad to zupełnych zaniedbań, to też obecna praca od pod-

staw zdaje się rokować nadzieję na całkowite i rychle upowszechnienie sztuki na tutejszych terenach. Doskonałym tego dowodem jest krótka, lecz wymowna historia powstania środowiska artystycznego w Bydgoszczy, której pięknym ukoronowaniem jest oddanie do użytku społecznego „Pomorskiego Domu Sztuki“, mającego do spełnienia niezwykle doniosłą dla najszerszych mas rolę łącznika między artystą i odbiorcą.

Stworzenie dla wszystkich dziedzin sztuki nieskrępowanych, lecz w każdej chwili dbałych o poziom artystyczny placówek upowszechnienia wartości estetycznych, stwarza tu rękojmię należytego podejścia do konsumenta. W ten sposób sztuka nie będzie się oddalała od prądu życia i będzie się starała być zawsze wykładnikiem wszystkich żywotnych sił swych czasów i swego środowiska.

Sztuka mianowicie, jak wynika z tych rozważań, musi uwzględniać wszystkie elementy skondensowanego bytu społecznego i narodowego, które powodują, że każdy człowiek znajduje w niej jeśli nie wszystkie, to w każdym razie dość liczne cechy piękna, myśli i uczucia, odpowiadające jego własnym potrzebom i jego charakterowi, uwarunkowanego tak wykształceniem jak i pozycją socjalną. Człowiek bowiem jest nie tylko indywidualnością, ale jednocześnie członkiem zbiorowości, która znajduje swój wspólny język w odniesieniu do oceny i reagowania na dzieła sztuki.

Racjonalne, obecnie znajdujące zastosowanie, formy popularyzacji sztuki umożliwią człowiekowi konsumpcję dzieł sztuki, posiadających najwyższe wartości społeczne. Sztuka tak upowszechniana pozwoli wyżyć się kulturalnie każdej zdrowej jednostce i ujmie w jedność skomplikowane fakty, wzloty i dążenia epoki, ogarniając wszystkie ludzkie charaktery i typy.

Nad otchłani czerniejąc krawędzią,
 bez ojczyzny, bez bogów, bez krwi,
 nad przepaścią istniałem, a wszędzie
 wzrok spotykał głębinę i mgły.
 Mieskończone się gąszcze splatały
 z zardzewiałych unosząc się błot
 i w bezbrzeżnych, błękitnych upałach
 krzyże orłów kreśliły swój lot.
 Lecz zmarłychwstał krajobraz bezpieczny,
 szklane oczy wyrzwały ze skał,
 powaliły się skrzydła zbytczne
 i drapieżne świątynie ich ciał.
 Potem chwasty zarosły pszenicą,
 na topielach za łanem rósł łan,
 i w strzyżonych szpalerach przemycał
 świat kwitnące ochłapy swych ran.
 Wszedłem więc w przeludnione oddale
 wierny siewca przebrzmiałych już spraw,
 gdzie błakają się zbrojne szakale
 po jaskrawej okolicy map.
 Sieci drutów zdaleka przynoszą
 żniegi arktyki, tropików żar
 w brukowanych wieżami niebiosach
 owoc słońca pochylam do warg.
 I ja więzień płonącej Europy
 zanim z krwią nie pomiesza się stał
 jeszcze mogą napędnąć me strofy
 niezawodną egzotyką palm.
 Później, kiedy nad ludzką padliną
 kanibalów potoczy się śmiech,
 głodnych sępów pochmurna pałyna
 beznadziejnie pokryje ten wiek.
 I sącząca się z chłodnych puklerzy
 dawna krew nie poleje się wstecz,
 nowe słońce o góry uderzy
 moja pieśń się wyszczerbi jak miecz.

MLYN

Umilkły żarna, z belek świeci próchno,
 na skrzydłach martwych tylko noc
 [w łachmanach
 w przeciągłym wielrże krzyk puszczyka
 [struchlał
 i znowu cisza głodzi szpary w ścianach.
 Z dalekiej wsi wychodzą psy na wzgórze
 z topieli chmurnej niebo się obnaża
 i wówczas tęskniąc na zwalonym murze
 w księżycu siada srebrny cień młynarza.

DZIEŃ JESIENNY

Jesienny dzień, późniwy dym na piachach,
 kałuże w mglistych polach tak jak stał,
 zbierając gwiazdy z wszystkich almanachów
 samotna słąpasz w beznadziejną dal.

Z pod nóg wyskoczył zajęc hieroglifem
 znak zagadkowy niebołycznych miedz,
 plusnęło słońce z oczu słoneczników
 spłynęła z klonów zwiedłych liści miedz.

I tylko słońce roznosiło echem
 wspomnienie blasków poprzez cały świat
 i cichą klęskę skryłaś za uśmiechem
 nucąc me strofy jak za dobrych lat.

WIELKI GDAŃSZCZANIN

Znaczenie Godfryda Ernesta Grodka w dziejach kultury polskiej jest olbrzymie, mało któremu uczonemu udało się wywrzeć taki wpływ na umysły, jak temu Gdańszczaninowi. Rodzina jego pochodziła ze Śląska, ale od długiego czasu osiadła w Gdańsku. Z domu rodzicielskiego wyniósł Godfryd zamiłowanie do literatury antycznej, ojciec jego bowiem, Benjamin Grodeck, był profesorem literatury greckiej i języków wschodnich w gimnazjum w Gdańsku. Prócz grecczyzny zajmował się także hebraistyką i napisał kilka cennych prac z tego zakresu. Godfryd miał zaledwie 14 lat, gdy go ojciec odumarł, ale uzdolniony chłopak był dość rozgarnięty, by przejąć się jego zasadami naukowymi i nabrać zamiłowania do poważniejszych studiów naukowych. W archiwum Uniwersytetu getyngskiego zachował się własnoręczny Godfryda życiorys, z którego wynika, jak olbrzymi wpływ wywarła atmosfera domowa na jego przyszłe życie.

Po śmierci ojca szczęśliwym losu zrządzeniem dostał się pod wpływ dwóch wybitnych nauczycieli gdańskich, którzy rozwinięli w nim zamiłowanie do obu języków klasycznych, pielęgnowane starannie pod opieką ojca i wprowadzili go w cuda świata klasycznego. Niewątpliwie ci nauczyciele spowodowali wyjazd Grodka na studia do Getyngi, gdzie wówczas Uniwersytet głównie dzięki Heynemu cieszył się największą sławą.

O swoich studiach w Getyndze informuje nas najlepiej sam Grodeck w swym życiorysie. Dla poważnych studiów naukowych stworzył Heyne dla wybranych uczniów seminarium filozoficzne, którego członkiem był także Grodeck i dał się niebawem poznać jako poważny pracownik naukowy. Gdy bowiem wydział teologiczny ogłosił w roku 1785 konkurs na pracę naukową pt. „Utrum mors voluntaria Christi praeceptis accommodata sit, an repugnet ipsis“, Grodeck przystąpił do konkursu i otrzymał złoty medal. To zaszczytne wyróżnienie — jak się zdaje — stało się przełomowym dla jego przyszłości, zaczął poważnie myśleć o karierze naukowej. Za pierwszą pracą poszły inne; doktorat przyniosła mu w roku 1786 praca o fragmentach hymnów homeryckich, przyjęta przez krytykę bardzo życzliwie.

Tymczasem w roku 1787 zaszły okoliczności, które miały wyrwać młodego uczonogo na zawsze z ruchliwego środowiska getyngskiego. Oto książę Adam Czartoryski, starając się o nauczyciela dla swoich synów, zwrócił się za pośrednictwem Herdera do Heynego, który wskazał na Grodka. Młody Gdańszczanin znalazł się tedy w Puławach, gdzie zajął się bardzo gorliwie swymi wychowankami, uporządkowaniem biblioteki i zbiorem numizmatycznym Czartoryskich, ogłaszając jednocześnie sporo dzieł naukowych. Z Puław przeniósł się na kilka lat do Łańcuta, jako nauczyciel do domu książąt Lubomirskich, by w roku 1796 znowu wrócić do Puław jako bibliotekarz. Zająęcie to było dla niego o wiele korzystniejsze niż praca nauczycielska, przede wszystkim miał więcej czasu dla twórczej pracy naukowej, a prócz tego w Puławach koncentrowało się całe życie umysłowe Polski, miał więc sposobność zetknąć się z najświetlejszymi ludźmi owego czasu.

W roku 1804 powołano go na katedrę filologii greckiej do Wilna. Ze stanowiskiem profesora łączyło się kierownictwo biblioteki uniwersyteckiej. Po kilku latach, po usunięciu Taranckiego, oddano mu także katedrę filologii łacińskiej. Za jego zasługą powstało w roku 1810 pierwsze seminarium fi-

lologiczne. Otwarcie nastąpiło 3 października 1810 r. Grodeck wygłosił wówczas przemówienie łacińskie, w którym zachęcił słuchaczy do samodzielnej pracy naukowej. Na prowadzenie prac otrzymał od kuratora Czartoryskiego z prywatnej szkatuły 800 rubli jako pierwszą ratę. Do pracy nauczycielskiej w Wilnie zabrał się z bezgranicznym umiłowaniem przedmiotu, skupiał około siebie młodzież, krzewił studia humanitatis, o których tak się pięknie wyraża w pracy umieszczonej w programie uniwersyteckim z roku 1819-20: „albowiem i pamięć ćwiczą i zaostrzają bystrość sądu, budzą i podsycają umysł do tego, co piękne i szlachetne, przyczyniają się do myślenia, wpaiają pragnienie dociekania i badania prawdy, napełniają umysły wieloraką i aktualną wiedzą, wreszcie duszę skłaniają do umiłowania uczciwości i cnoty, kształcą ją i przystosowują do szukania prawdziwej sławy“. Na te zalety i korzyści studiów klasycznych zwracał uwagę swych uczniów w sposób poważny i umiejętny.

Już po kilku latach żmudnej pracy od podstaw nastąpił w Wilnie ogromny przewrót. Cały świat nowych myśli i nieznanych lub zatartych wyobraźni odkrył się przed oczyma słuchaczy. Stał się przed nimi wielka kultura ubiegłych wieków, pełna czarów, pełna wysokich walorów artystycznych, głębokich myśli filozoficznych, najwspanialszej poezji... He prace twórczej, ile zapалу i serdecznego ukochania przedmiotu, ile apostołstwa potrzeba było, aby dokonać tego czego dokonał ten wielki Gdańszczanin.

Siła jego talentu leżała w wzorowej i wszechstronnej interpretacji dzieł starożytnych autorów. Zachowało się kilka komentarzy, między innymi komentarz do satyr i listów Horacego, do satyr Persjusza, do listów Cicerona. Zajmował się w nich z upodobaniem stroną estetyczną, podobnie jak to czynił jego nauczyciel Heyne w Getyndze, wciągając do objaśnienia wszystko, co miało związek z życiem starożytnych, nawet nowa podówczas nauka, archeologię, która dzięki Winckelmannowi zdobywała sobie dopiero prawo obywatelstwa. Jako profesor uniwersytecki był Grodeck bardzo wymagającym, prace uczniów oceniał bardzo surowo, ale uczniowie nie zrażali się jego oceną i starali się zastosować do jego wymagań. Znamienny jest list Mickiewicza do Jeżowskiego z Kowna z 12 listopada 1819: „Ta komentacja (pieśni Horacego) i tobie i drugim może być pożyteczna. Spodziewam się, że Grodeck dobrze ją przyjmie... może coś i zarzuci. Boję się, żebyś się tym nie zrażał“. Obawa okazała się usprawiedliwiona, mówi o tym sam Jeżowski w liście z 7 grudnia tego samego roku. Przedłożył on profesorowi do oceny kilka początkowych pieśni: „Nie podobały mu się argumenta... więc się skrzywił i powiedział, że to są szkolne dysertacje“.

Najgorliwszym orędownikiem usiłowań Grodka w rozbudzeniu ruchu naukowego był kurator Czartoryski, spodziewał się, że z tego seminarium wyjdą dzielni pracownicy nauki, którzy podniosą naukę i oświatę w Polsce. Jakoż nie zawiodł się w swych nadziejach. Wystarczy przeglądnąć ówczesne wydawnictwa filozoficzne, teksty autorów, przekłady poetów łacińskich i greckich, prasę wileńską i prowincjonalną, by nabrać przekonania o ruchu naukowym na polu filozofii, rozbudzonym przez jednego człowieka. Pożyteczną jego pracę ocenili należycie przede wszystkim uczniowie. Oto, co pisze o nim jeden z najwybitniejszych jego uczniów, Józef Jeżowski, we wstępie do swego komentowanego wydania celniej-

szych ód Horacego: „Jeżeli filologia cała, lub w częściach, gruntownie uprawiana jest lub być zaczyna, wszystko to winniśmy owemu przesławicznemu profesorowi, który przez długie już lata trudy swoje na nasze dobro poświęca. Możemy już sami naukę starożytności klasycznej na ziemi własnej podnosić, kształcić; każdy w tej mierze postęp będzie nowym godłem wdzięczności temu, który niewzruszone na cały ginach położył fundamenta“.

Groddeck wydał też mnóstwo dobrze przygotowanych i dzielnych uczonych i nauczycieli obu języków klasycznych, gdyby tylko wymienić Mickiewicza, Lelewela, Borowskiego, Kowalewskiego, Jeżowskiego, Szyrmę, Jakubowicza, Hryniewicza, którzy rozproszeni po świecie prowadzili dalej pracę swego niezapomnianego mistrza i kult jej podawali następnym pokoleniom.

Skala zainteresowań wybitnego uczonego była niezmiernie rozległa. Całe życie publiczne i prywatne starożytnych wciągnął w zakres filologii, wszystko przemysłał, o wszystkim miał sąd wyrobiony. Wszystko to zawdzięczał światłemu środowisku getyngskiemu, z którego wyszedł i którym się szczylił przez całe życie. Już w murach uniwersyteckich zapoznał się n. p. z drogami i kierunkami, którymi kroczyła numizmatyka. Znalazłszy się na dworze Czartoryskich w Puławach, Groddeck rozszerzał swolna i pogłębiał dotychczasowe wiadomości. Zbiory monet Czartoryskich w Puławach i Sieniawie i Lubomirskich w Łańcucie dawały wiele do tego sposobności. A jakkolwiek brak bliższych wiadomości o Grodtku, jako kustosz zbiorów, to jednak w korespondencji jego z tych czasów znajdujemy niejedną szczegół, świadczący, że zajmował się tą dziedziną wiedzy ze strony czysto naukowej. Za pośrednictwem Lengnicha w Gdańsku nabywał monety dla Łańcucia, w sprawach numizmatycznych porozumiewał się z nim nie tylko Czartoryscy, lecz także Lubimirscy, Czacki, Lelewel i inni.

W okresie puławskim Groddeck nie miał czasu na rozwinięcie całego systemu numizmatyki, katalogował tylko zbiory i odpowiadał na rozmaite pytania zbieraczy, którzy posyłali mu monety do zbadania i oceny. Najwyższą oczywiście była korespondencja z generałem Czartoryskim. Młody uczonec starał się zawsze o wszechstronne zbadanie każdego obiektu, w odpowiedziach posługiwał się dużym aparatem naukowym.

O studiach numizmatycznych Grodka pierwszy podał wiadomość jego uczeń i przyjaciel, Adam Jocher, donosząc o odkryciu, jakiego dokonał przez odczytanie inskrypcji i wyjaśnienie rzadkiej monety z czasów Supery. Z jaką skrupulatnością Groddeck śledził literaturę numizmatyczną, świadczy list Joachima Lelewela z 24 grudnia 1824, w którym zabrał głos w sporze naukowym między Morgensternem i Frankem o medalion złoty, znaleziony koło Czernichowa, stojąc po stronie Morgensterna. Największą jednak działalność naukową na tym polu rozwinął w Wilnie. Wykładał numizmatykę w uniwersytecie i tymi wykładami niewątpliwie rozbudził zamiłowanie Joachima Lelewela do tej dziedziny nauki. Za jego pośrednictwem uniwersytet nabył zbiór monet Czackiego, którym do roku 1817 opiekował się ks. Józef Mickiewicz. Dopiero po jego śmierci przydzielono zbiór do biblioteki uniwersyteckiej i mianowano Grodka kustoszem. Jocher donosi, że Groddeck sporządził spis zbioru, ale „że praca jego nie była ogłoszona drukiem“; miał do pewności na myśli przed wojną odnalezione wykłady o numizmatyce, które zawierają naukowy opis monet i częściowy ich katalog z podaniem numerów najcenniejszych okazów.

Między zachowanymi wykładami Grodka prócz encyklopedii filologicznej, prócz licznych komentarzy do autorów greckich i łacińskich znalazły się także wykłady o archeologii, które wygłaszał zawsze po francusku. Nie przerywał ich nawet w czasie wyprawy Napoleona na Moskwę. Współczesne pamiętniki przekazały nam wiadomość, że tymi wykładami zainteresowali się oficerowie francuscy i słuchali ich z wielkim dla siebie pożytkiem. By dać pełny obraz świata klasycznego swym uczniom, Groddeck nie pominął i tej nowej dyscypliny, która wówczas znajdowała się jeszcze w stadium początkowym. Aż do początków 19 wieku panował na tym polu niepodzielnie autorytet Winckelmanna; Groddeck często się na ten autorytet powołuje, ale nie mniej często zależy jest od swego mistrza Heynego, którego słuchał w Getyndze i podziela jego poglądy. Pełen uznania dla tych powag nie zamyka jednak oczu na pewne niedociągnięcia i nieścisłości i prostuje niejednokrotnie ich zapatrywanie. Czasem się zdarza, że sprawy nie rozstrzyga, lecz zadowala się przytoczeniem rozmaitych poglądów. Do swego mistrza Heynego w tym był głównie podobny, że nie pragnął dać w swych wykładach historii sztuki starożytnej, która zresztą po Winckelmannie nie była wtedy jeszcze potrzebna. Z treści jego wykładów wynika, że celem jego było rozbudzić zamiłowanie wśród młodzieży akademickiej do sztuki starożytnej, przedstawić ją w najważniejszych pomnikach i objaśnić w związku z mitologią i całym życiem pry-

watnym i publicznym starożytnych. To zadanie spełniają wykłady Grodka znakomicie; nikt inny w całej Polsce nie był od niego bardziej do tego powołany. W sprzyjających warunkach mogły te wykłady, utrzymane na bardzo wysokim poziomie naukowym, wywołać żywy ruch naukowy, wszelako tragiczne losy narodu polskiego udaremniły szlachetne wysiłki uczonego. Ale jego zarys sztuki nie mały wpływ wywarł na umysły, bo wszelkie zdrowe ziarna na głęb ducha rzucone mają to do siebie, że nie marnieją i nie przepadają nigdy...

Intensywna, pożyteczna i obfita w skutki była w Polsce praca tego Gdańszczanina. Cały ruch umysłowy w okresie romantyzmu, tak żywy, tak szlachetny, tak wielki w skutkach, z niego bierze początek. Dla uczniów był zawsze najwyższym autorytetem w sprawach naukowych. Wystarczy przeczytać listy Lelewela, by się o tym przekonać. O nauce polskiej, o jej wybitnych przedstawicielach, o poetach i poezji łacińskiej w Polsce Groddeck informuje obcych w sposób umiejętny, pełen powagi i godności. Gdziekolwiek się zwrócimy, badając prądy naukowe, wszędzie znajdziemy ślady jego ducha. Słusznie też mógł o Grodtku powiedzieć jeden z jego uczniów, Maksymilian Jakubowicz, że „utorował dla swych uczniów jedną drogę pewną, którą postępować trzeba, żeby dojść do tej pięknej i wspaniałej nauk i mądrości świątyni, w której sam był najwyższym kapłanem“.

Stefan Narebski

MALARSTWO BRONISŁAWA JAMONTTA

Bronisław Jamontt, Profesor i Dziekan Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu ma za sobą w chwili obecnej 30 lat pracy artystycznej. Po raz pierwszy wystawiał swe prace w Wilnie w r. 1915, od tego czasu dał się poznać w kraju i na polskich wystawach zagranicznych, w Polsce i poza Polską uzyskał uznanie i nagrody.

Będąc artystą znanym i uznanym, zajmuje Bronisław Jamontt we współczesnym malarstwie polskim swoją odrębną pozycję. Na całej przestrzeni czasu, odkąd mówić można o istnieniu polskiego malarstwa pejzażowego, nie znajdujemy nazwiska, z którym wiązałyby Jamontta większe analogie.

Jego talent dojrzewał w odosobnieniu. Wypadło mu długi czas zarobkować w obcym sztuce zawodzie. Żył już wówczas intensywnym przeżywaniem doznań artystycznych czerpanych z obserwacji natury rodzimej Wileńszczyzny i z pilnego i samodzielnego studiowania sztuki dawnej i współczesnej.

Długotrwałe akumulowanie wrażeń, kierowane własną orientacją i wyborem, wsparte wrodzoną kulturą i inteligencją, późne wejście na drogę zawodowej pracy malarskiej, ukształtowało jego oblicze twórcze, wyraziście i samoistne.

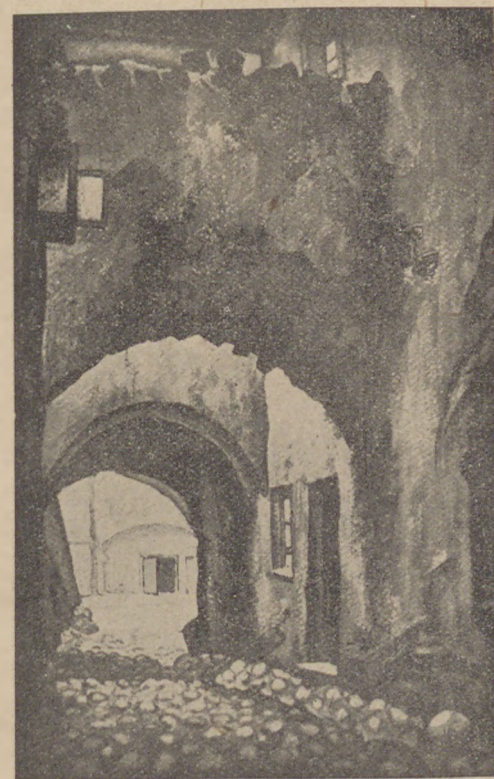
Ulubioną i prawie wyłącznie stosowaną technikę temperową opanował Jamontt rzetelnie i uczynił posłusznym narzędziem swej sztuki. Droga rozwoju jego malarstwa wiodła od linearyzmu ku malowniczości; technika wzbogacała się stopniowo różnorodnością faktury.

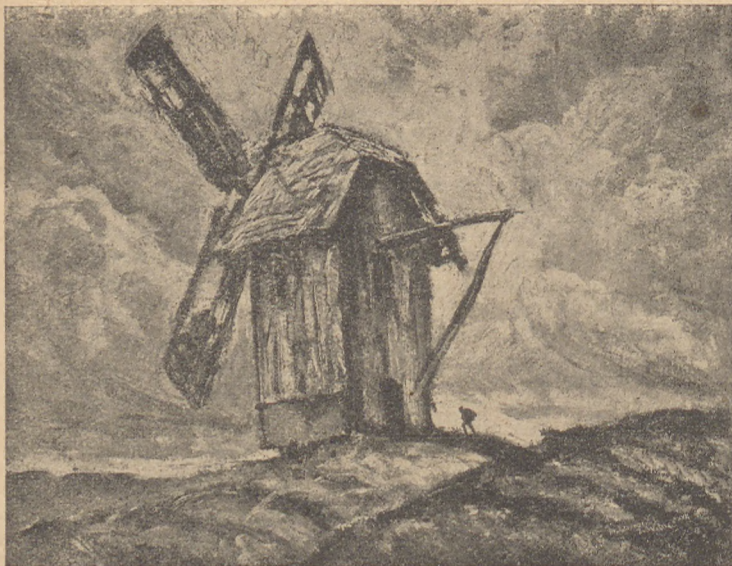
Jamontt uprawiał dwa typy pejzażu: pejzaż miejski i drugi typ, który by nazwać można pejzażem komponowanym. W pierwszej serii tematów pociąga Jamontta malowniczość form, barwy i materiału starożytności. Swoje miejskie pejzaże umi-

ję w mocną konstrukcję i wypełnia rytmem brył i gamą wielodźwięcznej szarżyzny. Tematy uprawiane w tym dziale zainteresowań malarskich należą do szeroko stosowanych współcześnie zarówno w sztuce polskiej, jak i u obcych. Interpreta-

BRONISŁAW JAMONTT

ZAŁĘK





BRONISŁAW
JAMONTT

WIATRAK

cja ta układa się w określone typy wypowiedzi malarskiej zależnie od szkoły i epoki, a mało się różniące według przynależności do dorobku indywidualnego tego czy innego artysty.

Ani w kręgu dzieł sztuki impresjonistycznej i po-impresjonistycznej francuskiej i nie francuskiej, a wyrosłej w zasięgu wpływów sztuki francuskiej ani wśród produkcji, reprezentującej realistyczną pół-architektoniczną interpretację pejzażu miejskiego nie znajdziemy bliskiego odpowiednika artystycznej wypowiedzi Jamontta.

Daleki jest tu Jamontt i od Césanne'a i od nawracającego do wyrafinowanego realizmu — Utrilla. Równie dalekim od realistycznych malarzy pejzażu miejskiego Dobuszyńskiego i Łukomskiego. Nie tylko jest bardziej malarskim i mniej „dokumentalnym”, ale nade wszystko różni się samym stosunkiem do tematu, który jest dla Jamontta montażem składników do wyładowania mocarnych pasji nagromadzonych w świadomości twórczej artysty. Supremacja elementu subiektywnego w Jamonttowskiej interpretacji pejzażu architektonicznego porównana być może chyba tylko z twórczością Noakowskiego. Wszakże są to zjawiska odmiennego typu: u Noakowskiego przebija cicha melancholia, u Jamontta dominuje tragizm.

W zakresie „pejzażu miejskiego” zajmuje Jamontt poczesne miejsce we współczesnym malarstwie polskim. Zachowując swoje oblicze indywidualne, potrafił on w walorach malarskich swych obrazów nie dać się zdystansować lepszym przykładom malarstwa współczesnego.

Wszystkie pozytywne zdobycze współczesności i każde zdrowe ziarno jakiej własnej świadomości i wrażliwości i próba czasu i wyników zostawiła na swoim przetaku po zmieniających się prądach, dążeniach i teoriach znalazło miejsce i wyraz w twórczości Jamontta.

Główną jednak pozycję zajmuje pejzaż komponowany. Jest to dziedzina najbardziej przez Jamontta umiłowana i najbardziej charakterystyczna w jego twórczości; ona też decydująco waży w ocenie całokształtu dorobku Jamonttowskiego. Jest to rodzaj malarstwa przez nikogo prawie nieuprawiany od czasu zapanowania realizmu, po przez impresjonizm aż do naszych czasów. Pod tym względem sztuka Jamontta nawiązuje do pierwszych przykładów usamodzielnienia się pejzażu, który przed tym był tylko tłem właściwego tematu, wiąże się z Ruisdealem, z Constablem, Co-

rottem. Z polskich malarzy najbliższymi Jamonttowi są Szermentowski i Kostrzewski. Ruszczyk, który wyszedł z jednego z Jamonttem terenu i po którym Jamontt odziedziczył w Wilnie katedrę pejzażu, pozostawił kilka obrazów, dających się zaliczyć do kategorii pejzażu komponowanego, jak np. „Bajka zimowa” czy „Ballada”. Nie były to jednak pozycje liczne, a sposoby wypowiedzi malarskiej u Ruszczyca i Jamontta są zupełnie różne. Ruszczyk ulegał wpływom secesji i impresjonizmu, malował w epoce o wyraźnym, dominującym obliczu współczesnych wież malarstwa, kroczył wspólną drogą z licznym zastępem rówieśnych, znacząc swą indywidualność swoistą siłą wyrazu i regionalizmem tematowym. Z Jamonttem jest inaczej: swoje środki techniczne i swoją orientację malarską zawdzięcza Jamontt sam sobie. Nie należy on do seryjnego grona wychowanków określonej szkoły, wpatrzonych w jednaki i ściśle sformułowany zasób wiadomości. Doskonalił się, jako malarz, w swoim zawodzie samodzielnie. Studiował fragmentarycznie i z dużymi przerwami. Z problemami zawodu zmagał się sam na sam; nie przyświecał mu żaden gotowy autorytet.

Wpłynęło to decydująco na jego pojmowanie malarstwa i na indywidualność jego techniki. Obracając się w środowisku plastyków wileńskich posiadał Jamontt

BRONISŁAW
JAMONTT



PEJZAZ

wspólną tej grupie dbałość o formy. Czujny na zjawiska zachodzące w sztuce europejskiej, pod wpływem walki podjętej przez kubizm o restytucję znaczenia formy, odzwierciedlił te tendencje w swej sztuce. Zrazu dosadniej, z czasem, w miarę dojrzywania — z należyтым umiarem.

Główną i najważniejszą częścią pejzażów Jamontta są drzewa, pełne charakteru i wymowy, potężne i tragiczne. Narzucają się skondensowaną sumą prawdy i konkretności realizacji wizji malarskiej. Jamontt jest malarzem drzew w takim stopniu, jak nikt inny w Polsce. Jest znawcą i piewą półlegendarnych, potężnych, wyszczerbionych dębów kresowych, znakomitym interpretatorem ich formy i dynamiki.

Przegląd 30-letniej pracy malarskiej Jamontta daje świadectwo jego poszukiwaniom w zakresie barwy i światła.

Z ograniczonej gamy szarzyzny stopniowo się wyzwala, szuka pełniejszego brzmienia barw, dokładniejszego ich szarmonizowania. O ile forma w malarstwie Jamontta wykazuje na przestrzeni lat jego twórczości stosunkowo niewielkie odchylenia, strona kolorystyczna jest obrazem ciągłego wysiłku w kierunku uintensywnienia i wysubtelnienia zestawień barwnych i tonalnych. Do wartościowych przykładów tych usiłowań zaliczyć trzeba „Wiatrak” i „Drzewa nad wodą” wystawione w Toruniu w roku ubiegłym.

Cecha monumentalności, właściwa wielu obrazom Jamontta, zniewala do formalnej skończoności dzieła. Jamontt posiadał tę trudną umiejętność skończenia obrazu bez zatraty świeżości wyrazu malarskiego.

Na szczególną uwagę zasługuje stosunek Jamontta do zadań, które sobie, jako malarzowi stawia.

Przegląd dorobku Jamontta utwierdza w przeświadczeniu, że artysta pojmuje obraz, jako plastyczną pointę wzbogacającą wnętrze i współdziałającą w jego artystycznym wyrazie i bogactwie.

W tym zestawieniu Jamontt jest dotąd samotny na tle naszej epoki i zbliża się swym pojmowaniem roli obrazu do wielkich epok minionych, kiedy obraz był celem nie tylko samym w sobie, ale stawał się też składnikiem całości wnętrza, zespolonym z architekturą i sprzętem.

Pogląd taki ustąpił pod naporem kierunku realistycznego, jednostronnie zapatrzonego w temat i rzeczowość przedmiotową i nie był brany już w rachubę, aż po dzień dzisiejszy.

Monumentalne „pejzaże komponowane“, tak obfite w twórczości artysty stają się wtedy zjawiskiem osobliwym. Ta cecha jego twórczości jest niezawodnie pozytywną, obdarza bowiem odbiorców obrazami czytelnymi dla względnie szerokiego ogółu przy wysokich walorach ściśle malarskich. Jest też twórczość Jamontta z tego względu skuteczną propagandą sztuki.

Zachodzi pytanie: czy predylekcja do monumentalnej formy pejzażu komponowanego nie wpływa ujemnie i nie krępuje szkodliwie bezpośredniości pracy malarzkiej? Malarstwo Jamontta udowadnia możliwość pogodzenia tych zagadnień.

Przeżywany okres wielkiego przełomu znamionuje początek nowego pojmowania

dziejów i znamionuje początek nowej epoki w sztuce. Fascynuje nas zagadka przyszłego kształtowania się losów naszych i losów sztuki polskiej. Życzymy sztuce jak największego jej uspołecznienia, bez sprzeniewierzenia się czystemu ideałom, bez ulegania dławiającym jarzdom sztywnych totalizmów. Życzymy sztuce jak największego ucłowieczenia.

Sądzić należy, że Jamonttowskie pojmowanie zadań malarstwa w nowej fazie dziejów ocenione będzie pozytywnie i, kto wie, może ten skromny samotnik okaże się jednym z tych, którym los pobłogosławił być wśród wskazujących właściwe drogi przyszłości.

Stefan Narębski

Teodor Brandowski

WŚRÓD CZCIGODNYCH PAMIĄTEK RĘKOPISY I AUTOGRAFY BIBLIOTEKI MIEJSKIEJ W BYDGOSZCZY

Przeszło 25 lat minęło od tej chwili, kiedy Bibliotekę Miejską w Bydgoszczy opuścił dotychczasowy jej dyrektor dr Martin Bollert — i Polska objęła w posiadanie kulturalną placówkę, tak nieodzowną na ziemi pomorskiej, szczególnie w pierwszych dniach odbudowy. Ze Lwowa przybył kierownik instytucji dr Witold Belza, rozpoczął pracę od fundamentów. Społeczeństwo w pełni zrozumiało znaczenie Biblioteki — jako bastionu polskości; śmiało można powiedzieć, że najcenniejsze dzieła i eksponaty pochodzą z darów, płynących obficie zewsząd — z całej Polski. Dlatego też już po dziewięciu latach można było opisać dotychczasowy dorobek w po bibliofilsku wydanej księdze pamiątkowej.

Huragan wojenny i tutaj poczynił straty. W porównaniu ze stratami innych bibliotek polskich — na szczęście niewielkie, tak, że możemy powiedzieć, że Biblioteka Miejska przetrwała nawałnicę bez wielkiego uszczerbku w swym stanie posiadania.

O tym szczęśliwie niezbyt uszczuplonym stanie posiadania, a ściślej, o największej dumie Biblioteki, tj. — o jej zbiorze rękopisów i autografów, będzie tu mowa. Własnoręczny brulion dzieła wielkiego pisarza pokazuje nam drogi, którymi chadzała jego twórczość; stary autograf lub oryginał dokumentu — to świetne zwierciadło minionej epoki, w którym zachowało się dużo interesujących nas dzisiaj ciekawostek. Dlatego też te cenne relikty biblioteczne dawnych czasów zasługują na poświęcenie im nieco uwagi.

Oto za szybą wystawową widnieją rękopisy Józefa Weysenhoffa. Cztery tomy znanej powieści „Gromada“, wyróżniające się białoczerwonym kolorem okładki. Papier szary, kratkowany, pismo wyraźne, ciagle. Dwa pierwsze tomy stanowią całą powieść w 22 rozdziałach, tom trzeci rozszerza powieść o 24 strony, czwarty zaś obejmuje niedrukowane warianty. W tomie pierwszym znajduje się parę objaśnień autora i dedykacja dla Biblioteki; trzeci, pisany dwustronnie, posiada mnóstwo przekreśleń, poprawek i całe ustępy później wyeliminowane.

I Józef Ignacy Kraszewski znalazł swoje miejsce wśród czcigodnych pamiątek. Leży przed nami rękopis mało znanej powieści „Półdiabły Weneckie. Powieść od Adriatyku“. Pisał ją Kraszewski w Dreźnie, w 1865 roku. Rękopis dobrze zachowany, z drobną ilością poprawek w tekście; wszystkie cudzoziemskie wyrazy podkreślone, pismo dość grube, przerywane, niezbyt czytelne. Powieść ta wyszła po

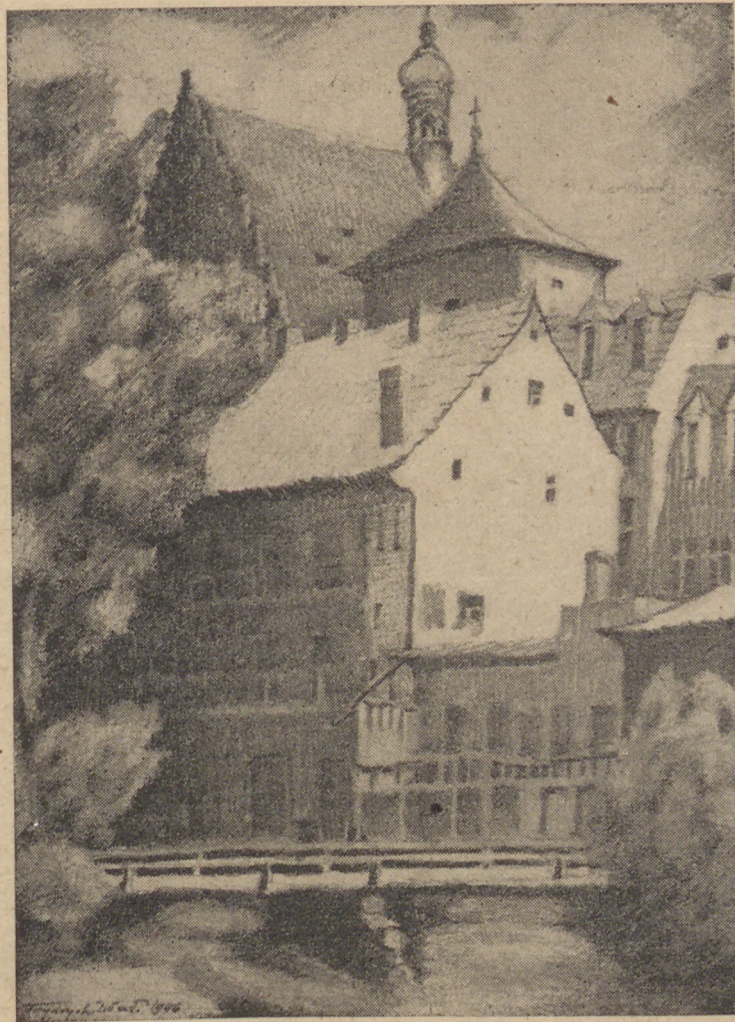
raz pierwszy jako odbitka z krakowskiego „Czasu“ w 1867 roku. Nie wspomina o niej ani księga pamiątkowa ku uczczeniu pięćdziesięcioletniej pracy Kraszewskiego, ani nawet Chmielowski w swojej monografii. Imnego rękopisu, będącego w posiadaniu biblioteki: „Kwiatu Paproci“, powiastki napisanej na 15-tu stronach listowego papieru nie wymienia nawet „Zestawienie chronologiczne pięćdziesięcioletniej działalności naukowej i literackiej Jubilata z wymienieniem wszystkich wydań dzieł Jego i przekładów na obce języki, dzieł K. Estreiche-

ra“. Kilka listów Kraszewskiego, do różnych adresatów — uzupełnia poprzednie pozycje.

Henryk Sienkiewicz reprezentowany jest rękopisem noweli „U Źródła“. Egzemplarz dobrze zachowany, pierwsza strona wyblakła od słońca, podtytuł starannie wymazany, poprawek w tekście mało, pismo drobne, przerywane, ale wyraźne i czyste. Jeszcze mniejsza ilość poprawek w tekście posiada drugi rękopis: pt. „Toast“. Jest to szkic, rzucony w wolnej chwili na papier, grany swego czasu na pięćdziesięciolecie sceny polskiej w Łodzi i wydrukowany w „Pismach Zapomnianych i Niewydanych“. W zbiorach Biblioteki znajduje się ponadto list, adresowany do A. Donimirskiego, współpracownika warszawskiego „Słowa“ za redakcji M. Godlewskiego oraz bilet wizytowy, w którym Sienkiewicz obiecuje przysłać dalszego ciągu „Krzyżaków“.

Z poetów polskich Biblioteka Miejska poszczycić się może rękopisem „Roty“ Marii Konopnickiej i rękopiśmiennym podkładem muzycznym Feliksa Nowowiejskiego. Papier formatu dużej ósemki, pismo czyste i wyraźne. Ciekawe są dzieje tego rękopisu. Otrzymał go w 1910 roku wraz z listem M. Konopnickiej J. Wątra-Przewłocki w Chicago. W 1935 sprzedał go Bibliotece Miejskiej, twierdząc, że to jest pierwsza redakcja „Roty“. Dyrekcja Biblioteki rozpoczęła poszukiwania dla potwierdzenia tego faktu, rozpisując listy do wszystkich znanych w Polsce osób, które mogły dać jakieś wiadomości o losach rękopisów Konopnickiej. Okazało się, że nie jest to jednak pierwsza redakcja „Roty“. Pierwszy raz wydrukowano ją w „Gwiazdce Cie-

WŁADYSŁAW
FRYDRYCH



STARA
BYDGOSZCZ

szczyńskiej" ks. Londzina w 1908 r., a przedrukowano w „Przodownicy” w tymże samym roku. Niestety, pierwszy rękopis zaginął bez śladu, czyli obecnie znajdujący

*Na rękę Gmurskiego
Nota*

*Nie walcim pieni, szed nam ród,
Nie damy pogrozić mianu.
Polski słu naród, polski był
Książęwski wrocz piasnany.
Nie damy, hynas, smimany wój,
- Taż nam dopumnie Bóg!*

*Do karmi ostatniej krapki z rzyt,
Branie hedriany brucha.
Aż oż rozpadne w proch i w pył,
Przyjacha ramionista.
Tuż nadz nam hedie karyt pól,
- Taż sam dopumnie Bóg!*

*Nie hedie, kiennia jelu nam karmy,
I dzieci nam gemanit.
Ożymy sercem kufic ma,
Dach hedie nam kermanit.*

się w Bibliotece Miejskiej jest jedynym rękopisem M. Konopnickiej. Biblioteka Miejska posiada ponadto rękopis poematu „Na Libanie” z własnoręcznym podpisem poetki. Całość dobrze zachowana, papier kratkowany, stron zapisanych 6. Na odwrocie ostatniej karty notatka czerwonym atramentem: „Na niedzielę, skrypt zachować!” Trzy listy Konopnickiej dopełniają zbioru.

Od żony Jana Kasprowicza otrzymała Biblioteka Miejska w darze rękopis „Ucztę Herodyady” wielkiego poety wraz z listem p. Kasprowiczej z objaśnieniami, datowanym z Harendy w marcu 1939 r. Żona poety jest cała przejęta jego ideą założenia Uniwersytetu Wiejskiego i w tym celu nawiązała stosunki z Bydgoszczą, poszukując ludzi, którzyby ideę moralnie i przede wszystkim materialnie poparli. Rękopis Kasprowicza posiada kart 81; papier biały, pismo dość grube i wyraźne, poprawek mnóstwo. Zamykając przegląd najcenniejszych pamiątek, musimy wspomnieć jeszcze o doskonale zachowanym rękopisie Chopina (urywek walca f-moll).

Przechodzimy do mniej cenny, choć również drogich: oto trzy wierszowane utwory Seweryny Duchnickiej, szereg wierszy i sztuk ludowych Anny z Bardzkich Karwatowej, bajka J. U. Niemcewicza z czasów Sejmu Czteroletniego — i wiele innych, choćby taki notatnik Klaudyny z Działyńskich Potockiej, wielkiej działaczki charytatywnej, z przepisanyymi wierszami Stefana Garczyńskiego poety i powstańca listopadowego; wierszami w większości nie drukowanymi. Ileż gorzkich, pełnych melancholii, uwag o czasach dawno przebrzmiałych. Brak miejsca nie pozwala na wymienianie wszystkiego, ale o jeszcze paru trzeba koniecznie wspomnieć, np. o cennym rękopisie „Liber Testamentorum Civilium Bidgostiensium. R. P. 1581”, o rejestrach aktów, spisach dokumentów i odpisach, dotyczących przywilejów i historii m. Bydgoszczy, opracowanych staraniem dawnego Towarzystwa Historycznego na podstawie metryk koronnych. Obok wszystkich autografów najznacniejszych pisarzy, działaczy polskich minionych epok, obok autografów obcych wielkości wołają o wspomnienie rękopisy Przybyszewskiego, Zapolskiej — z nowszych Grzymały-

Siedleckiego, Szpotańskiego, Makuszyńskiego. A iluż uczonych polskich kryje się skromnie po zakamarkach gablot i szaf bibliotecznych: Estreicher, Małeki, Brückner, Chrzanowski, Kallenbach. Do galerii cenniejszych musimy zaliczyć piękny dar Kazimierza Kierskiego: 2662 dokumenty, nadania, przywileje, listy — w tym 500 dokumentów z podpisami królów polskich. Przez 30 lat żmudnej pracy kolekcjonerskiej weszły do niego całe zbiory Marcinkowskiego, poza tym część zbiorów Marcinhara, Latanowicza, Meyeta, Wildera i wielu, wielu innych. Zbiór zawiera 15 dokumentów pergaminowych, z których jeden z 1474 r., nosi najstarszy znany w Polsce podpis: arcybiskupa Zbigniewa Oleśnickiego, w owym czasie biskupa kujawskiego i podkanclerzego koronnego. 528 dokumentów i listów królewskich tworzy osobny dział: najstarszym jest tutaj przywilej Władysława Łokietka z 1322 r. Pełny komplet autografów królów polskich zaczyna Jan Olbracht, który pierwszy zaczął się podpisywać na listach i dokumentach, — kończy podpis Stanisława Augusta Poniatowskiego i Fryderyka Augusta, króla saskiego, księcia warszawskiego.

Cały szereg innych rzadkości przyciąga oczy szperacza: autografy — arcybiskupa gnieźnieńskiego i kardynała Bernarda Maciejewskiego — hetmana J. Mazepy — Urszuli Negerin, wszechwładnej ochmistrzyni dworu Zygmunta III i wychowawczyni jego dzieci — głośnego protektora kalwinów Mikołaja Oleśnickiego z Pinczowa, rodzonnego brata arcybiskupa gnieźnieńskiego. Z pośród licznych uniwersałów, dyplomów, przywilejów i dekrétów zwracają

uwagę: oryginał Ugody Rastawieckiej z Kozakami z 1619 roku, ostatnia wola Konstancji o ks. Czartoryskich Poniatowskiej, matki „króla Stasia”, testament Marszałka Wielkiego koronnego Fr. Bilińskiego z 1750 roku i cały szereg innych.

Do zbioru należą również listy osobistości historycznych, jak i świata literackiego. Wymienić należy między innymi ze względu na ich treść: list kard. Hozjusza z Trydentu z 1563 r., Marcina Kromera do króla o Infantach z 1583 r., hetmana St. Zółkiewskiego do króla o sytuacji na pograniczu tureckim 1595 r., hospodara wołoskiego Jerzego Mohyły do Zygmunta III z 1597 roku. Są i listy sen. Morawskiego do ks. Lubieckiego o budowie gmachu Polskiego Banku i sprawach bieżących z 1826 r., ks. Łowickiej, J. Śniadeckiego, L. Platera, Trentowskiego, Chodźki, B. Zaleskiego do Lenartowicza o Kłaczce z 1857 r., listy Sienkiewicza z Ameryki i inne, pomiędzy nimi ostra replika krytykom powieści „Ogniem i mieczem”, wreszcie rękopisy Franciszka Dmochowskiego, Jadwigi Łuszczewskiej (Deotymy), Stefana Witwickiego, Teofila Lenartowicza, Aleksandra Grozy i Michała Bałuckiego.

W zbiorze uzyskanym przez Bibliotekę od K. Kierskiego znajduje się również wiele ciekawych dokumentów dotyczących Wielkopolski i Pomorza, a nawet bezpośrednio Bydgoszczy; wśród tych ostatnich — list Andrzeja Kościeleckiego, starosty bydgoskiego datowany 1553 roku oraz dokument Stanisława Kościeleckiego, wojewody poznańskiego, wydany w 1530 roku w Bydgoszczy.

Teodor Brandowski

Józef Modrzejewski

ZAGADKA ARKONY

Wysoko ponad morzem sterczy spadzisty brzeg Arkony. Załoga każdego okrętu przepływającego pomiędzy wyspą Rana a południowym wybrzeżem Szwecji może jeszcze ponadto dostrzec piętnastometrowe wały ziemne. Są to pozostałości po fortyfikacjach księcia rańskiego Jaromira, pierwszego chrześcijańskiego władcy wyspy po zniszczeniu świątyni Swantewita. Czy jedyne? — oto pytanie, jakie możemy teraz rozstrzygnąć negatywnie.

Znana jest pasja nauki hitlerowskiej do zbierania dowodów i pseudodowodów na tradycje niemieckie, związane z obszarami wschodnimi. Czasem jednak wyniki jej są nieoczekiwane i zdają się potwierdzać przyszłowiową złośliwość losu.

Tak też było z komandorem podporucznikiem niemieckiej marynarki, który postanowił ostatecznie zlokalizować gród duńskich Wikinów — legendarny Jomsborg. Początkowo — jak wieny — umiejscowiono go na wyspie Wołyn i łączono z pierwszymi porażkami Mieszka I. Później (około 1933) prof. Koczy przesunął go na północno-wschodni kraniec wyspy Orznej. Ponieważ istnieje wyjątkowa zgodność historyków niemieckich i polskich w tym, że owa Sicz normandzka podlegała zwierzchnictwu pierwszych władców Polski — stąd położenie Jomsborga oznaczałoby kraniec zasięgu Polski nad Bałtykiem.

Komandor Müller-Berneck wpadł tymczasem na nowy trop. W jednym z muzeów hamburskich odnalazł starą monetę, która zawierała mapę zachodniej części Bałtyku; na mapie owej niedaleko miasta Haithabu w Jutlandii widniał plan portu jomsborgskiego. Obok portu znajdował się wizerunek człowieka ze znakami miejscowym, który dokładnie odpowiadał obrazowi świątyni Swantewita — nakreślono przez duńskiego kronikarza Saxa Grammaticusa.

W 1937 roku Müller-Berneck na własną rękę wyprawia się na kutrze rybackim do Arkony i rozpoczyna poszukiwania dna morskiego. Rok później badania te podejmuje również okręt hydrograficzny „Meteor”, a w jasne, słoneczne dni samoloty robią szereg zdjęć obszaru morskiego w pobliżu Arkony.

Okazało się, że w wodzie zachowały się szczątki drewnianych murów — falochronów, które okalały niegdyś port. Dalej wydobyto 4 pociski kamienne 13 cm, wyrzuczone z katapulty, oraz kamień z napisem runicznym wymieniającym nazwisko księcia Ulfa, który został zamordowany w Jomsborgu krótko przed zniszczeniem grodu.

Porównanie planu na monecie ze zdjęciami dna potwierdziło przypuszczenia Müllera-Bernecka.

W ten sposób doszliśmy do tego, że Jomsborg znajdował się na Ranie tuż obok słowiańskiego grodu Arkony, która będzie za tym sławną Wineta.

Komandor Busch i dr Ramlow w „Deutsche Seekriegsgeschichte” wyprowadzają nieco inny wniosek. Twierdzą, że Swantewitem słowiańskim jest germański Heimdall i tu było ognisko jego kultu. Pozostaje to w sprzeczności z faktem równoczesnego zniszczenia w 1043 roku Jomsborga i Winety, znajdujących się obok siebie, przez Magnusa Dobrego. Trudno sobie wyobrazić płbrzyni kult słowiańskiego Swantewita, któryby mógł rozwinąć się po roku 1043.

Zlokalizowanie Jomsborga i Winety ułatwia rozwiązanie zagadki około znaczenia i roli Arkony. Miasto to podobnie jak i inne słowiańskie osiedla portowe miało charakter wybitnie handlowy, tym większy, że koło wyspy Rany znajdowały się miejsca połowów śledzi, w których brały udział statki wszystkich plemion słowiańskich.

W ten sposób Arkona była miejscem zbierania się wszystkich Słowian i miała charakter miasta wolnego. Stąd też i kult Swawetwita.

Napad Haradla Sinozębego i osadzenie tu Wikinów był podyktowany nadzieją systematycznego udziału w zyskach w zamian za obronę przed innymi plemionami normandzkimi. W krótkim czasie rycerze jomsborscy popadli w zależność od Piastów (niemcy twierdzą, że już w 980 r.). Bolesław Chrobry obrócił ich oręż ku współrodakom, pragnąc odwrócić niebezpieczeństwo inwazji normandzkiej na Pomorze, co spowodowało dwa odwety w

1019 — 21. Jomsborczycy byli nauczycielami wojny morskiej dla Ranów, którzy okazali się najzdolniejszymi żeglarzami.

Wyspa Rana znajdowała się zatem w zasięgu wpływów już pierwszych Piastów. Bolesław Krzywousty był więc tylko odnowicielem dawnych dzieł. Szeroko opierała się Polska o Bałtyk i obok rycerskiej drużyny książęcej miała także morską. Zarówno dla pierwszej jak i drugiej mistrzami byli Normanowie. Arkona — Winaeta była największym portem Polski, który mimo zniszczenia w 1066 r. odrodził się i wytrwał jako bastion wysunięty do 1168 r.

Warto także zacytować mało znany wiersz Majkowskiego pt. „W Gdyni“:

„Na tym białym brzegu
Daj mi, Boże, żyć,
Daj mi twej potęgi
Dźwięczną struną być.
Twego morza chwałę,
Trąby jego burz,
I te grzywy białe
Nad falami wzdłuż. —
I modrego nieba
Lazurowy dzwon:
Wszystko mi potrzeba
Zakląć w luźni ton.
A gdy przebrzmi nuta
Nad grzmotami fal,
Duch na maszcie skłuta
Niech popłynie w dal.
Niechaj w nucie swojej
Żeglarzowi drży
I w ryczącej boji
Mu na trwogę grzmi.

(Sopot, 1913)

Jest rzeczą charakterystyczną, że u innych poetów młodokaszubskich motyw morza pojawia się bardzo rzadko. Nie ma go zupełnie u Wosia Budzysza (Jana Karnowskiego), wyjątkowo zaś spotykamy go u Leona Heyke'go („Muersko burza“, 1912) i Franciszka Sędzickiego („Morze“, 1918). W r. 1937, kiedy zwróciłem się do Heyke'go z zapytaniem, czy posiada w swej twórczości utwory o motywach morskich, odpowiedział: „Nie mogę do końca mającym służyć, nie ma tu (w Kościerzynie) morza, a jego wspomnienie jest zbyt słabe i niewyraźne. Bezpośredni kontakt jest niezbydny“.

Wśród najmłodszego pokolenia poetów żywy związek z morzem zaznacza się szczególnie u Jana Trepczyka, dla którego nie jest ono tylko motywem literackim, opartym o doraźne przeżycia, lecz nieodłączną częścią duszy. Urodzony na północnych Kaszubach, wchłonął w swoją krew rytm potężnego żywiołu:

„Woj, tesknę za bjólevim
Stradę — do vol,
Gdzie mnie mijająco Boh
Chorankji dól“... (1934)

Właśnie u Trepczyka znajdujemy najoryginalniejszy i najlepszy wyraz przeżycia morza w utworze pt. „Chaja“ (burza):

„Ręca grzémote, pjorene bjją,
Bóitu valé so szuńceja vatec,
Guļgocá, szemjá, z przepadnjj pijjā,
Nového chivatu — stolema moc
Vala za valá vecigó remjē
Na vszektjjj strone, jak straszū juńc.
Chvotajā kreju, kopjā vo zemje.
Nie do przebecó robjā z se szuńc.
Pjorene jidj z morzē do tuńca.
Bo takó mǒrz je i pjorenóv zveć,
A chajū vėje, vėje bez kuńca —
Na morzu rébok — žegnó svj chęczjā.

(R, 1933)

Andrzej Bukowski

MOTYW MORZA W POEZJI KASZUBSKIEJ

Sprawcą poniższego artykułiku jest p. Alfred Kowalkowski, który w ostatnim numerze „Arkony“, omawiając „Przekleństwo morza“, A. M. Swinarskiego („Przeżycie morza“), zaznaczył, że literatura kaszubska „skąd inąd bogata i wszechstronna, właśnie najuboższa jest w poezję opartą o przeżycia morskie“, powołał się przy tym na mnie, że „w bydgoskiej prelekcji, poświęconej twórczości czołowych poetów tego regionu, nie mogłem niestety zacytować ani jednego wiersza o tematyce marynistycznej“.

Nie mam podstaw do uczynienia jakiegokolwiek zarzutu p. Kowalkowskiemu; wina leży raczej po mojej stronie, że stała się pewna krzywda literaturze kaszubskiej. We wzmiankowanej prelekcji istotnie pominąłem motyw morza, nie doceniając zainteresowania słuchaczy w tym kierunku, nie stawiając sobie zresztą zadania uwzględnienia wszystkich motywów poezji kaszubskiej. W prelekcji na ten sam temat, powtórzoną później w Toruniu, naprawiłem błąd o tyle, że dla zaakcentowania obecności morza w tej poezji przytoczyłem „Chaję“ Jana Trepczyka i „W Gdyni“ Aleksandra Majkowskiego.

Uważam za wskazane tamte uwagi nieco rozszerzyć, ażeby rozwiąć ewentualne wrażenie, iż poezja kaszubska „najbardziej w tej dziedzinie kompetentna“ jest całkowicie pozbawiona elementu morza.

Oto krótki przegląd w układzie chronologicznym:

Hieronim Derdowski w głównym swoim utworze „O panu Czorlińscim“ (1880), pragnąc dać pełny opis Kaszub, nie mógł oczywiście pominąć morza. Prowadził więc swego bohatera do Pucka, aby mógł „morscie brzedzie zwiedzec“. Jest to schyłek zimy, kiedy

„Małe Morze jesz pod lodem
stojąło od przodku,
Ale z huciem bjeje wałe
dali we westrzodku“.

Potem Czorlińsci siada w „bot“ (łódź), ażeby z Pucka drogą morską dostać się do Jastarni. Celu jednak nie osiąga, albowiem nastaje burza i „szlachcec na wzburzonej jedzie nawałnicy“ w przeciwną stronę — ku Gdańskowi:

„Wałe pedzą bot bez zóglā
ku przeciwny stronie,
Předko, jakbe rozbjegane
wóz cygnęne konle.
Czasem plewo na bałwanie,
jak ciej na stodole,
A za chwilkę decht sę kryje
w przepastliwym dole.
Fale planā najęzone,
tworzāc regę długā,
Na podobę szadech smokom
gonjā jedna drugā.
Wól za chwilę z mocnym huciem
w botu scane bije,
A jak tesāc wilkow z tetu
srodzi wicher wyje.

Sytuacja „szlachceca“ nie jest do pozazdroszczenia: „Czorlińsciemu sę ze strachu gęba bialo mnieni“; modli się — „cecho szepcāc so pacorek, wzdecho: — Retuj, Boże!“ Gdy wreszcie dostaje się na ląd, oblecuje sobie „Doch na morze sę nie puszcze! Niech je weznā kacel“.

W tym nastawieniu do żywiołu morza nie ma życia się, przyjaźni, serdeczności, jest natomiast lęk — tak jak u „szczurów lądowych“.

Inny nastrój panuje u Aleksandra Majkowskiego, najwybitniejszego z pisarzy kaszubskich, u którego motyw morza spotyka się kilka razy.

W „Pożegnaniu Helana („Spiewe i frantówcj“, 1905) śmierć na morzu nie jest groźna, bo morze to świat marynarza:

„Cuż lże dusec, serce suszec,
Morze marynorza swiat,
Nie na lądze smierc mu bądze,
Nie mu w lózku skuńczec lat.

Le dze dzeko burzo neko
W grube chmure morzo laszt
A gwolt morzo w strasznym gorzu
Zogle zrywō, — łomnie maszt, —

Tam mu znano smierc pisano,
Tam mu wiatre z wałów gór
Dzeka zgrajā na smierc grajā,
Głosnij niż Jastarsci chóř.

Prze pogrzebie mu na niebie
Grzmot zapolil tesāc swłec,
A piorune bijā w zwone
Grubym basem wstec — a wstec.

A ciej wałe go zabrate
Bez litosce w cemne dno,
Tej Syrena jakbe sena
W liljach wodnych chowie go“...

W cyklu pt. „Powrót z Mechlinek“ (Sopot, 1913), ogłoszonym po śmierci autora i noszącym piętno niewykończenia, spotykamy takie fragmenty:

„...A my mknęli onej nocy
Jak ogromny ptak po fall.
Dwaj rybacy pilnowali
Zagili, trzeci ster miał w mocy.
Jam przy maszcie patrzył w burzę,
Wesół z takiej dzikiej jazdy.
Dumny spoglądałem w gwiazdy
I w ryczące fale w chórze“...



TEODOR ZIOMEK

WIOSNA NAD BAŁTYKIEM

ŻYCIE KULTURALNE STOLICY POMORZA

Środy literackie

Dwudziestąsiódmą środą literacką bydgoskiego Klubu Literacko-Artystycznego połączyła zagadnienia literackie i muzyczne, aktualne zawsze na odcinku poezji. Problem ten, pasjonujący tak literatów jak i miłośników poezji, czeka właściwie u nas jeszcze na wyczerpujące studium teoretyczne, w Polsce bowiem niewiele tylko badaczy zajmowało się sprawami poetyki i wersyfikacji. To samo można zaobserwować również w najnowszej naszej krytyce, która kwestie te porusza nadzwyczaj sporadycznie i raczej na marginesie innych zainteresowań literackich. Nie dziwi więc, że prelegent bydgoskiej środy literackiej, Konrad Smierniak, znawca i popularyzator muzyki ludowej, przedstawiając słuchaczom stosunek Kasprówicza do muzyki, nie mógł oprzeć swych wywodów na jakichkolwiek ogólniejszych teoretycznych założeniach. To co usłyszeliśmy było tylko drobiazgowym wyliczeniem motywów muzycznych u Kasprówicza, ważnych być może, jeśli się docieka genezy poszczególnych utworów pisarza albo próbuje nakreślić jego sylwetkę poetycką. Prelegent zdemontował szereg zapożyczeń z pieśni ludowej u Kasprówicza, lecz i tutaj opierał się tylko na znajomości muzyki kujawskiej, mało uwzględniając inne regiony dochodzące przecież do głosu w twórczości tego poety. Przede wszystkim jednak Smierniak jako muzykolog nie potrafił należycie naświetlić walorów muzycznych poezji Kasprówicza, ze stanowiska krytyki literackiej, to też temat odczytu należy właściwie umieścić na peryferiach literatury.

Następny wieczór literacki Klubu wypełniła prelekcja prof. Konrada Górskiego o „istocie poezji”. Nie będę tu przedstawiał obszerniej treści tego wykładu, czytelnicy bowiem mogą w skróceniu zapoznać się z nim w zamieszczonym w niniejszym numerze artykule prof. Górskiego. Należy jednak podkreślić, że prelekcja wygłoszona ze znaną u prof. Górskiego swadą obfitowała w szereg przykładów i o wiele barwniej ilustrowała schematy teoretyczne, w których prelegent zamknął świat mowy włączanej. Wykład będący jedynie wycinkiem większej pracy prof. Górskiego, nie mógł z natury rzeczy uwzględnić szeregu elementów formalnych poezji, uderzało też przemilczenie pierwiastków emocjonalnych każdego utworu poetyckiego, które właściwie stanowią ostatecznie o większej lub mniejszej wartości wiersza. Zdaje się jednak, że tutaj musi zowieść najlepsza nawet teoria literatury w ten sposób potraktowana, trudno bowiem włączać w tak ściśle reguły moment od tego stopnia nieuchwytny, jakim jest wzruszenie liryczne, zagadnienie wkracza bowiem u już w ramy psychologii sztuki.

Na dwudziestąsiódmą środę literackiej wystąpił z odczytem o „człowieku wiecznym” Mickiewicza prof. Roman Pollak z Poznania. W wykładzie tym z kolei przeważała strona emocjonalna interpretacji utworów naszego wieszcza. Prof. Pollak nie wdał się w analizę krytyczną dzieł Mickiewicza i kreślał obraz wymarzonego przez poetę idealnego typu ludzkiego poddawał się sugestiom klimatu poetyckiego otaczającego większość dzieł Mickiewicza, specjalnie jednak dochodzącego do głosu w wykładach paryskich i w pewnej mierze również w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego”. Wyszedszy od ściślejszej sprecyzowanej wypowiedzi w jednym z wykładów poety, prelegent wczuł się doskonale w ducha poezji mickiewiczowskiej i wszechstronnie nakreślił charakter człowieka-bohatera, którego wielki poeta pragnął z wyżyn swego natchnienia ściągnąć na ziemię. Ślusznie więc zauważono, że prelekcja prof. Pollaka była nie rozprawą krytyczną, lecz głosem wyznawcy. Świetny styl wykładu powodował niezwykłą sugestywność wywodów prelegenta.

Ostatnia wreszcie środa ze względu na otwarcie muzeum bydgoskiego i galerii dzieł Leona Wyczółkowskiego, którego ostatnie lata jego życia ściśle związały z Bydgoszczą, poświęcono temu artyście. Prelegentami byli prof. Jerzy Remer i Marian Turwid. Pierwszy ze zjawstwem przedstawił twórczość malarską i graficzną Wyczółkowskiego, drugi w barwnym i z wielką swobodą opowiedzianym felietonie podał szereg szczegółów biograficznych obrazujących Wyczółkowskiego jako człowieka. Liczne recytowane utwory poetyckie, dedykowane Wyczółkowskiemu, świadczyły o wielkim zainteresowaniu, jakim malarz ten cieszy się stale u pisarzy.

Z pośród innych imprez literackich należy wymienić wieczór autorski młodych pisarzy: Alojzego Markiewicza i Zofii Strzeleckiej. Śiedząc od pewnego czasu twórczość obu debutan-

tów mogą powiedzieć, że Markiewicz wydaje się raczej być nowellistą, opanowaną jego proza posiada bowiem już pewną wartość i wyrazistość. Strzelecka, skłaniająca się przede wszystkim ku poezji, mierza po linii najmniejszego oporu. Jej wiersze, zdradzające mimo wszystko talent poetycki, nie wnoszą jednak żadnych nowych treści i nazbyt są zależne od przebrzmiałych już oddawna wzorów, to też uważam, że poetka wydająca obecnie wspólnie z Franciszkiem Grottem tomik swych utworów mogłaby jeszcze poczekać z debiutem. K.

Mazepa w Teatrze Polskim

O ile współczesna krytyka literacka stosunkowo niewiele okazuje zainteresowania twórczością Słowackiego, o tyle przeciwnie teatr odrodzonej Polski obdarza autora „Kordiana” szczególnymi względami. „Fanfary”, „Balladyna”, „Lilla Weneda” na scenach teatrów w Łodzi, w Krakowie i w Warszawie — oto triumfalny pochód „słowackiego Szekspira” w okresie dojrzewania nowych problemów i zadań społeczno-kulturalnych naszego teatru. Do tej powszechnej manifestacji romantycznego dramatu przyłączył się ostatnio Teatr Bydgoski, wystawiając „Mazepę”.

Fakt powyższy świadczy o szczerych ambicjach dyrekcji, która pomimo swego technicznego prowizorium nie cofa się przed realizacją sztuki, wymagającej większego wkładu pracy reżyżerskiej. Wprawdzie wybór sztuki świadczy raczej o indywidualnych upodobaniach dyrekcji, pragnącej pozostać w granicach własnej inicjatywy. Romantyzm nie grzeszył zbytnio nadzwyczajnym wyczuciem zmysłu historycznego; nic dziwnego — że „Mazepa” rażąca anemią tła historycznego uderza nas i zdumiewa. Nie ma w niej żadnych analogii, zdolnych ożywić współczesną nam rzeczywistość. (Np. Lilla Weneda). Nie będzie wcale paradoksem, jeżeli powiemy, że akcja tragedii toczy się w XVII w., ale w romantycznej atmosferze wieku XIX.

Przez grube mury zamku bliżej nieznanego wojewody nie dochodzą żadne odgłosy epoki, której tętno życia zamyka się w serze indywidualnych wstrząsów i psychicznych konfliktów, wynikających z porażki rozumu, młodzonego potęgą instynktu. Dramat przedstawia tragedię żywofojowej namiętności, jaką stanowi zazdrość małżeńska, wzniesiona w soru sędziwego wojewody za sprawą bałamutnego Mazepy, będącego uosobieniem rycerskiego Don Juana.

Konwencjonalny i wytarty na łamach literatury wątek tragyczny pozostaje tutaj bezpośrednio pod wpływem szekspirowskiego Otella, który swą tropikalną skalą wstrząsów i wybuchów namiętności obdarzył wspaniałością polskiego szlachcica. W tym zasadniczym motywie dramatu nie brak reminiscencji z dzieł obcych pisarzy, którzy, dostarczając dodatkowych efektów scenicznych, naruszyli zwartą i jednolitą strukturę podstawowego wątku i utrudniali skoncentrowanie zdarzeń i silniejsze nakreślenie głównej postaci (Mazepa). Do takich reminiscencji należy przede wszystkim motyw miłości pasierba (Zbigniew) do macochy (Amelia), przypominający Don Carlos'a Schillera. Do zapożyczeń zaś efektów scenicznych zaliczyć można koncepcję zamurowania Mazepy w alkowie (por. Balzac. Drugie studium kobiecy) oraz samo zakończenie tragedii, oparte na motywie sztuki Calderona „Le-karz swojego honoru”. O ile jednak „Otello” Szekspira posiada ekspozycję bogatą, ujętą plastycznie, żywo i barwnie oraz dobrze pomyślaną i rozwinętą intrygę (Jago), o tyle u Słowackiego odczuwa się niewspółmierną szczupłość ekspozycji psychologicznej, mającej posłużyć za źródło niemal mitologicznej potęgi zazdrości. Goniąc za żywym efektem scenicznym poeta nie troszczy się o logiczność fabuły i wprowadza czterokrotnie motyw powierzczone i nieuzasadnione (por. kompletne bagatelizowanie przez wojewodę opowiadania wywołanego z alkoju Mazepy), niekiedy robi wtręty zbyt liczne i przesadnie patetyczne (opowiadanie Chrząstki o zgłoszkach szlachty) lub też zgłoś groteskowe (wejście Mazepy przez okno). Wśród demonstracji scenicznego efektu rozpięta w się niejasności główny cel artystyczny, kapryśnie poplątany z zasadą szekspirowskiej odpowiedzialności za własne czyny, — starożytnego fatum i boskiej opatrności. Tragedia kończy się ponurym wstrząsem, ilustrującym w sposób wyrazisty niemoc szlachetności i niewinności (Amelia) w konflikcie z wszechpotężną i butną namiętnością. Świetlane postaciemia się i giną jako ofiary wroglej siły, tkwiącej w duszy zazdroznego starca.

W ich losach odczuwamy nie tylko bolesną katastrofę, ciekawie zrozumiałą w tragedii, ale i pewną klęskę moralną — i to nas boli najwięcej. W tej kapryśnej tragedii panuje jednak z niezrównanym mistrzostwem odtworzony nastrój, właściwie tło, będące wernym obliczmem epoki romantycznej, w której uczucia zdawały

się być naprawdę czyniami. W wystylizowaniu wrażenia całości jest tu Słowacki niezrównany. Przyczynia się do tego przepych formy, wdzięk wiersza i języka, jednym słowem poezja równa i płynna, burzliwa i szorstka zarazem, ciskająca pionury grozy, bólu i rozpacz, które, budząc w duszy widza olbrzymią skalę silnych wrażeń i estetycznych doznań, — porywają go i niosą w oddalony świat namiętnych ludzkich uczuć, dawno spalonych i wygastych. Zatrza poczucia rzeczywistości u widza pod przemożnym tchnieniem obcej epoki, — oto istotny triumf artystyczny autora „Mazepy”.

Realizacja sceniczna Aleksandra Rodziewicza, przy nader skromnych warunkach teatralnych, na ogół wykazała spory zasób własnej, pożytecznej inicjatywy, starając się podkreślić ten główny wyraz twórcy Słowackiego.

W pracy reżysera widać było rzetelną dążność do większego skoncentrowania zdarzeń przez uwytykowanie harmonii między stroną poetycko-uczuciową widowiska a dekoracyjną. W tym celu nie bez słusznego powodzenia stosowano kotarę, która niekiedy głębiej oddawała nastrój odpowiedniego fragmentu akcji. Dekoracja Muszyńskiego, odtwarzająca wnętrze więzienia Amelii swą sugestywną plastyką doskonale harmonizowała z kulminacyjnym punktem tragedii Zbigniewa. Reżyser zupełnie słusznie unikał tendencji realizacyjnych, które wprowadzałyby tylko zbędne dysonanse i byłyby wprost potracaniem niedźwiedzia stopa subtelnego dzieła. Za plus należy uważać bardziej estetyczne wyrównanie epizodu z trumną. Pożytecznym eksperymentem, będącym poniekąd dodatkową artystyczną atrakcją, była próba dublowania głównej roli wojewody przez Guttnera i Brackiego.

Bracki, sylwetką bardziej sugerujący typ władnego i urażonego w swej dumie magnata, doskonale oddał wstrząsającą głębię jego tragizmu, w czym wreszcie nie ustępował swemu rywalowi i Guttner. Niczewska w roli biernej i popularnej Amelii zareprezentowała nową kreację, świadczącą o dużych możliwościach jej artystycznego talentu. Emocjonalny zasób lirycznego patosu, jaki tchnął reżyser w tę postać, nadawał jej niekiedy przesadnie charakter melodramatyczny. Zbigniewa, którego ustami najczęściej przemawiał sam poeta do Ludwika Śniadeckiego, dość poprawnie grał Przeradzki. Na wstępie akcji nie dysponował wszakże pełną swobodą głosu, w miarę rozwoju dramatu ujmował coraz bardziej wytworną delikatnością i bolesnym tragizmem swego uczucia. Niejednolita, pełną przerosów i skrzywien wewnętrznych postać Mazepy kreował Kassowski, który jednakże nie zawsze potrafił odczuć jej zmienne nurt psychologiczny, wahający się między poważną refleksją a płochym sentymentalizmem. Młda sylwetkę króla Jana Kazimierza, na której znać cięta ironie republikańskiej satyry, grał poprawnie Strzelecki.

Forma poetycka dramatu, stanowiąca dodatkową trudność, która nie wszyscy zdołali szczęśliwie pokonać. (Kuźmiński). Melodijny wiersz Słowackiego najlepiej deklamował Lochman (Chmara), którego prosty i naturalny dialog nie zawadzał wcale o wyboje rymów.

Wykonane starannie stroje historyczne tworzyły pstrz mozaikę kostiumową, poniekąd zgodną z obliczem ówczesnej epoki. Jedynie osobliwy i jaskrawy strój Mazepy nie zawsze współgrał z akcją tragedii.

Na początku kwietnia wystąpił teatr bydgoski żart sceniczny Jerzego Jurandota pt. „Piecy”. Po dłuższej wiece przerwie wkraczała na scenę naszego teatru frywolna farsa bardziej rubaszna niż dowiecna, dobre nam znana z okresu „radosnej twórczości”. Miota pikantne i tepe „kawały”, tnie cięta i gruba satyra i niesie w zaradku koncept (protekcjonalizm), wyświechtany na przedwojennych rewolucyjnych scenkach i uginający się pod ciężarem leniwego banału. W tej swawolnej anegdocie scenicznej, rozluźnionej montażem skeczów, od czasu do czasu wyskakowały niewybredne powiedzonka, oparte na płaskim dowcipie, okraszonym jedynie tu i ówdzie błyskotliwą myślą, zaczerpnięta ze świeżego nurtu życia. I ten właśnie sezonowy dowcip stanowił istotne ziarnko rzetelnego humoru.

Autor, wlezionej dobrym instynktem, nie znalazł jednak właściwej sobie tonacji i nie chce stworzyć sztuki, chwycił się zbyt prymitywnych i wytartych środków ekspresji i pofolgował dawnym nałogom scenicznemu i powierzczone gustom przeciętnego widza. Wspierała go przy tym z werwą i temperamentem Ola Obarska, wnosząc do widowiska wiele produkcji rewiolowych. Poza tym zaś groteskowe postacie, których fragmentaryczną psychologię można by

uzupełnić lekturą „Szpilek”, nie stawiały szczególnych artystycznych wymagań. Morozowiczowa, Barczewska, Surzelecki i Kassowski byli naturalni i żywi. Januszkiewicz w roli reżysera nieco retoryczny i sztywny. Korlan jako dyrektor teatru mało przekonywujący.

Z prawdziwym uznaniem należy powitać pożyteczną inicjatywę Dyrekcji Teatru Bydgoskiego, która, pragnąc udostępnić kulturę żywego słowa najszerszym warstwom społeczeństwa pomorskiego, dnia 21. 4. br. otworzyła drugą placówkę pod nazwą **Teatr Powszechny** przy ul. Grodzkiej (sala TUR-u). W dniu inauguracji nowy teatr wystawił komedię A. Fredry „Siłuby panięskie”. Niższe ceny biletów niewątpliwie przyczynią się znacznie do upowszechnienia kultury teatralnej.

A. Dzienisiuk.

Ruch muzyczny

Data 19 kwietnia, pierwszym dniem uroczystości jubileuszowych miasta Bydgoszczy zamknięciem niniejsze sprawozdanie. Wydaje mi się przy tym, że zamknięciem równocześnie miniony okres, okres uspienia — i „nabrzmiwania” Z „Rokiem Jubileuszowym” Bydgoszczy związany jest bowiem cały szereg prawdziwych wydarzeń muzycznych, poczynając od otwarcia Pomorskiego Domu Sztuki, — jako siedziby m. in. również i muzyków, — wyposazonej w najprawdziwszą salę koncertową. Dzień 19 kwietnia — niejako symbolicznie — otwiera więc okres nowego życia muzycznego w Bydgoszczy, opartego o realne możliwości planowego działania. Dnia tego, o godzinie 12-tej w południe, przy wstrzymanym ruchu ulicznym odegrany został z wieży zabytkowego kościoła pp. Klarysek — **hejnał miasta Bydgoszczy**. Oparty na autentycznych motywach kaszubskich hejnał ten, kompozycji **Konrada Pałubińskiego** wybrany został w ostatecznej eliminacji (17. 3.) spośród 53 prac nadesłanych z całej Polski.

A oto kronika poprzedzających wydarzeń muzycznych:

W dniu 10.III. wystąpiła po raz pierwszy (aulla Gimn. Kupieckiego) niedawno „zmontowana” **orkiestra symfoniczna**, w programie popularnym. Dyrygował **Arnold Rezler** (Michał Relski), organizator tego zespołu, w którego skład wchodzi 50-ciu muzyków miejscowych. (Prawie co tydzień zespół ten można słyszeć na fali ogólnopolskiej). Koncert w dniu 10. 3. stał na wysokim poziomie. Solistka wieczoru, **Halina Halska**, pokazała piękny sopran koloraturowy, wykonując szereg pieśni, szkoda, że zbyt popularnego gatunku.

21. III. odbyło się, staraniem VIII Okręgu Pomorskiego Związku Śpiewaczego w Bydgoszczy, zebranie działaczy śpiewaczych, ścisłych zarządów i dyrygentów towarzystw śpiewaczych, na którym omówiono sprawę udziału chorów w zjeździe **Śpiewactwa Pomorskiego** w czasie Zielonych Świąt, oraz wybrano Komitet Wykonawczy zjazdu, z prezesem Kadłecem na czele. Chóry bydgoskie przystąpiły do pracy z ogromną energią. Wznowiono szereg chórów przedwojennych, stworzono liczne nowe placówki. Przed śpiewactwem bydgoskim otwiera się nowa, piękna perspektywa rozwojowa.

22. III. odbył się drugi już po wojnie publiczny **popis uczniów** Pomorskiej Średniej i Niższej Szkoły Muzycznej w Bydgoszczy. Popis wykazał, że ta zastrzeżona placówka, ogarniająca przeszło 500 uczniów, stale się rozwija i wykazuje coraz wyższy poziom artystyczny we wszystkich klasach nauczania: śpiewu solowego i zespołowego, fortepianu, skrzypiec, wiolonczeli, zespołów kameralnych, chóru i orkiestry uczniowskiej. Niektóre produkcje stały na bardzo wysokim poziomie wykonawczym.

Napływ zgłaszających się uczniów jest tak wielki, że Szkoła Muzyczna była zmuszona do otwarcia **szkoły umuzykalniającej**, którą, jak się dowiadujemy, Ministerstwo w tych dniach zatwierdziło.

7. IV. odbył się w auli Gimn. Kupieckiego (d. Kopernika) **recital chopinowski** wybitnej pianistki krakowskiej, laureatki konkursu chopinowskiego **Marji Bilińskiej-Riegerowej**. Spośród młodszej generacji muzyków zajmuje ona bezsprzecznie jedno z czołowych miejsc. Doskonałe wczucie się w żywioł muzyki Chopina, piękne uderzenie i toucher. Publiczność nagrodziła koncertantkę rzęsiłymi oklaskami i zmusiła ją do bisów. Recital poprzedził odczyt znanego kompozytora **Witolda Rudzińskiego** pt. „Chopin na ziemi mazowieckiej”.

W dniu następnym, 8. IV. tenże Witold Rudziński, organizator życia muzycznego w Polsce, poprowadził pierwszą publiczną **lekcję słuchania muzyki**. Wspaniała impreza! Prowadzona b. starannie, wnikliwie i umiejętnie przyniosła dużą korzyść słuchaczom. Ilustracja muzyczna spoczywała w rękach niezawodnej **Marji Bilińskiej-Riegerowej**.

Oby takie lekcje odbywały się częściej!

Tenże zespół: W. Rudziński, M. Riegerowa wystąpił ponadto w trzech audycjach szkolnych w Bydgoszczy. W umuzykalnieniu społeczeństwa

odgrywają one doniosłą rolę. Odbywają się regularnie raz w miesiącu dla wszystkich stopni szkół bydgoskich, organizowane przez Pomorskie Biuro Koncertowe przy Zw. Zawod. Muzyków R. P. Audycje stoją na wysokim poziomie i młodzież coraz chętniej do nich się garnie, o czym świadczya pisemne jej wypowiedzi, opracowane na polecenie nauczycieli muzyki i śpiewu w liceach, gimnazjach i szkołach powszechnych.

W Wielki Czwartek, dn. 18. IV. odbył się piękny **wieczór religijny** w sali Teatru Polskiego, na którym poza uwerturą i sarabandą Händla z op. „Wierny Pasterz”, koncertem B-dur Abaco i dwoma pieśniami Szarzyńskiego wykonano monumentalne oratorium „Stabat Mater” Pergolesiego. Wykonawcy: kwartet smyczkowy Polskiego Radia pod dyr. A. Rezlera, Zeński chór Pom. Średniej i Niższej Szkoły Muzycznej w Bydgoszczy, soliści: Felicja Kryszewiczowa, Halina Ottoczko i Lidia Skowron-Wesołowska. Impreza bardzo udana, stojąca na wysokim poziomie artystycznym.

Oprócz wymienionych pozycji muzycznych odbywały się w Bydgoszczy liczne koncerty po fabrykach i związkach zawodowych, organizowane przez orkiestrę Polskiego Radia, Informacji i Propagandy, Kolejarzy, Milicji Obyw., Konserwatorium, Robotniczy Dom Kultury, Okręgowe Biuro Koncertowe itd.

Zdobycie na stałe sali koncertowej skomaruje, tak sądzimy, wszystkie poczynania muzyczne miasta i nada im odpowiedni ton.

Przed muzyczną Bydgoszczą otwiera się nowy rozdział, oby jeden z piękniejszych.

Jerzy Jasiński.

Plastyka na Pomorzu

W dwu największych ośrodkach województwa pomorskiego, w Bydgoszczy i w Toruniu, użytkowała plastyka swe własne siedziby: „Pomorski Dom Sztuki” w Bydgoszczy i „Dom Artystów” w Toruniu. Doniosły to sukces Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Pomorskiego, bowiem brak do tej pory stałych salonów wystawowych w głównych ośrodkach Pomorza paraliżował jakakolwiek akcję na odcinku krzewienia kultury plastycznej na ziemiach pomor-

skich. Brak ten dawał się dotkliwie we znaki całokształtowi ruchu kulturalnego Pomorza: nie może być przecież mowy o pełnym życiu sztuki tam, gdzie jedna z głównych jej dziedzin nie jest niemal wogóle reprezentowana.

Ten jakże ujemny stan rzeczy uległ nareszcie radykalnej zmianie. Z pierwszym pokazem swych prac we własnej siedzibie wystąpili plastycy z Torunia, dając ciekawy przegląd dorobku twórczego członków Oddziału Toruńskiego ZPAP. Na przegląd ten złożyły się prace: Baranowskiego, Chruckiej, Dargiewicza, Gossa, Horno-Popławskiego, Jamontta, Kossowskiej, Kowalskiego, Kozłowskiego, Millera, Narebskiego, Niesiołowskiego, Przybyła, Tomkiewicza, i Wodyńskiego. Ogółem wystawiono 85 prac.

Starannie zorganizowany i interesujący ten pokaz wywołał duży oddźwięk w społeczeństwie i stał się dobrym zapoczątkowaniem nader ważnej działalności powołanej nareszcie do życia placówki.

Po zamknięciu wystawy inauguracyjnej nastąpiła ekspozycja prac braci Gęstwickich, którzy na Pomorzu od szeregu już lat reprezentują godnie oryginalną twórczość regionu. Gęstwicki należą do nielicznych przedstawicieli na Pomorzu urodzonych artystów starszego pokolenia.

Pierwszym pokazem dorobku plastyki z całego terenu Wojew. Pomorskiego, to wystawa Okręgu Pomorskiego Związku Polskich Artystów Plastyków w „Pomorskim Domu Sztuki” w stolicy Pomorza Bydgoszczy. Wystawie tej będącej dotąd najważniejszym wydarzeniem w życiu plastyki pomorskiej poświęcony będzie osobny artykuł w następnym zeszyście „Arkony”.

„Seksja Plastyczna” działająca w łonie Komitetu 600-lecia Miasta Bydgoszczy i współpracująca ściśle z Zarządem Oddziału Bydgoskiego ZPAP — ogłosiła konkurs na afisz na wystawę Okręgu Pomorskiego ZPAP w „Pomorskim Domu Sztuki”. Wystawa ta stanowi jedną z czołowych imprez kulturalnych w ramach uroczystości jubileuszowych. Jury konkursu nagrodziły i przeznaczyły do wykonania projekt afisza St. Bręczkowskiego.

Z inicjatywy Zarządu Miasta Bydgoszczy odbył się w łonie Oddziału Bydgoskiego ZPAP konkurs na afisz pod hasłem „Bydgoszcz w kwiatkach”. Pierwszą nagrodę zdobył Józef Nyka, drugą — Antoni Grabarz.

STANISŁAW
WOJEWÓDZKI



NAD BRDA

Komitet „600-lecia“ zakupił u 12 art.-plastyków dwanaście studiów rysunkowych, opartych na motywach bydgoskich z prawem zreprodukowania ich w cyklach pocztowych artystycznych, wydanych w związku z jubileuszem miasta. Na zamówienie Minist. Pocz. powierzono grafikom bydgoskim wykonanie projektów na specjalny znaczek pocztowy oraz na datownik. Do zrealizowania wybrane zostały: znaczek projektu Z. Myszkorowskiego i datownik projektu J. Nyki. Tablicę pamiątkową, która w związku z rokiem jubileuszowym wmurowaną będzie w gmach ratusza bydgoskiego powierzono do wykonania art. rzeźb. Piotrowi Trieblerowi. Projekty na żeton pamiątkowy oraz na medale wystawowe wykonał art.-rzeźb. Mieczysław Pawełko.

Dzięki staraniom dawnych członków z prezesem Teodorem Świerczyńskim na czele zreaktywowane zostało Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, które przed okupacją pełniło w skromnych swych ramach nader pożyteczną działalność na terenie tak propagandy sztuki jak i niesienia pomocy miejscowym plastynom. Zarząd Towarzystwa planuje systematyczną akcję popularyzowania plastyki drogą specjalnych wykładów i odczytów. O tym, że akcja taka, dobrze poprowadzona liczyć może w pełni na powodzenie, dowodzi zainteresowanie z jakim się do tej pory spotykały na całym terenie województwa nieliczne z braku większej liczby odpowiednich prelegentów odczyty i wykłady popularne z zakresu sztuk plastycznych. Między innymi zasadniczym problemem plastyki współczesnej poświęcony był wykład wygłoszony przez Mariana Turwidą na pierwszej ogólnonaukowej konferencji w Bydgoszczy. W ramach jednej z „Śród literackich“ doskonałą prelekcję, ujmującą znaczenie twórczości Leona Wyczółkowskiego wygłosił prof. Jerzy Remer.

Jedną z najbardziej palących jest sprawa możliwej jak najrychlejszego zetknięcia szerokich kół społecznych z dziełem sztuki. W tym celu postanowiona została wspólna akcja Zarządu Okręgu Pomorskiego ZPAP z Wojew. Wydziałem Kultury i Sztuki. Rezultatem tej akcji ma być Wystawa Okrężna Plastyki w okresie letnim. Ekspozycję dostarczy Zarząd Okręgu a referencje terenowi Kultury i Sztuki przystępują odpowiedzialnie sale wystawowe. Systematyczne organizowanie Wystaw Okrężnych, plastyki wzgl. dobrej reprodukcji artystycznej, umożliwił planowe upowszechnianie sztuki i na tych terenach, które do tej pory były poza nawiasem jakiegokolwiek oddziaływania artystycznego.

(m)

Z Muzeum im. L. Wyczółkowskiego

Uroczystości związane z jubileuszem 600-letniego istnienia Grodu nad Brdą zainaugurowane zostały udoświadczaniem publiczności — po przezwycięczeniu 7-mio letniej — zbiorów Miejskiego Muzeum w Bydgoszczy. Uroczystego otwarcia tej placówki kulturalnej dokonano w dniu 11 kwietnia b. r. Wojewoda Pomorski Wojciech Wojewoda w obecności władz miejscowych oraz licznego grona prawdziwych przyjaciół Muzeum.

Większość wystawionych eksponatów stanowią obrazy malarzy polskich XIX i XX wieku. Dzięki wspaniałemu darowi Leona Wyczółkowskiego, który całe swoje zbiory i swe prace przeznaczył wielkodusznie Muzeum w Bydgoszczy, duży procent obrazów w galerii (gdzie muzeum zachowało swój przedwojenny charakter galerii sztuki polskiej XIX i XX wieku) stanowią prace Wyczółkowskiego. Ze względu na szczytowość miejsca wystawiono tylko 100 pozycji (w magazynach jest jeszcze ok. 600; w czasie działań wojennych uległo zniszczeniu 152 prace). Władze miejskie, by chociaż w drobnej części spłacić dług wdzięczności za cenny dar, stanowiący tak poważną pozycję w całej galerii bydgoskiej, specjalną uchwałą nazwało Muzeum Miejskie imieniem Leona Wyczółkowskiego.

W czasie tragicznych dla nas lat okupacji i zbiory muzealne przechodziły swą tragedię. Pozbawione budynku, który uległ rozbiórze, co cenniejsze obrazy i eksponaty muzealne zostały wywiezione do różnych dworów wjejskich na terenie województwa, gdzie w czasie działań wojennych najlepsze padły pastwą ognia i bezmyślnego zniszczenia.

Oprócz 4 sal, w których mieszczą się prace Wyczółkowskiego (akwarela, pastel, olej, tusz, kreda, litografia, akwaforta itd.), 5 dalszych zajmują obrazy: Plotrowskiego, Gersona, Orłowskiego, Axentowicza, Streita, Siemiradzkiego, Malczewskiego, Kossaków, Skoczylasa, Filipkiewicza, Kotarbińskiego, Korzeniowskiego, Panikiewicza, Pautscha, Noakowskiego oraz rzeźby: Roźka, Kurzawy, Trieblera, Wittiga, Gajewskiego i Zelka. Zbiory pamiątek bydgoskich (cechowe, pamiątki historyczne, widoki nieistniejących już dzisiaj budynków dawnej Bydgoszczy, szyćchy, plany, zbiory etnograficzne, zbiory przymyślu artystycznego), zbiory numizmatyczne (między inn. monety białe w mennicy bydgoskiej założonej w 1594 r.) oraz wykopaliska

przedhistoryczne z okolicy Bydgoszczy zajmują pozostałe sale. Na tym miejscu należy podkreślić wysiłek czynników miejskich i wkład ich pracy przy pokonywaniu wszystkich trudności wyłaniających się podczas organizowania Muzeum.

Nowo otwarte Muzeum bydgoskie jest drugim z rzędu muzeum na terenie województwa pomorskiego (po Muzeum Miejskim w Grudziądzu), które udoświadnia swe zbiory zwiedzającym, będąc świadectwem naszych wysiłków i zarazem wyników na odcinku odradzającego się życia kulturalnego Pomorza.

ek

Bydgoszcz jako środowisko naukowe

Bydgoszcz wykazuje coraz więcej ożywienia w zakresie życia kulturalnego. Posiada nie tylko ambicje stworzenia własnego środowiska kulturalno-artystycznego, lecz potrafi je także realizować. Wśród wielu poczytań brak tylko jednego elementu; brak go tylko na pozor, bo w istocie i on istnieje, chociaż mało świadom siebie, przytulony tętniącym nerwem gospodarczym, usunięty w cień przez rozrastające się życie społeczne. Tym elementem to — nauka. Jest rzeczą ciekawą, jak bydgoszczanie nieśmiało ten wyraz wymawiają: jakby się go bał, jakby się wstydzili zadomowić go u siebie. Wystarczy przeczytać rozmaite oficjalne przemówienia lub choćby przegladnąć wlecieliście program uroczystości, związanych z 600-leciem miasta.

To prawda, Bydgoszcz nie posiada tradycji środowiska naukowego. Jest pod tym względem niemiłym. Czyż jednak nie posiada u siebie warunków rozwoju dla tej pięknej dziedziny, bez której nie ma pełni i nadbudowy życia, nadbudowy, stanowiącej równocześnie niezwykle ważną w dzisiejszych czasach funkcję życia?

Rozglądnijmy się po komórkach bydgoskich, dokoń w swej naturalnej skromności i cichości skryta się Nauka.

Przy jednej z bocznych ulic (Ossolińskich) znajduje się kompleks czerwonych budynków. Jest to Państwowy Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego i Państwowy Instytut Weterynaryjny — przybytki wiedzy przyrodniczej. Wewnątrz: pracownie, laboratoria, kilkadziesiąt specjalnych księgozbiórów; ponad trzydziestu fachowych pracowników, ponad sto staj pomonocnych: razem wielki i poważny warsztat naukowy.

Przy Al. 1-go Maja — trzeci instytut naukowy, Instytut Bałtycki. Jego obywatelstwo bydgoskie jest niedawnej daty. Przed wojną mieścił się najpierw w Toruniu, następnie w Gdyni. W Bydgoszczy ulokował w ciągu ostatniego roku trzy swoje wydziały: Pomorzoznawczy, Biblioteczny i Wydawniczy. Bydgoszcz stała się tym samym głównym ośrodkiem badań pomorzoznawczych i centralą wydawnictw tej zasłużonej Instytucji. Biblioteka pomorzoznawcza, skoncentrowana w Bydgoszczy, liczy obecnie ok. 15.000 woluminów i ma widoki szybkiego rozwoju.

Nie wielu wie o tym, że w Bydgoszczy znajduje się **Archiwum Państwowe** (przy ul. Dworcowej). Jego zbiory bynajmniej nie zastępują na lekceważenie. Historyk Pomorza i Wielkopolski w każdym razie musi tutaj zaglądać. Zawiera ono ponad 200.000 faszcykułów, przy czym wojna oszczędziła je w 90 proc. Zaciekawie należy, że w skład tego archiwum wchodzi archiwum prywatne Komierowskich (po ewakuacji — obecnie przejściowo zabezpieczone w Choszcznie) oraz biblioteka Szczaniekich z Nawy.

Stosunkowo najbardziej znaną jest **Biblioteka Miejska** (przy ul. Długiej). Posiada ona w chwili obecnej ok. 160.000 tomów. Wojna pozbawiła ją ok. 30.000 tomów, w tym wielu cennych (185 inkunabułów, część rękopisów, szeregi planów i map m. Bydgoszczy, itp.) Mimo tych strat, Biblioteka przedstawia dużą wartość, szczególnie dla humanisty. Literatura polska jest tutaj najobficiej reprezentowana i pod tym względem nie dorównuje Bydgoszczy żaden z księgozbiórów pomorskich. Pierwsze wydania klasyków polskich, rękopisy, szereg cennych opracowań mogą dla badacza stanowić podstawę poważnej pracy naukowej. Są, oczywiście, i dotkliwie braki, lecz te z biegiem czasu dadzą się niewątpliwie usunąć.

Obok wymienionych instytucji istnieją dwie organizacje naukowe o typie przyrodniczym: „Polskie Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika“ i „Bydgoskie Towarzystwo Lekarskie“. Krótko przed wojną stworzono T-wo Naukowe o typie humanistycznym, które nie zostało jednakże dotąd wznowione. Warto tutaj przypomnieć, że w latach 1933 — 1938 wychodził „Przeгляд Bydgoski“, pismo, które stanowiło duży dorobek naukowy garstki zapaleńców w tamtych czasach.

Krótkie powyższe uwagi zmierzają do wniosków, że Bydgoszcz — wbrew utartej opinii — nie jest pozbawiona elementu Nauki i że posiada warunki stworzenia u siebie życia naukowego.

Andrzej Bukowski.

TORUŃ

Życie literackie

Ostatnie tygodnie sezonu zimowego wypełnił Klub Literacko-Artystyczny obfitym programem, a dobra naogół frekwencja na wieczorach czwartkowych jest dowodem, że mimo istniejącej podrzeczności imprez o charakterze kulturalnym — czwartki literackie mają już liczne kadry zwolenników. Dużo zaley oczywiście od osoby prelegenta; on jest zazwyczaj magnesem przyciągającym publiczność. Gdy ten czynnik zawiedzie, nawet temat ciekawy „nie ciągnie“.

Ostatni wieczór stycznia wypełnił dr Aleksander Rogalski prelekcją o demonologii Przybyszewskiego. Zdawałoby się, że temat traci już mocno myślną — kłóż dziś poza kilkoma specjalistami zajmując się jeszcze Przybyszewskim? Mówca umiał jednak ciekawym zaktualizowaniem obcych dla dzisiejszego słuchacza problemom przykuć uwagę — i wzbudził szczere zainteresowanie.

Następny wieczór zaznajomił słuchaczy z Aleksandrem Petofim i jego ojczyzną. Znakomity znawca Węgier i ich kultury mgr Z. Załęski, tyle podał interesujących szczegółów, zwłaszcza o stosunkach polsko-węgierskich, tyle zapału włożył w swe wywody, że ten zdołał udzielić się również audytorium. Rzecz u nas niebywała: prelegenta wywołano, dziękując mu tak, jak to publiczności toruńska umie, gdy widzi znawstwo połączone z serdecznym stosunkiem do przedmiotu.

„Brulus czyli przekleństwo enoty“ — temat prelekcji prof. Elzenberga (16.2) — z pogranicza filozofii i literatury. Niezwykły dar wymowy i wykwalifikowana dykcja mówcy sprawiły, że i ten wieczór stał się uczta duchowa, rozkoszą estetyczną dla smakoszy literackich. Może kiedyś Klub zdobędzie się na wydawnictwo, poświęcone „czwartkom“; jeśli to dojdzie do skutku, „Brutus“ znajdzie się w nim napewno.

Od utartej wygładzi „czwartków“ odbiegało ujęcie Janiny Kozłowskiej-Augulowej odczytu o „Literaturze dziecięcej od Jackowicza do Brzechwy“. Ilustracje wywodów stanowiły recytacje fragmentów poezji i próby w wykonaniu młodzieży szkolnej. Wspaniała sposobność — dla psychologa — do obserwacji charakterów dziecięcych, objawiających się przy tej okazji, jak i wyłaniających się już zarodków rzetelnego talentu. Całość wieczoru chwytająca za serce swoistym urokiem rzeczy prostych i jasnych.

Rzadką okazję wglądnięcia do warsztatu pracy uczynego-literata dał wieczór w dniu 7 marca. Prof. Srebrny czytał kilka rozdziałów z niewydanego i nieukończonego jeszcze studium o Ajschylosie. Sądząc po ustyszonym fragmencie, książka da dużo więcej, niż tytuł obiecuje: Wspaniały przekrój tzw. średniowiecza dawnej Hellady, z jej kulturą i literaturą; na tym olśniewającym tle rysuje się potężna postać Ajschylosa, tragiczna w późnym osamotnieniu. Z niedoścignięcia oczekiwać będziemy ukazania się pracy w wydaniu książkowym.

Jubileuszowy — 25-ty — wieczór uczelni publiczności czwartkowa niebawem licznym przybyciem; aula uniwersytecka okazała się nawet zbyt ciasna, by pomieścić słuchaczy. Prof. Konrad Górski przedstawił w niesłychanie zajmującym — i przekonującym — wywodzie „Prometeizm III-iej części Dziadów“.

Dyrektor Teatru Ziemi Pomorskiej Wilam Horzyca na następnym z czwartków mówił o rodowodzie teatru polskiego. Czołowe postacie naszej twórczości dramatycznej oraz ich utwory o znaczeniu nieprzemijającym — doznały oceny wszechstronnej i wnikliwej. Wytworne ujęcie literackie, jasność myśli — wysnutych z długoletniego zajmowania się sprawami teatru — dały wrażenie obcowania z umyślem wykształconym na najsłachetniejszych wytworach ducha ludzkiego. Wieczór był godnym zakończeniem sezonu zimowego na progu słonecznego półrocza.

Marian Sydow

Wieczory teatralne

Nowe życie wstąpiło w mury Teatru Ziemi Pomorskiej z chwilą przybycia do Torunia znakomitego teatrologa dyr. Wilama Horzycy, który postanowił — nie licząc się z trudnościami technicznymi i finansowymi — przy pomocy szczerłego zespołu aktorskiego nadać scenie toruńskiej cechy teatru pionierskiego, uwzględniającego w swym repertuarze głównie sztukę poważną i wartościową.

Po udanej premierze „Szkoły żon“ Mollera posła prapremiera „Promienistych“ Krystyny Grzybowskiej, a po niej pokazał Horzyca Toruńowi Aleksandra Fredrę z nowej, nieznananej na ogół strony. Wyrzekał z pyłu niepamięci rzadko grywaną komedię fredrowską „Mał i żona“ i wystawił ją z niezwykłą starannością.

Z zespołu występującego w tej premierze trzyaktówce, wysunęła się na czoło Barbara Flijska, która swobodną grą, wrodzonym wdziękiem i miłą aparycją potrafiła zjednać sobie serca wł-

downi, a sztukę osłodził czarem wiośnianej młodości. Halina Drohocka stworzyła typ przesadnie sentymentalnej, próżnej i nieufnej żony. Jerzy Rakowiecki dał interesującą sylwetkę zarumianego i wiarołomnego małżonka, a Zdzisław Salaburski umiejętnie kreował postać lowelasa minionych czasów.

Zespół wystąpił w barwnych kostiumach empiru, doskonale harmonizując ze stylowymi dekoracjami Leonarda Torwirta.

Jako dodatek zagrano niefrasobliwą krotkhwilę Fredry w jednym akcie pt.: „Nikt mnie nie zna“.

Fredrę zluzował Jarosław Iwaszkiewicz swa prapremierą „Starej Cegielni“. Trzeci to już w dorobku dramatisariskim utworów Iwaszkiewicza, wystawiony na scenach polskich.

Tytuł sztuki znany nam skądinąd. „Stara Cegielnia“ ukazała się jako nowela w „Twórczości“ i wzbudziła żywe zainteresowanie, co skłoniło autora do przeobleczenia jej w szatę sceniczną.

Temat sztuki stanowi vegetacja „szarych ludzi“ pod okupacją niemiecką. Autor jak zawsze powściągliwy w sposobie wyrażania wzruszeń i daleki od retoryki i moralizatorstwa, daje syntetyczny przekrój ruchu oporu z dni okupacji, przedstawia realistyczny obraz światła podwarszawskiego z fatalnego okresu minionej wojny.

Sztuka jest niemal boleśnie realistyczna, rozważuje w sposób prawie brutalny problem winy i kary w odniesieniu do jednostki i społeczności ludzkiej, daje szereg ostro zarysowanych typów psychologicznych, ukazuje nagą prawdę życiową, a jednak dominuje w niej typowy liryzm Iwaszkiewicza — poety.

Akcja sztuki toczy się w sierpniu 1943 roku, w starej cegielni pod Pruszkowem, w której poczciwy stróż Antoni ukrywa rannego partyzanta Karola. Rannym opiekuje się wisus nad wisusy, Jasio Gałazka. Jednooki złodziejsek Wacek Mielczarski, zakochany w pretensjonalnej szwaczce Klaruni, staje się pośrednio denuncjantem Karola, którego z niskich pobudek zemsty i chciwości chce wydać w ręce niemieckiej żona stróża Elwira, dama lekkich obyczajów. Ale tenże Wacek ułatwia Karolowi ucieczkę i w jego obronie ginie od kul żandarmów, pokutując tym samym za swe winy i dając dowód bohaterstwa.

Iwaszkiewicz operując półtonami, unika barw jasnych, zdecydowanych; każe słuchaczowi samemu odpowiadać na liczne niedomówienia. Po scenach napięcia dramatycznego następują w sztuce epizody i momenty humorystyczne, które wnoszą do realistycznego obrazu szarzyzny życiowej ton odprężenia i wywołują uśmiech na twarzy widza. Przy tym jest w „Starej Cegielni“ coś z kina, coś, co utwór ten predestynuje na ekran.

Dobre postawione postacie, jedyny język, komicizm słowny i sytuacyjny, umiejętnie stopniowane napięcia dramatyczne i na tle tragedii bohaterstwa, oto zalety tej sztuki, którą publiczność toruńska przyjęła niezwykle serdecznie, choć odezwały się również tu i ówdzie głosy nauczycielstwa, oburzonego rzekomą dyskwalifikacją moralną nauczycielstwa polskiego z czasów okupacji.

Sztukę, którą obecnie gra Łódź, a wkrótce grać będzie Moskwa (tłumaczy się ją na język rosyjski) wystawił Toruń bardzo starannie. Z wykonawców na specjalne wyróżnienie zasługują: T. Fijewski (Jasio Gałazka), Z. Szymański (Wacek), A. Gajdecki (Antoni), Z. Molska (pracząca Gałazkowa) i Detkowska-Jasińska (Elwira). Reżyseria spoczywała w ręku Józefa Maślińskiego, który wykazał dużo wyczucia scenicznego i inwencji. Originalne artystyczne dekoracje skomponował L. Torwirt.

Wszelkie oczekiwania publiczności i krytyki przeszła jednak ostatnia premiera teatru toruńskiego. „Sen nocny letniej“ Szekspira na tle imponujących dekoracji Torwirta z ilustracją muzyczną Mendelsona (orkiestra kameralna ZZM pod batutą prof. J. Stefana) z wkładkami baletowymi projektu B. Fijewskiej, w nowej, na wzór polskiego teatru monumentalnego opartej inscenizacji dyr. Horzycy i pedantycznej reżyserii L. Jabłonkówny, — stanowił triumf Teatru Ziemi Pomorskiej, triumf, o którym głośno już w całym regionie.

Nic tedy dziwnego, że na to bajkowe, bajecznie kolorowe, pełne fantastyki i zarazem realizmu zyciowego widowisko, przybywają goście nawet z poza Torunia. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że wspaniałe dzieło Szekspira wymaga blisko 40 osób obsady, a wszyscy wykonawcy występują w luksusowych kostiumach antycznych, że nie szczędzono wydatków na bogate rekwizyty, nie poskapiono efektów akustycznych i świetlnych, że aktorzy z Maślińską w roli Puka, Mincerówna (Tytania), Rakowieckim (Oberon), grają niemal bez wyjątku znakomicie, — będziemy mieli wyobrażenie o ewenemencie artystycznym najwyższej klasy, któremu na imię „Sen nocny letniej“ w Teatrze Ziemi Pomorskiej.

Warto w końcu zaznaczyć, że Teatr Ziemi Pomorskiej pierwszy i jedyny sięgnął po Szekspira w Polsce powojennej, czcząc zarazem 330-tą rocznicę urodzin genialnego dramaturga.

Mieczysław Dereżyński.

BRONISŁAW
JAMONTT



PEJZAŻ

Muzyka

Życie muzyczne naszego miasta toczy się nadal po torach, wyznaczonych mu w ostatnich miesiącach. Kończymy powoli pierwszy rok pracy powojennej, której głównym dorobkiem jest odbudowa zniszczonych wojną placówek oraz wytyczenie linii programowych na przyszłość. Głównymi czynnikami regulującymi nasz ruch muzyczny są nadal Instytut Muzyczny, Związek Zaw. Muzyków ze swą jedyną dotychczas ekspozyturą — orkiestrą symfoniczną, Pom. Związek Śpiewaczy, a ostatnio także Pomorskie Towarzystwo Muzyczne, które rozpoczęła obecnie zwyższą działalność publiczną. Odczuwamy natomiast żywo w dalszym ciągu brak innych faktoriów w tej dziedzinie, jak należycie zorganizowanego biura koncertowego, które ożywiłoby nasz publiczny ruch koncertowy przez urządzenie wieczorów solistów, audycji kameralnych itp. Również zupełnie odogłem leży w dalszym ciągu sprawa urzędowania w mieście naszym szkolnych audycji muzycznych dla uczelni wszelkich typów, co jest tym bardziej godne napiętnowania, że młodzież nasza po długim okresie przerwy, spowodowanym okupacją, potrzebuje szczególnie starannej edukacji w tym zakresie, jeśli ma stać się kiedyś kulturalnym i muzycznym wyrobionym audytorium naszych sal koncertowych wzgl. inteligentnym konsumentem muzyki radiowej. Całkowitą bierność, jako element współtworzący nasze życie muzyczne, wykazuje też niestety miejscowa prasa, choć ona szczególnie w obecnych warunkach, powołana jest do pełnienia czołowej roli informatora i propagatora kultury muzycznej.

Ogromne zaniedbania znajdujemy również na niwie muzyki kościelnej. Nieliczne wyjątki nie mogą być brane pod uwagę. Dowodzą one raczej istnienia u nas szerokiej możliwości, które „musica sacra“ może i powinna realizować. Tymi sprawami należałoby zresztą na innym miejscu zainteresować się szerzej.

W ostatnim miesiącu orkiestra symfoniczna Związku Zaw. Muzyków pod dyrekcją prof. J. Stefana dała szereg koncertów: jeden występ w sali Rzeźni Miejskiej, wobec robotników okolicznych zakładów fabrycznych, jeden w Teatrze Żołnierza (24. II.) wreszcie koncert symfoniczny w Teatrze Ziemi Pomorskiej (17. III.); program ostatniego obejmował: Bizetą Symfonię, Czajkowskiego uwerturę „Burza“ oraz Griega „Marsz Hołdowniczy“.

8-go marca br. odbył się w Teatrze Ziemi Pomorskiej pierwszy koncert Pom. Towarzystwa Muzycznego, inaugurujący oficjalnie działalność reaktywowanej po wojnie instytucji. Uroczysty ten koncert był wielkim świętem muzycznym Torunia. Na część artystyczną złożyły się produkcje prawie wszystkich sił profesorskich Instytutu Muzycznego z dyr. I. Kurpisz-Stefanową na czele. W części oficjalnej po przemówieniach prezesa P. T. M. oraz prezesa M. R. N. wręczono przybyłemu na koncert znanemu kompozytorowi Piotrowi Perkowskiemu dyplom honorowego członka Pomorskiego Towarzystwa Muzycznego za wybitne zasługi, jakie położył on w latach przedwojennych jako dyrektor Konserwatorium Muzycznego P. T. M. w Toruniu około krzewienia muzyki polskiej na Pomorzu. Koncert wymieniony był zarazem niejako festiwalem, obchodzonym z okazji jubileuszu 25-letniego istnienia wspomnianego towarzystwa, dobrze zastąpionego około pomorskiej kultury muzycznej. Już bowiem zaraz po pierwszej wojnie światowej powstało ono z odruchu naszego społeczeństwa i rozwinięto żywą i owocną działalność, tworząc z miasta naszego centrum ruchu muzycznego na

Pomorzu w czasie, kiedy inne miasta pomorskie wykazywały jeszcze zupełnie i długo jeszcze trwać mający zastój na tym polu.

Dzięki temu też Toruń dziedziczył od tej pory prym w życiu muzycznym Pomorza aż do wybuchu wojny i teraz nadal zajmuje należne mu pierwsze miejsce wśród pomorskich ośrodków muzycznych. Spodziewamy się, że i w przyszłości P. T. M. swoją ważną i odpowiedzialną rolę należycie spełniać będzie.

Ja Wielki Tydzień przygotowuje P. T. M. wykonanie oratorium „Stabat Mater“ Pergolesiego. Z innych imprez wymienić wypada koncert, urządzony w Teatrze Ziemi Pomorskiej staraniem Bratniej Pomocy U. M. K. na rzecz niezamożnej młodzieży akademickiej. Na obfity program złożyły się recital wokalny znanego i cenionego w mieście naszym śpiewaka operowego Karola Koszeli (bas-baryton) który wykonał z powodzeniem przy b. dobrym akompaniamencie H. Gawronskiej szereg pieśni przeważnie kompozytorów słowiańskich, oraz występ pianistki toruńskiej, prof. Olgi Sliwickiej, która niezwykle wnikliwym i stylowym wykonaniem utworów Schumann'a („Motyle“), Paganiniego, Liszta („Kaprys“), Chopina (scherzo b. moll, nokturn des-dur, mazurek a-moll) oraz Albeniz'a („Asturia“) dowiodła i tym razem swojej wysokiej klasy pianistycznej. Artystka ta ma wiele do powiedzenia; czekamy więc na jej solowy recital.

W Instytucie Muzycznym odbył się pierwszy popis uczniów klas fortepianowych i śpiewu, dający nam na razie jeszcze fragmentaryczny obraz sumiennej i wyczerpanej pracy naszej uczelni muzycznej.

Nie możemy wreszcie pominąć występów naszych artystów w części muzycznej, dotychczas jeszcze niestety niezmiennych co do swej formy programów Wieczorów Czwartkowych Klubu Literacko-Artystycznego. Występy te cieszą się wielkim powodzeniem i mają dlatego możliwość szerszego oddziaływania na sferę inteligencji naszego miasta; z tej racji więc powinny one otrzymać inne ujęcie. Na ostatnich Czwartkach słyszeliśmy produkcje fortepianowe J. Wyrzykowskiej (Bach, Schumann), O. Sliwickiej (Beethoven, Chopin), Ł. Fececz (Bach, Beethoven), produkcje wokalne J. Krużanki-Reissowej (arie operowe) oraz występ J. Stefana — skrzypce przy akompaniamencie I. Kurpisz-Stefanowej (Grieg, Corelli, Gluck, Mozart).

Leon Witkowski.

SZCZECIN

Życie kulturalne

Nie jest łatwo pisać o życiu kulturalnym Szczecina, ma się bowiem pokusę pisać o tym wszystkim, czego brakuje, aby tu życie kulturalne powstało, — a nie o realnych osiągnięciach, które niewątpliwie już są, jakkolwiek nikłe i mało efektowne; wymagały one niemałego trudu i wysiłku ze strony tutejszych pionierów kultury.

Specyficzne warunki tego miasta i życia w nim bynajmniej nie ułatwiają zadania. Można by powiedzieć, że Szczecin to miasto, w którym nie ma nic łatwego; czy można się dziwić, że z trudnością przychodzi krzewić tutaj wartości kulturalne wśród społeczeństwa, które jeszcze nie okrzepło na tyle, by miało czas i możliwość na zainteresowania tego rodzaju? To że sztuka nie jest tu popierana przez społeczeństwo, — do każdej imprezy kulturalnej odnosi się ono na ogół z całą obojętnością.

Jedną z pierwszych jaskółek życia kulturalnego w Szczecinie była Wystawa Artystów Plastików, urządzona staraniem ich Związku w gmachu Urzędu Inf. i Propagandy w grudniu ub. roku. Wystawiono szereg prac miejscowych artystów; można powiedzieć, że na pierwsze miejsce wysuwały się pejzaże Kazimierza Podsadeckiego, malowane w dachu szkoły francuskiej, przy wyraźnych wpływach impresjonizmu. Cechuje je duży rozmach, śmiałe zestroje barw i ciekawa kompozycja. Oryginalny kontrast z pełnymi powietrza i słońca pracami Podsadeckiego stanowiły kartony Mariana Tomaszewskiego, który tematem swych prac uczynił pełne grozy fragmenty minionej wojny. Wszystkie najboleśniejsze momenty okupacji znalazły tam swój oddźwięk w uproszczonych, napoił naiwnych, kolorowanych rysunkach. Osten-Ostaszewski wystawił szereg fragmentów architektonicznych, ciekawie rozwiązanych, oryginalnych i pomysłowych. Wreszcie wymienić trzeba jeszcze rysunki Maliszewskiego (jun.), rokujące młodemu artyście dużą przyszłość; niezawodnie jest to talent, wymaga jednak szkoły i dużej pracy.

Wystawę widziałem niewiele. Była niestety mało reklamowana, jak większość kulturalnych rozrywek miejsowych. I trzeciego dnia swego istnienia — sponięta, wraz z całym gmachem. Pastwą płomieni padły prawie wszystkie ekspozycje, w wypadku Podsadeckiego — cały dotychczasowy dorobek życiowy.

Pożar ten nieziemnie opóźnił rozwój życia kulturalnego na tym terenie. Urząd Informacji i Propagandy nie znalazł później podobnie odpowiedniego lokalu, w którym miałyby możliwość kontynuowania swej pracy.

Jeszcze w grudniu zapoczątkowano imprezę „Czwartków Literackich”; wprawdzie odbywały się one w niedzielę, w godzinach popołudniowych, rozpoczynane odczytem, po którym następowały recytacje i utwory muzyczne, — ale mimo interesującego i urozmaicałego programu nie zdołały zgromadzić publiczności. Pierwszy, inauguracyjny „Czwartek” wypełniła prelekcja Wł. Goszczyńskiego na temat „Rola kulturalna Szczecina”. Następny został zorganizowany już w nowej siedzibie i zawierał w swym programie odczyt prof. Maliszewskiego „O Mickiewiczu”, uzupełniony recytacjami wybranych utworów wieszczca. W tydzień później podjęto jeszcze jedną próbę utrzymania „Czwartków” przy życiu i zainteresowania nimi miejscowej ludności. Niestety, — zupełna obojętność i poniekąd bojkot zlikwidowały imprezę ostatecznie.

Gmach teatru szczecińskiego został zniszczony w trakcie działań wojennych. Wobec tego, że nieomal wszystkie większe i znaczniejse gmachy miasta uległy zniszczeniu, trudno było znaleźć odpowiedni lokal na teatr. Myślano o kinie „Bałtyk”, ale przystosowanie sali kinoteatru dla celów teatralnych wymagałoby nazbyt wielkich przeróbek i związanych z tym kosztów, na które brak jest funduszy. Jedyną więc jak dotąd działająca od końca grudnia ub. roku scena w Szczecinie jest „Teatr Mały”, otwarty staraniem Polskiej Partii Robotniczej i mieszczący się w lokalu jej klubu.

Działalność swą rozpoczął teatr wystawieniem „Grubych ryb” Bałuckiego. Premiera tej niestarejśkiej się komedii była prawdziwym wydarzeniem dla Szczecina i sztuka cieszyła się długotrwałym powodzeniem. Należy podkreślić wielki wkład pracy zespołu aktorów, spośród których tylko troje było zawodowymi — reszta to uzdolnieni amatorzy. Aktorzy zawodowi wzięli na siebie reżyserię i kierownictwo artystyczne. P. Czabanowski wyreżyserował komedię z kulturą i dużą starannością. P. Rajkowska wywiązała się z kierownictwa artystycznego bez zarzutu.

Z dalszych poczynań teatru zanotować należy komedię „Kobieta, wino i dancing” w reżyserii Rajkowskiej — rzecz obliczona na efekty kasowe, oraz „Wesele na wsi” w układzie i również w reżyserii H. Rajkowskiej. „Teatr Mały” z uporem i konsekwencją prowadzi swą pracę sceniczną; gra codziennie, w niedzielę i dni świąteczne po dwa razy, daje przedstawienia bezpłatne dla robotników i żołnierzy. Można powiedzieć, że placówka ta nie daje zrazić się przeciwnościami; w przyszłości mogłaby stać się podwalnią teatru szczecińskiego.

Pierwszym koncertem w Szczecinie był występ znanego chopinisty Jana Bereżyńskiego, który miał miejsce w końcu grudnia. W sali kina „Bałtyk” publiczność zgromadziła się nawet dość licznie, reagując żywo na grę artysty, który wykonał m. in. szereg mazurków, pare etiud, nokturn, balladę, scherzo i poloneza.

Bereżyński fantastycznie wywiązał się ze swego zadania tak pod względem technicznym, jak i interpretacji, niestety jednak — warunki w jakich odbył się ten występ nie zachęciły artysty do jego ponowienia. Sala wielka, z bardzo złą akustyką, nie pozwalała publiczności z dalszych miejsc na czysty odbiór muzyki. Panujące zimno paraliżowało grę artysty, a wreszcie publiczność zachowywała się bardzo niespokojnie, wchodząc i wychodząc z sali przez cały czas koncertu, kreacjąc i zmieniając miejsca.

Jeszcze raz miał Szczecin możność teoretyczną zresztą usłyszenia Bereżyńskiego na falach

eteru, podczas otwarcia radiostacji szczecińskiej. Niestety rozgłosnia, która w czasie prób funkcyjowała bez zarzutu, podczas otwarcia była nie do uchwylenia w Szczecinie, a hałas i gwizdy zagłuszyły całkowicie program.

Radiostacja Szczecińska wystąpiła na swym otwarciu z programem bardzo bogatym, niestety na tym się skończyło. Obecnie program jej składa się przeważnie z transmisji z Warszawy; czasami tylko stacja nadaje krótkie pogadanki na tematy lokalne, lub koncerty z płyt

gramofonowych. Podobno ten brak własnego programu spowodowany jest trudnościami natury finansowej.

W ciągu stycznia i lutego Radio Polskie w Szczecinie urządziło szereg „Podwieczorków przy mikrofonie”. Na podwieczorki składały się występy solistów, recytacje, monologu kawaliarnianego rodzaju oraz koncerty orkiestry radiowej; poziom imprez na stopniu amatorskim nie przedstawiał większej wartości artystycznej.

M. R.

Z DNI SZCZECINA

I. „Jadę do Szczecina!”

Pliszę te słowa pod pierwszym wrażeniem silnego wstrząsu, jakiego doznałem podczas podróży do Szczecina i mego krótkiego pobytu w tym mieście. Umyślnie użyłem wyrazu „wstrząs” bo słowo: „wzruszenie” jest za słabe, jeśli idzie o przeżycia, którymi był dla mnie okres tych kilku dni. Dwunasty, trzynasty i czternasty kwietnia 1946 to dni o jakich nigdy nie zapomnę. Nigdy dotąd nie byłem w Szczecinie — ziemi zachodniego Pomorza znane mi były jedynie z opowiadań znajomych, którzy odwiedzili je jeszcze w sierpniu ubiegłego roku. Opowiadali o straszliwie zniszczonych wsiach, miastach i osiedlach zupełnie wyludnionych, o leżących odrogiem polach i dużym nasileniu ludności niemieckiej w samym Szczecinie. Opowiadania te były zresztą zupełnie zgodne z prawdą. Ponieważ ci właśnie znajomi razem ze mną odbywali podróż do Szczecina, (oni po raz drugi — ja po raz pierwszy) byłem świadkiem ogromnego zdumienia, malującego się na ich twarzach w miarę mijania kilometrów (już po przekroczeniu przedwojennej granicy). Stało się to już w Pile.

II. „Skąd się tu wzięło tylu Polaków?” —

zapytał jeden ze znajomych. „Gdyśmy tu byli w sierpniu...” Żołnierz sprawdziwszy nasze dokumenty podniósł rampę białoczerwona. „Jedźcie szczęśliwie!” zawołał i skinął nam ręką. Zawarzał motor naszego Forda. Przejeżdżamy przez miasto. Na narożnikach zniszczonych i względnie całych kamienic tabliczki z polskimi nazwami ulic. Dużo przechodniów — nie są to Niemcy; mówią po polsku i przylgają się nam z zaciekawieniem.

— Bardzo zniszczona ta Piła — mówię do współpodróżnych.

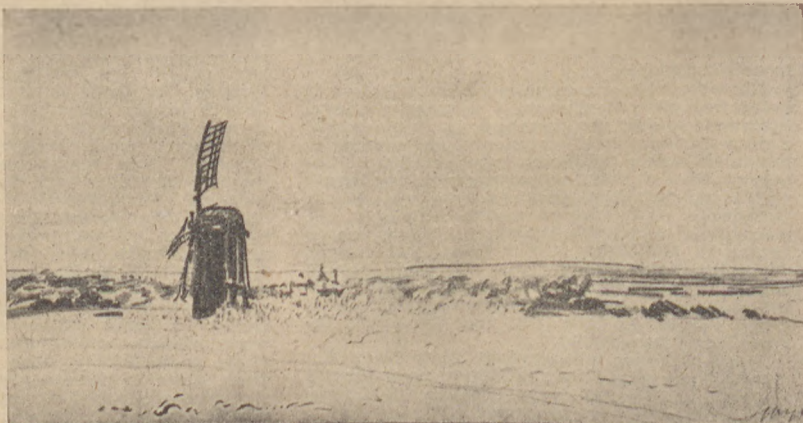
— Bardziej była zniszczona w sierpniu — Dużo domów odnowili... — odpowiada z uśmiechem gośer. Mijamy spalony budynek z napisem: „Gasthaus”. Jedyny napis niemiecki jaki zauważyłem z okna auta. Poza tym wszędzie polskie szyldy: „Społem”, „Apteka”, „Kawiarnia”, „Resturacja”, „Czytelnik”, „Zarząd miejski” czytamy z okna auta. Mijamy osiedla, miasteczka, wioski. Niektóre „zrabane” straszliwie. Zdezelowane czoigi, wywrócone zewłoki aut, armaty w rowach — oto milczący świadkowie zaciętych walk. Ale zaledwie kilka osiedli, mimo przydrożnych tabliczek z polskimi nazwami, jakie im obecnie przywrócono — wywiera przykre wrażenie zupełnego wyludnienia. We wszystkich innych nastąpiło znów życie. W ogródkach dobrze utrzymanych uwijają się ludzie, w oknach domów, doprowadzonych do stanu używalności firanki i kwiaty — z kominów unosi się dym. Przed budynkiem z napisem „Szkoła” bawią się dzieci.

III. „Kury! Najprawdziwsze kury!...”

— Wo! zdumiony kolega prowadzi auto. — W sierpniu, gdyśmy tędy przejeżdżali, nie było nawet kota! —

Istotnie gromada kur głacząc przebiega przed autem. Dzieje się to w jednym z następnych osiedli, o którym powiedział mi kolega: „No, za chwilę będziemy przejeżdżali przez wieś w której nie ma żywego ducha!” —

LEON
WYCZÓLKOWSKI



WIATRAK
Litografia

Reportaż

Nie „żywy duch” ale najprawdziwszy żywy człowiek — chłop ze sumiastymi włoskami pogania konia przy pługu na pobliskim polu a babcina w chustce zawiązanej na głowie tak jak to bywa na wileńszczyźnie, prowadzi krowę. Kolega mój otwiera szeroko oczy i... nie mówi nic.

Na obiad zatrzymujemy się w Starogrodzie. Jest to dosyć duże miasto — architektonicznie podobne do Torunia. Obiad dostajemy w restauracji „Europejskiej”. Jest smaczny, pożywny i stosunkowo nie drogi. „Ilu tu jest jeszcze Niemców?” pytam sprzedawcę w drogerii, kupując zyletki. „Było dużo” — odpowiada — „jest dziś tylko pięćdziesiąciu!”

— A Polaków?
— „Alboż ja wiem? — chyba kilkanaście tysięcy. Jest to nasz ostatni etap; w drodze do Szczecina nie zatrzymujemy się już nigdzie. Na przedmieściu — znowu białoczerwona rampa przegradza szosę. Zatrzymujemy się. Żołnierze zobaczywszy na aucie tarczę herbowa Bydgoszczy i napis Polskie Radio — nie sprawdzają nawet dokumentów. Starzy znajomi. Tak samo jak dziś zatrzymam w tym samym miejscu nasze radiowe auto, dziesięć miesięcy temu.

— Jak się macie? Co u was słychać?
— Wszystkie w porządku — a u was? Szwab siedzą cicho? Żołnierz śmieje się.

— Jak myśz pod miotłą! Coraz ich mniej!

To: „coraz ich mniej!” towarzyszy nam wszędzie i w samym Szczecinie. Polacy mieszkający tu zaledwie od paru miesięcy powtarzają te słowa z nieklamą radością i zadowoleniem.

— „Coraz ich mniej!” Istotnie — Szczecin liczył 360.000 ludności przed wojną, dziś liczy około 60.000 stałych mieszkańców nie wliczając wojska. Niemców jest niespełna 27.000; z dnim każdym pewna ilość dobrowolnie opuszcza Szczecin, jadąc do Niemiec. Jestem zdumiony, oczarowany i wstrząśnięty. Zdumiony — patrząc na to miasto, które mimo poważnych zniszczeń jest miastem wielkim i ruchliwym. Oczarowany — bo Szczecin, posiadający szerokie ulice, wspaniałe gmachy, prześliczne wille i dużo budzącej się własnie do życia zieleni — jest miastem pięknym. Wstrząśnięty — bo nie wyobrażałem sobie aby w przeciągu tak krótkiego czasu Szczecin mógł stać się polskim miastem w nieklamym tego słowa znaczeniu. Mijamy ulicę za ulicą, które już posiadają uwidocznione na szyldach polskie nazwy. Mijamy gustownie urządzone wystawy sklepowe, nad którymi widnieją polskie napisy. Ani jednego niemieckiego szyldu.

IV. Piastowski orzeł na królewskiej bramie

Zobaczyłem go z auta, gdyśmy obok przejeżdżali. Nie powiedziałem jednak słowa. Mogłem się przeleźć omylić. Następnego dnia specjalnie wypytywałem się o królewską bramę. Pokazał mi kierunek:

— O, tą ulicą, a potem na lewo, a potem na prawo.

Odnalazłem ją wreszcie. Jest stara — bardzo stara, ale trzyma się nieźle. I jest ładna. Ładna i gustowna jak cały Szczecin, nie mający w sobie nic z mieszczańskogo upodobania Niemców do słowa: „wunderschön”. Nie ma tu ciężkich, przynębiających gmachów bez architektonicznego smaku i sensu. Ale wróćmy do bramy. Tak, nie pomyliłem się. Na herbowej tarczy



LEON
WYCZÓŁKOWSKI

BRONY
Litografia

wśród barokowych ozdób i girland najprawdziwszy piastowski orzeł z gryfem (herb Szczecina) na piersi. Zasięg informacji i okazuje się, że brama królewska w Szczecinie zbudowana została za... Fryderyka Wilhelma (1640-1688) wielkiego elektora brandenburskiego, który traktatem welawsko-bydgoskim uzyskał uznanie niezawisłości Prus. Piastowski orzeł wraz z gryfem kłającego rodu słowiańskich Barnimów odzyskał wreszcie swe właściwe znaczenie w polskim Szczecinie. Jakżeż nie ulec wzruszeniu, myśląc o tym u stóp niemieckiej bramy, na której do lotu wznosił skrzydła polski orzeł?

Harcerze śpiewają maszerując z biało-czerwonym sztandarem — młodzieży jest tu dziś bardzo dużo. Przybyli na wielkie dni Szczecina ze wszystkich krańców Polski. Harcerze, młodzież z TUR'u, Wici, ZWM'u ożywia ulice miasta odgłosem kroków i pieśni śpiewanych w marszu. Ilość przybyłych śmiało można określić na 25.000 ludzi. Nic dziwnego, że tak w Szczecinie rojno i gwarno. Cóż będzie jak po uroczystościach wyjada? — Szczecinianie śmieją się:

— Szkoda, że nie był pan tu przed zjazdem wszystkich tych miłych gości — i wtedy już Szczecin zrobiłby na panu wrażenie polskiego miasta.

V. „Nie będzie niemiec...”

Nie wiele zostało nam czasu na zwiedzenie najciekawszych dzielnic Szczecina. Zawlezione nas do portu na tak zwane dziś „Waty Chrobrego”. Patrzymy zdumieni na duże parowce, stojące u brzegu w części oddanej już polskiemu władzom portowym. Po drugiej stronie Odry strefa pod zarządem sowieckim. Zapada mrok; w mgłę wieczornej ogromne żórawie poruszają się jak dziwaczne potwory wysoko ponad zabudowaniami. Ryczą syreny okrętów.

Rano następnego dnia po nocy przespanej w domu gościnnym — na próżno szukam obok łóżka butów; wiem, że gospodarze nie mają służby — rozumiem, że ktoś je zabrał do odozyszczenia, ale jeśli miałaby mi czyścić buty żona gospodarza to wszakże... W tej chwili, pukając do drzwi — wchodzi zażywny, porządnie ubrany mężczyzna i z uprzejmym uśmiechem stawia obok łóżka moje, pięknie oczyszczone lśniące trzewiki. Jak się okazało był to Niemiec — dawniej urzędnik, obecnie dozorca domu, utrzymujący się z drobnych usług wyświadczanych polskim rodzinom, mieszkającym w kamienicy. Doznaję pewnej satysfakcji — bo choć nigdy (tak się szczęśliwie złożyło) nie czyściłem niemiom butów, oto dziś Niemiec pochodzący z rodu „Übermenschów” wyświadczył mi tę drobną usługę, jakże bardzo hańbiącą człowieka z „rodu panów”.

Uczucie tego nieoczekiwanego zadowolenia zamienia się w chwytającą za gardło radość. gdy stojąc przed trybuną najwyższych dostojników Rzeczypospolitej na „Jasnym Błoniach” widzę przed sobą 17-tysięczny tłum ludzi wśród biało-czerwonych sztandarów i słucham „Roty”!

A potem jako sprawozdawca Polskiego Radia mówię do mikrofonu z trudem opanowując wzruszenie:

„Nigdy jeszcze „Rota” nie była śpiewana z takim przejęciem. Na „Jasnym Błoniach” w polskim Szczecinie 17-tysięczny tłum śpiewa: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz ni dzieci nam germani”. Ma to chyba swoją wymowę właśnie dziś podczas takiej uroczystości jak ta, której jesteśmy uczestnikami”.

Zdzisław Kunstman

PRZEGLĄD PRASY

Artykuły dotyczące zagadnień pomorskich i morskich w kulturalnej prasie polskiej posiadają jedynie charakter wypowiedzi przypadkowych, — to też mówię w „Przebiegu prasy” o jakichś szczególniejszych zainteresowaniach pewnych szczeblów prasy, (oprócz oczywiście związanym z terenem) — nie można. Na konto przypadkowych więc raczej należy zapisać artykuł J. Gurowskiej w lubelskim ZDROJU (Nr 5) o dwu sławnych gdańszczaninach, jak i dwa szkice Delezyńskiego w ODRODZENIU (Nr 4 i 5) o Alek-

KORESPONDENCJE

W odpowiedzi

W Nr. 14 „Tygodn. Powszechnego” w związku z moim artykułem pt. „Na skrzyżowaniu ideowych dróg” (Arkona Nr 4) ukazała się notatka, podpisana g. t., w której nieznany autor w tonie daleko odbiegającym od przyjętych metod dyskusji stara się na podstawie luźno wyrwanych z kontekstu cytatów udowodnić mi nieznaną przedmiotowi, dotyczącego „sporu ideologicznego między lewicą i katolikami”. Wbrew insynuacjom g. t. w swoim artykule nie miałem zamiaru bezpośrednio kontynuować „ideologicznego sporu”, lecz uzasadniałem jedynie postulat **obiektywnego** ustosunkowania się do dwóch zasadniczych kierunków filozoficznych. Za podstawę więc rozważań przyjąłem koncepcję dwutorowego biegu myśli filozoficznej (materializm, idealizm), nie wyodrębniając tym samym spiritualizmu, albo jak chce autor notatki, realizmu dualistycznego. Trudno wprost uwierzyć, że g. t. nie wie, że powyższe stanowisko nie jest jedynie wynikiem mojego „zbyt prymitywnego schematu” i że posiada w historii filozofii swoje uzasadnienie. Dyskusja w tej sprawie toczyła się zresztą przez pewien czas na łamach tegoż „Tygodnika” i „Kućnicy”. Z notatki g. t. odniosłem jednak wrażenie, że przebiegu tej dyskusji nie zna.

Nadmieniam jednocześnie, że metoda okrojonego cytatu, której nadużywa autor notatki jest bronią zwodniczą i niepewną, co szczególnie dało się zauważyć przy interpretacji wyrazu „metafizyka”. Z kontekstu jasno wynika, że w tym wypadku, w myśl materializmu dialektycznego chodzi o przeciwstawną metodę podejścia do otaczającej nas rzeczywistości, — metodę, będącą historycznie uwarunkowaną i bardziej prymitywnym stopniem rozwoju ludzkiego myślenia. Stąd też zarzut w sprawie „wzderania się metafizyki do kierunku idealistycznego i materialistycznego” uważam za całkiem chybiony. Nie każda bowiem filozofia materialistyczna rozpoczyna metodą dialektyczną, tak jak nie każda filozofia idealistyczna opiera się na metodzie metafizycznej, chociaż przedmiot jej wymyka się spod rygorów empirycznego badania (Hegel). Pomijając już wulgarnego, metafizycznego materialistę Dühringa, wspomniany przeze mnie Ludwik Feuerbach, odrzucając idealizm Hegla, odrzucił również jego dialektykę i nadał swemu materializmowi charakter również metafizyczny. I na pewno z tego powodu materialści się nie obraża, podobnie jak nie zdziwi ich to, co mówiłem o wzajemnym stosunku metafizyki i nauki zgodnie z postulatami współczesnej metodologicznej krytyki nauki.

W sprawie zarzutu, dotyczącego „narastania niezdrowej odrębności narodowej” odsyłam wprost do schematu erystyki Artura Sandauera (Odrodzenie 67. I. 5).

Kończąc te uwagi zaznaczam, że, jakkolwiek autor wspomnianej notatki, widzi we mnie człowieka o zupełnie odmiennym światopoglądzie, to jednak zasady dyskusji wymagają, by znać i uwzględnić stanowisko ideowe przeciwnika. Nie można nicować go jedynie według własnych założeń i pojęć. Ton umiarkowany przy tym bynajmniej nie osłabia argumentacji, a raczej ją wzmacnia, zwłaszcza zaś wówczas, gdy autor używa jedynie inlejałów g. t.

A. Dzięsiński.

su do czasu porusza również tematy pomorskie (J. Mitkowski — Szczecińskie Lwy, nr 4; L. Kohutek — O polityce mazurskiej, nr 6-7). Terytorialne związanie ze Śląskiem nadaje „Odrze” jednak charakter pisma regionu Wielkiego Śląska. Pozostaje więc do omówienia jedynie „Wiatr od Morza”, czasopismo poświęcone polskiej kulturze marynistycznej”.

Trzy dotychczas wydane numery WIATRU OD MORZA ukazują wielki wachlarz zainteresowań pisma, które w szerokie pojęcie „kultury marynistycznej” zmieszcza niemal wszystko, co tyczy morza, a więc historię, publicystykę, literaturę i sztukę, — obok czystej marynistyki w rodzaju „Morza”. Ma to niewątpliwie wpływ (równie jak obfitość materiału ilustracyjnego) na popularność pisma na Wybrzeżu, gdzie — przy niemalże pionierskich warunkach — wyłącznie kulturalny charakter wydawnictwa musiałby przynieść w rezultacie niepowodzenie. Z drugiej strony jednak konieczność ta wytwarza nieco nierówny poziom treści. Z pośród zamieszczonych dotąd artykułów, w dziedzinie kultury i sztuki zaciekać mogą m. in. — oprócz dwugłosu o Conradzie (Galczyńska-Folkierska, Dobraczyński) artykuły: Wł. Lama „Morze jako temat malarski”, R. Heisinga „Morze w muzyce”, oraz dwa szkice A. Galczyńskiej-Folkierskiej „Norwid nad inorzem” i „Dookoła powieści morskiej”. O życiu kulturalnym Wybrzeża informuje dział kroniki. Doskonałe prace z zakresu dziejów polskiej myśli morskiej przynosi dział historyczny pióra dr M. Dragana, dr M. Pelczara i Wł. Kowalenki.

Ale na „Wietrze od Morza” kończą się sprawy morskie i pomorskie w polskiej prasie kulturalnej, zajętej prawie że wyłącznie zagadnieniami ogólnymi.

Spośród całego szeregu periodyków kulturalnych wybija się przed inne o cały dystans, redagowany przez Kazimierza Wykę „Miesięcznik literacko krytyczny TWORCZOŚĆ”, którego dotychczasowy dorobek trzeba uznać za prawdziwie imponujący a jak Jar. Iwaszkiewicz twierdzi, nawet w Paryżu wzbudzający zazdrość. Każdy z numerów, często w całości poświęcony określonym zagadnieniom (np. rocznica Mickiewicza, rocznica Kościuszkowska, przekrój współczesnej twórczości francuskiej), przynosi świetne fragmenty najnowszej polskiej prozy, poezji i dramatu; dobre przykłady zapoznają z ostatnimi osiągnięciami na wschodzie i zachodzie, a artykuły krytyczne ułatwiają zorientowanie się w kierunkach prądów nurtujących współczesną twórczość literacką. Dział zatytułowany „Sprawy i troski”, daje w dwu numerach świetny zespół rozpraw dotyczących plastyki („O nową kulturę plastyczną” nr 1) i teatru („Teatr nowego czasu” — nr 3), i rozwijających szereg ważkich zagadnień (m. in. J. Goryński — Kicz w sztuce i K. Wyka — Omdlenie teatru).

„Diariusz Kultury Polskiej 1945” w opracowaniu P. Grzegorzycy (Nr 2) jest niemiernie ważną pozycją. Pewne braki w obrazie rozwoju życia kulturalnego na Pomorzu — wynikły jedynie z braku odpowiedniego oddźwięku w prasie regionalnej.

Ostatnie nry ODRODZENIA przynoszą m. in. cały szereg wnikliwych i obszernych recenzji pióra Zb. Bieńkowskiego, W. Macha, J. A. Szczepańskiego i K. Wyki omawiających najnowsze literackie pozycje wydawnicze („Noc” J. Andrzejewskiego, „Dymy nad Birkenau” S. Szmaglewskiej, „Z barykad w dolinę głodu” M. Rusinka, „Próbę ognia” T. Hołujy, „Droga wiodąca przez Narwik” Ks. Pruszyńskiego, „Janosik” Jalu Kurka i inne). Uwagi na temat zagadnień poetyckich wypowiada parokrotnie laureat nagrody literackiej Krakowa — Julian Przyboś. Z ankiet przeprowadzonej wśród pisarzy i uczonych można się zorientować w labiryncie tematów interesujących polski świat pisać.

Przeglądając numery „Odrodzenia” nie sposób nie zwrócić uwagi na trafne dobrane cykle reprodukcyjne malarstwa polskiego i francuskiego, jak i na tytułowy cykl zdjęć dokumentarnych, obrazujący ślady polskości Ziemi Odzyskanych (m. in. również Pomorza Zachodniego).

Na łamach tygodnika łódzkiego — WIEŚ, obok ciągnącej się przez szereg numerów polemiki o Jakubie Szeli — zapoczątkowaną (P. Ziarnik „Czy regionalizm” — nr 10) dyskusję na temat regionalizmu. Wywody Ziarnika (wywołane artykułem Z. Siedleckiego w kieleckich „Cychrach”), zmlerzające do wykazania istniejących dwu regionalizmów: dobre i błędnie pojętego — nie zostały niestety w nast. numerach „Wsi” podjęte w powyższym kierunku. Szkoda, że dyskusja, której redakcja nadała tytuł „Miało — wieś — regionalizm” potoczyła się w kierunku odmiennym, może również ciekawym, niemniej niedużo mającym wspólnego z artykułem wyjściowym.

Trzy ostatnie numery (podwójne) ZYCIA LITERACKIEGO utwierdzają w przekonaniu, że pismo to, wydawane wprawdzie w Poznaniu (organ Zw. Lit. Polskich, oddz. w Poznaniu) nie zamierza bynajmniej zejść do roli pisma regionalnego (jak chciałoby np. „Odrodzenie”),

podkreślając to choćby doбором współpracowników, w małej tylko mierze związanych z środowiskiem poznańskim. Zarzut stawiany „Zyciu Lit.” zasklepienia się w zagadnieniach tzw. „czystej sztuki” jest o tyle tylko słuszny, że w wyniku owej izolacji ośrodek kulturalny tej miary co Poznań pozbawiony jest zupełnie oddźwięku (poza prasą codzienną) swych poczynań kulturalnych (zupełny brak kronik), na łamach jedynego przecież poznańskiego pisma — co nie może oczywiście nie pozostawać bez wpływu na rozmach życia kulturalnego stolicy Wielkopolski. W „Zyciu Lit.” dobrze reprezentowany jest przede wszystkim dział poezji (W. Bąk, K. A. Jaworski, Al. Iwańska, J. Dobraczyński, R. Bratny, E. Morski, Z. Psarski i in.), również prozy; na czoło wysuwa się drukowane przez parę numerów, pełne realizmu opowiadanie Jarosława Iważkiewicza „Młyn nad Lutynią”, którego akcja oparta jest na prawdziwych wydarzeniach czasu minionej okupacji, toczących się w pobliżu jednego z miasteczek wielkopolskich.

TYGODNIK POWSZECHNY (nr 15) uczył 9-tą rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego artykułem Zygm. Leśnodórskiego, oraz szkicem St. Kisielewskiego. Z innych pism, tylko dwa jeszcze pamiętały o tej dacie tak ważnej dla kultury polskiej: ŚWIATŁO — najlepszy w chwili obecnej periodyk świetlicowy, w szerokim tego słowa pojęciu (art. Tad. Szelgowskiego) oraz dwutygodnik walczący o upowszechnienie kultury — lubelski ZDROJ (artykuł Al. Wielhorskiego).

tom.

Ukazanie się miesięcznika „Meander”, poświęconego kulturze świata starożytnego, należy powitać z uznaniem. Wśród dającego się wyczuć u nas (niestety) zubożenia w stosunku do nieprzebranego skarbcza wiecznie żywego antyku „Meander” jest pierwszym wyrazem uznania dla wielkiej, odległej przeszłości, która tak hojnie zasiała nurt naszego życia kulturalnego. Bo że bogaty świat antyku jest bezpośrednim źródłem i ojcem naszej kultury, przez dwa tysiące lat karmiącej się nieprzemijającą potęgą geniuszu Demokryta i Platona, Homera i Sofoklesa, Horacego i Tacyta i wielu, wielu innych, to zda się nie ulegać żadnej wątpliwości. Miesięcznik utrzymany w tonie popularno-naukowym, ma służyć sprawie upowszechnienia wśród szerokich warstw społeczeństwa wiedzy o starożytności, — ma wykazać jej ciągłą aktualność i nieśmiertelność, których symbolem stał się popularny meander, ornament, stosowany po dziś dzień w budownictwie całego świata.

ad.

W numerze:

MARIAN TURWID: Narodziny Środowiska, JERZY REMER: Cegły nad Brdą, GWIDO CHMARZYŃSKI: Fara Bydgoska, ALEKSANDER DZIENISIUK: W cieniach i blaskach historii, ALFRED KOWALKOWSKI: Wiersze, WŁADYSŁAW LAM: Z pracowni Leona Wyczółkowskiego, KONRAD GORSKI: O istocie poezji, WOJCIECH BĄK: Z „Przełotu muzyki”, TADEUSZ GRABOWSKI: O przyszłość Łużyczan, WŁADYSŁAW DZIEWULSKI: Germanizacja Pomorza Zachodniego, ALEKSY TOŁSTOJ: Rugevit. Borzywój (przekład Tad. Chróścielewskiego), JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: „Stara Ceglelnia” na scenie, JAN PIECHOCKI: Zamiast historii teatru bydgoskiego, EUGENIUSZ MORSKI: Wiersze, JAN OKO: Wielki Gdańszczanin, STEFAN NAREBSKI: Malarstwo Bronisława Jamontta, TEODOR BRANDOWSKI: Wśród czcigodnych pamiątek, JÓZEF MODRZEJEWSKI: Zagadka Arkony, ANDRZEJ BUKOWSKI: Motyły morza w poezji kaszubskiej.

Kroniki, Przeglądy, Sprawozdania.

Reprodukcje: LEONA WYCZÓŁKOWSKIEGO (wszystkie ze zbiorów Muzeum Miejskiego w Bydgoszczy), WŁADYSŁAWA FRYDRYCHA, BRONISŁAWA JAMONTTA, TADEUSZA MOKRZYCKIEGO, JADWIGI SZYSZKO, MARIANA TURWIDA, STANISŁAWA WOJEWÓDZKIEGO i TEODORA ZIOMKA.

Książki i pisma nadesłane

ANDRÉ MAUROIS: Dzieje Anglii, Tom I i II. Wydawn. Galster, Lauter i Rutkowski, Warszawa 1946.

ALEKSANDER ROGALSKI: Przybyszewski, Filozof-Moralista. Poznań 1946.

ZYGMUNT FELCZAK: Droga Wielkiej Odnowy. Nakł. Spółz. Wydawn. „Zryw”. Bydgoszcz 1946.

ANTONI TREPINSKI: Ostatki Polskie. Księg. Tad. Wilczyńskiego, Kraków 1946.

FRANCISZEK LIPINSKI: Nad popiołami. Poezje. Kraków 1946.

O. MAREK POECIHA: Zmierzczy i świtanie. Poezje. Kraków 1946.

FRANCISZEK PIAŚCIK: Odbudowa i przebudowa wsi. Wydawn. Min. Odbudowy. Warszawa 1945.

TWORCZOŚĆ, Miesięcznik literacko-krytyczny. Rok II. Zeszyt 2-3.

KAMENA, Miesięcznik literacki, Rok VII. Nr 4-5.

ODRODZENIE, Tygodnik, Rok III. Nr 9-17.

WIES, Tygodnik społeczno-literacki, Rok III. Nr 8-16.

ZYCIE NAUKI, Miesięcznik poświęcony sprawom nauki, Rok I. Nr 1-3.

NAUKA I SZTUKA, Miesięcznik, Rok II. Nr 2-3.

MEANDER, Miesięcznik poświęcony kulturze antycznej. Rok I. Nr 2-3.

WIEDZA I ZYCIE — miesięcznik popularno-naukowy. Rok XV. Nr 1

PRACA OŚWIATOWA — miesięcznik, organ Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury. Rok II. Nr 1 — 3.

RZECZY CIEKAWE — tygodnik. Rok I. Nr 2-5.

WIATR OD MORZA, Miesięcznik poświęcony kulturze marynistycznej, Rok I. Nr 2-3.

ŚLASK, Miesięcznik ilustrowany, Rok I. Nr 1.

PRZEGLĄD ZACHODNI, Tygodnik, Rok II. Nr 2.

STRAŻNICA ZACHODNIA — miesięcznik Polskiego Związku Zachodniego. Rok XV. Nr 1 — 3.

ZYCIE SŁOWIAŃSKIE — miesięcznik poświęcony sprawom słowiańskim. Rok I. Nr 2 — 3.

MŁODZIEŻ MORSKA — miesięcznik Ligi Morskiej. Rok II. Nr 2 — 3.

THE STUDIO, Miesięcznik artystyczny, Marzec 1946.

THE TIMES, Literary Supplement, Marzec 1946.

GŁOS NAUCZYCIELSKI — Centr. Organ Związku Naucz. Polskiego. Rok XXIV. Nr 1 — 6. Rok XXV. Nr 1 — 5.

ZYCIE SZKOŁY — miesięcznik poświęcony organizacji wychowania i nauczania. Rok I. Nr 3 — 4.

ISKIERKI BYDGOSKIE, Pisemko młodzieży szkolnej, Rok II. Nr 6.

PRACOWNIK STOLICY — dwutygodnik poświęcony sprawom społeczno-samorządowym stolicy. Rok II. Nr 1 — 6.

SKARPA WARSZAWSKA — pismo poświęcone odbudowie stolicy. Rok II. Nr 13.

DOM, OSIEDLE, MIESZKANIE — organ Polskiego Towarzystwa Reformy Mieszkaniaowej. Rok XII. Nr 1

CHŁOPIA DROGA — tygodnik Polskiej Partii Robotniczej. Rok II. Nr 1 — 13.

Treść 5 numeru „Arkony”

STANISŁAW HELSZTYŃSKI: Burzę pomnik Brenkenhofs, ALFRED ŚWIERKOSZ: Słowianie na ziemiach dzisiejszej Germanii, JERZY REMER: Zabytkoznawcze zagadnienia Pomorza, LUDWIK HIERONIM MORSTIN: Ziemia rodzinna autora „Samosków”, JAN PIECHOCKI: Adam Grzymała-Siedlecki (w pięćdziesięciolecie twórczości), ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI: Cela Nr 263 (fragment z pamiętnika), KRYSZYNA GRZYBOWSKA: Promieniści (fragment II aktu), ALEKSANDER DZIENISIUK: Za głosem ojczyzny i ludu, WACŁAW ŚLABCZYŃSKI: Czy Polak wyprzedził Kolumba, ALFRED KOWALKOWSKI: Przeczucie morza, ZOFIA DRWEŚKA-DOERINGOWA: Ziemia, STANISŁAW ZIEMAK: O oświacie wsi pomorskiej, ALOJZY JANUSZ MARKIEWICZ: Było nas sześć, FLORIAN DĄBROWSKI: Jeszcze o muzyce polskiej na Pomorzu, JERZY JASIEŃSKI: W odpowiedzi.

Poezje: ALICJA IWAŃSKA, STEFAN DURMAJ, LESZEK GOŁIŃSKI, ADAM TATOMIR.

POMORZE POD OKUPACJĄ, Dyskusje, Kroniki, Recenzje, Sprawozdania.

W numerze reprodukcje: LEONA WYCZÓŁKOWSKIEGO, STANISŁAWA BRZĘCZKOWSKIEGO, MARIANA TURWIDA i MARIANA MOKWY.

Cena numeru — złotych 10. Do nabycia we wszystkich oddziałach Spółdzielni Wydawniczej CZYTELNIK.

Omyłka druku

Do artykułu Prof. JERZEGO REMERA p. t. „Zabytkoznawcze zagadnienia Pomorza” w numerze 5-ym ARKONY (marzec 1946) zakradł się złośliwy chochlik drukarski zniekształcając treść zdania na str. 4-ej (wiersz 17-ty od dołu w 3-im łamie), którego odnośny fragment wntien był brzmiąc: „...musimy stwierdzić, że nie stworzyliśmy właśnie z braku własnego inwentarza zabytków, opartych na badaniach autopsyjno-terenowych, całokształtu obrazu dziejów tej sztuki...”

Od Administracji

Zawiadamiamy naszych czytelników, że ARKONĘ można zaprenumerować bezpośrednio w administracji pisma. W tym celu wystarczy wpłacić na konto PKO Bydgoszcz Nr VI. 271 odpowiednią kwotę, podając dokładny adres.

Warunki prenumeraty są następujące:

Prenumerata kwartalna — 30 zł.

Prenumerata półroczna — 60 zł.

Numer pojedynczy pisma w sprzedaży kosztuje 10 zł.

Administracja posiada jeszcze w zapasie pewną ograniczoną ilość numerów zaległych 1-5, które na żądanie — pojedynczo, lub w komplecie — po wpłaceniu należności na konto pisma może przestać.

KSIĘGARNIA POMORSKA

CZ. JASKÓLSKI i S-ka

BYDGOSZCZ, ALEJE 1 MAJA 7, TEL. 3246

Poleca wszystkie nowości

oraz bogato zaopatrzone działy
książek naukowych.

„Ka De Ha”

JEDYNY SPECJALNY MAGAZYN ARTYKUŁÓW SPORTOWYCH
HARCERSKICH — TURYSTYCZNYCH NA WIELKIM POMORZU
HARCERSKA SPÓŁDZIELNIA Z O. U. BYDGOSZCZ, ALEJE 1 MAJA 26 TEL. 3408

Wydawca: Zespół „Arkony” w Bydgoszczy — Kolegium redakcyjne: Stanisław Brzęczkowski, Aleksander Dzienisiuk, Alfred Kowalkowski, Jan Piechocki, Marian Turwid. Adres Redakcji i Administracji: Bydgoszcz, Sielanka 8
Konto bankowe: Komunalna Kasa Oszczędności miasta Bydgoszczy nr 224.
Prenumerata i kolportaż: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Delegatura Pomorska w Bydgoszczy, ulica Jagiellońska 31.
Cena numeru podwójnego 15.— zł Drukarnia Polska pod Zarządem Państwowym Nr 1, Bydgoszcz. E—08397